

SŁAWOMIR KOPER  
WIELCY  
SZPIEDZY  
W PRL



Kukliński uchodził za niezłego kogucika. Stale wywoził do lasu sekretarki, maszynistki, inne atrakcyjne kobiety. Pozwalał dostrzec, że jest z tych, co to lubią na boku. I kiedy ona była przekonana, że wciągnie ją w krzaki, znikał na chwilę, a po powrocie nagle zaczynało mu się spieszyć. Te panienki były mu potrzebne dla ubezpieczenia wyjazdów do skrytek.

*Czesław Kiszczał*



WIELCY  
SZPIEDZY W PRL



Sławomir Koper

Warszawa 2014

Copyright © Sławomir Koper, Czerwone  
i Czarne

Projekt okładki  
FRYCZ I WICHA

Zdjęcia: Jacek Bednarczyk/CAF/PAP  
(okładka); Archiwum IPN; ADM-CAF/PAP;  
Grzegorz Rogiński/Reporter; Tomasz Praż-  
mowski/MSiT/Forum; Cezary  
Langda/CAF/PAP; Stefan Maszewski/Repor-  
ter; Michał Sadowski/Fotorzeka/Forum; An-  
drzej Iwańczuk/Reporter.

Redakcja  
Witold Grzechnik

Redaktor prowadząca

Katarzyna Litwińczuk

Korekta

Małgorzata Ablewska, Katarzyna Szol

Skład

Tomasz Erbel

**Wydawca**

**Czerwone i Czarne Sp. z o.o. S.K.A.**

**Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5**

**00-272 Warszawa**

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

Wyłączny dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. S.K.A.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Mazowiecki

ISBN 978-83-7700-157-8

Warszawa 2014

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

Rozdział 1. Zamiast wstępu

Niebezpieczna profesja

Prawda i legenda

o szpiegowskiej robocie

Ze szpiegowskiej kuchni

Ofiara małżeńskiej miłości

Problemy rodzinne podpułkownika Goleniewskiego

„Carewicz Aleksy”

Uciekinierzy

Rozdział 2. Wtórnik z Poznania

Szpiegowskie wtórniki

Heinz Peter Arnold



Porucznik Jerzy Kacz-  
marek

Spotkanie po latach

Brema

Śmierć Heinza Arnolda

Ostatnia wymiana szpie-  
gów

Międzynarodowe Targi  
Poznańskie

Rozdział 3. Sprawa André  
Robineau

Powojenna szpiegomania

Yvonne Bassaler

Skomplikowana młodość  
agenta

Warszawa

Szczecin

André i kobiety

Okęcie

Proces

Wyrok

# Rozdział 4. Operacja „Żelazo”

Bracia Janoszowie

Początek afery

Złoty interes

Podział łupu

Kramik na Rakowieckiej

„Żelazo II”

Nietykalni

Zabić Adama Michnika

# Gangsterzy i politycy

## Rozdział 5. Mistrz szabli

Major Pawłowski aresztowany

Szablista wszech czasów

Finanse mistrza

Współpraca z UB

W służbie wywiadu

Archiwalne niedyskrecje

Agent „Paweł”

Problemy

Zakład karny w Barczewie

Ostatnia walka

Rozdział 6. Opowieści kapitana Czechowicza

Powrót „asa wywiadu”

Student historii

W poszukiwaniu azylu

Rozgłoszenia z Monachium

Na szpiegowskiej drodze

Trucizny agenta

Prywatne życie szpiega

Medialny show

Człowiek, który uwierzył  
w swoją wielkość

Rozdział 7. Szpieg za Spi-  
żową Bramą

„Ignacy” i inni

Ojciec Konrad Hejmo

Edward Kotowski

Student z Krakowa

Dylematy

Wśród jezuitów

W Watykanie

W pobliżu Jana Pawła II

Raporty

Paryż

Kontrowersje

Pytania bez odpowiedzi

# Rozdział 8. Prawda i legenda o Marianie Zacharskim

Młodość agenta

Kontrowersji część  
pierwsza

Na szerokie wody

Zamrożenie

Szpiedzy i technologie

Tenis i drinki

William Bell



Szpiegostwo i finanse  
Kontrowersji ciąg dalszy  
Dożywocie  
Wymiana  
Emerytura agenta

Rozdział 9. Życie prywatne  
pułkownika Kuklińskiego

W rodzinie Kuklińskich  
Wietnam  
Pod żaglami

Kobiety w życiu pułkownika

Basia

Finanse Ryszarda Ku-  
klińskiego

Kamuflaż i samotność

Dyskusje i spory

Ucieczka

USA

Zakończenie

Przypisy

Ważniejsza bibliografia

Okładka

# Od autora



**O**rdery mam dla żołnierzy,  
a dla szpiegów tylko  
złoto” – mawiał Napoleon  
Bonaparte, co doskonale ilustruje

ówczesną opinię o pracownikach wywiadu. Działalność szpiegowską przez wiele stuleci uważano za niehonorowy sposób prowadzenia wojny. Nie bez powodu schwytych wywiadowców przeciwnika z reguły karano śmiercią, często bardzo okrutną.

Szpiegostwo towarzyszyło jednak ludzkości od zarania dziejów. Już w czasach antycznych ogromną wagę przywiązywano do rozpoznania sił i zamiarów wroga,

a piękny literacki opis takich działań możemy znaleźć w *Iliadzie* Homera, w której Odyseusz w przebraniu przekrada się za mury Troi. Właściwie nikt nie wyobrażał sobie prowadzenia wojny bez działań wywiadowczych, a skoro wywiad był może niezbyt chlubną, ale jednak normą, to nieuchronną konsekwencją tego stanu rzeczy było pojawienie się kontrwywiadu. I tak już miało pozostać.

Obiegowe i niepochlebne



opinie na temat działań szpiegow-  
skich zaczęły się zmieniać dopiero  
wraz z rozkwitem literatury sensa-  
cyjnej. A kiedy literaturze w su-  
kurs przyszła kinematografia,  
funkcjonariusze wywiadu stali się  
bohaterami masowej wyobraźni.  
Ich losy intrygowały bez względu  
na to, czy byli oni postaciami au-  
tentycznymi, czy też wytworami  
fantazji autorów i scenarzystów.  
Czasami granice te ulegały zresztą  
zatarciu, w efekcie czego nie-

udolne działania wywiadowcze Margarethy Geertruidy McLeod (lepiej znanej jako Mata Hari) urosły do rangi jednego z ważniejszych wydarzeń I wojny światowej, a postać tancerki do dzisiaj fascynuje miliony ludzi.

Zachodni widzowie i czytelnicy w napięciu śledzili przygody bohaterów powieści Iana Fleminga, Toma Clancy'ego czy Roberta Ludluma, nad Wisłą zaś triumfy święcili szpiedzy działa-

jący na szkodę III Rzeszy. Hans Kloss i Max Otto von Stierlitz osiągnęli status bohaterów kultowych, a widzowie nie zwracali uwagi na to, czyim interesom oni służyli.

Gdy w filmie *Agent nr 1* werbowano Jerzego Iwanowa-Szajnowicza, z ekranu padły słowa, że zostanie on wysłany na najtrudniejszy front. I było w tym dużo racji, bo życie agenta wywiadu z reguły było krótkie i koń-

czyło się na szubienicy albo przed plutonem egzekucyjnym. A o szpiegowskich sukcesach opinia publiczna dowiadywała się niezwykle rzadko, bo wywiady z reguły nie zdradzają swoich tajemnic. Nie bez powodu wokół Krystyny Skarbek przez wiele lat panowało całkowite milczenie, a postać pięknej hrabianki dopiero niedawno zaistniała w zbiorowej świadomości.

„Wielcy szpieczy w PRL”

to siódma pozycja z cyklu o elitach Polski Ludowej i przyznam się, że jest to trochę nietypowa książka. Z racji tematu więcej tutaj polityki, ale nie byłbym sobą, gdybym pominął życie prywatne moich bohaterów. Tam, gdzie było to możliwe i potrzebne, przekazywałem szczegóły natury osobistej. Podejrzewam, że czasami zaskoczą one Czytelników, szczególnie mocno w przypadku Ryszarda Kuklińskiego, bo choć życiorys puł-

kownika jest dość dobrze znany, to pewne informacje na jego temat mogą być niespodzianką. I to chyba niemałą...

Dużo w tej książce znaków zapytania, wywiad rządzi się bowiem swoimi prawami i do wielu informacji nie udało mi się dotrzeć. Tam, gdzie to było możliwe, starałem się luki uzupełnić własnymi hipotezami, które niniejszym oddaję pod osąd Czytelników.

Częściej niż kiedykolwiek dotąd korzystałem ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej. Myślę, że jest to zupełnie zrozumiałe z uwagi na tematykę poruszaną w tej książce. W archiwach IPN natrafiłem na nieprawdopodobne bogactwo informacji obyczajowych, które znacząco urozmaiciły tę opowieść. Żałować można tylko, że dokumenty dotyczące niektórych postaci nadal pozostają w zbiorze tajnym i nie można było

z nich skorzystać.

Z oczywistych względów nie zdecydowałem się ujawnić niektórych nazwisk, które znalazłem w zbiorach IPN. Dotyczy to osób prywatnych, szczególnie kobiet związanych z pułkownikiem Kuklińskim. Nie chciałem ingerować w życie prywatne tych osób oraz ich rodzin, co zapewne Czytelnicy zrozumieją.

Poza tym jak zwykle sięgałem do pamiętników, dzienników



i wywiadów, dużą rolę odegrały również źródła prasowe z epoki PRL. Wprawdzie nacechowane są one charakterystyczną dla tych czasów propagandą, ale znakomicie oddają realia epoki.

Nie bez powodu książka nosi tytuł „Wielcy szpieczy w PRL”, przedstawiam bowiem zarówno funkcjonariuszy służb specjalnych Polski Ludowej, jak i ludzi, którzy działali w Polsce na rzecz obcych wywiadów. A chcąc

urozmaicić zestaw bohaterów, starałem się przedstawić najróżniejsze aspekty działań wywiadowczych. Nie zabrakło tu zatem dyplomaty będącego rezydentem obcego wywiadu (André Robineau), szpiegowskiego wtórnika działającego pod cudzym nazwiskiem (Jerzy Kaczmarek), gangsterskiej afery z udziałem polskich służb (operacja „Żelazo”), „nielegalnego” agenta realizującego zadania w habitacie zakonu jezuitów

(Tomasz Turowski) czy też szpiegowskiej elity w osobach Mariana Zacharskiego i Ryszarda Kuklińskiego. Nie odmówiłem sobie przyjemności zaprezentowania największej mistyfikacji polskiego wywiadu (Andrzej Czechowicz), a także z pewnym niesmakiem opowiedziałem o człowieku, który z powodu wad charakteru stracił powszechną sympatię i szacunek (Jerzy Pawłowski). Uważam, że opowieść o tych ludziach stanowi

dość urozmaicony i ciekawy przegląd szpiegowskich metod działania. Tym ciekawszy, że również życie prywatne szpiegów bardzo często odbiegało od utartych stereotypów.

Tak jak zwykle starałem się nie oceniać moich bohaterów, nie próbowałem też ich usprawiedliwiać czy atakować. Niech zrobią to Czytelnicy, albowiem moim zadaniem jako historyka i autora jest wyłącznie zaprezentowanie zebra-

nego materiału. I mam nadzieję, że udało mi się to zrobić w sposób interesujący.

I na koniec jeszcze jedna refleksja. Przywykliśmy uważać, że Służba Bezpieczeństwa, której częścią był wywiad cywilny, to banda degeneratów i półgłówków, którzy swoją przewagę zawdzięczali wyłącznie terrorowi. Nie wdając się w szczegóły metod działania SB, warto powiedzieć, że szefowie i funkcjonariusze wy-

wiadu nie byli nieudacznikami. To ludzie znakomicie przygotowani do realizacji określonych zadań i wykonujący je na ogół w sposób profesjonalny. Inna rzecz, że w ostatecznym rozrachunku służyli oni sprawie komunizmu, a w konsekwencji – interesom Kremla.

Na zakończenie chciałem podziękować pani Rozalii Romaniec oraz panom Cezaremu Gmyzowi, Sławomirowi Cenckiewi-

czowi i Piotrowi Zychowiczowi,  
bez których pomocy ta książka na  
pewno byłaby znacznie uboższa.

*Sławomir Koper*



# **Rozdział 1**

## **Zamiast wstępu**





## *NIEBEZPIECZNA PROFESJA*

**Z**apewne wszyscy widzowie filmu *Jack Strong* Władysława Pasikowskiego zapamiętali jego pierwsze sceny – egzekucję Olega Pieńkowskiego w piecu hutniczym. Pułkownik GRU (sowieckiego wywiadu woj-

skowego), który współpracował z CIA, został uznany za zdrajcę, a szczególną furję na Kremlu wzbudziła waga informacji, jakie przekazał na Zachód. To właśnie dzięki nim władze USA dowiedziały się prawdy o potencjale nuklearnym ZSRR i mogły prowadzić odważniejszą politykę. Dlatego też podczas kryzysu kubańskiego w USA nie obawiano się wybuchu III wojny światowej.

Pieńkowskiego aresztowano

jesienią 1962 roku, osądzono podczas pokazowego procesu w Moskwie i skazano na karę śmierci. Według oficjalnych informacji został on rozstrzelany, ale w kręgach wywiadowczych krążyła opowieść o wrzuceniu agenta do pieca hutniczego. Niektórzy twierdzili, że egzekucja była jeszcze bardziej okrutna, bo Pieńkowski spłonął żywcem w piecu krematoryjnym, a jego śmierć sfilmowano dla celów szkoleniowych.

„[...] kamera ukazuje w zbliżeniu twarz żywego człowieka – pisał Wiktor Suworow. – Twarz zlaną potem. Gorąco przy piecu. Twarz filmowana jest ze wszystkich stron bezgranicznie długo. Wreszcie kamera oddala się, ukazując całą postać. Człowiek nie nosi fartucha. Jest ubrany w drogi czarny garnitur, co prawda straszliwie wymięty. Krawat na szyi skręcony jak sznur. Przywiązano go stalową linką do noszy,

które oparto o ścianę na tylnych uchwytach, tak aby mógł widzieć wlot pieca”[1].

Wprawdzie aresztowanie szpiega zawsze uważano za mniejszy sukces niż jego odwrócenie (zwerbowanie), to jednak w przypadku własnych funkcjonariuszy sytuacja była inna. I jeśli tylko udało się ich zatrzymać, z reguły stawali oni przed sądem, a wymierzona im kara musiała być odstraszającym przykładem.

„I oto nosze płynnie ruszyły w stronę pieca. Drzwiczki pieca rozsunęły się na boki, rzucając na podszwy dawno nie czyszczonych lakierków snop białego światła. Oto stopy zbliżają się do ognia. Człowiek stara się zgiąć nogi, podkurczyć kolana, zwiększyć odstęp między stopami i szalejącym ogniem”[2].

Wszystkie szczegóły pokazowej egzekucji były perfekcyjnie dopracowane i nic nie pozosta-

wiono tu przypadkowi. To miał być przerażający dowód na potwierdzenie tezy, że zdrada zawsze zostanie ukarana. Dlatego film ten pokazywano każdemu nowemu adeptowi służby wywiadowczej.

„[...] słyszę ten bezdźwięczny krzyk, który mógłby zrywać drzwi z zawiasów. [...] Po prostu człowiek nie chce iść do pieca i stara się w jakiś sposób dać temu wyraz. A jakże to wyrazić, jak nie krzykiem? No więc krzy-



czy. Na szczęście ów krzyk nie został uwieczniony. Oto lakierowane buty poszły w ogień. Poszły, niech to wszyscy diabli.

Ogień szaleje. Pewnie tłoczą tlen. Dwaj pierwsi palacze odskakują, dwaj ostatni mocno popychają nosze w głąb. Drzwiczki paleniska zamykają się i ucicha terkot aparatu projekcyjnego”[\[3\]](#).

## *PRAWDA I LEGENDA*

## *O SZPIEGOWSKIEJ ROBOCIE*

Wbrew powszechnym wyobrażeniom służba funkcjonariuszy wywiadu wcale nie przypominała filmów o Jamesie Bondzie. Nie spędzali oni czasu w eleganckich lokalach w towarzystwie pięknych kobiet, nie wydawali dużych sum na swoje utrzymanie. Ich zadaniem było jak najlepsze wtopienie się w otoczenie, a to oznaczało rezygnację z wszelkiego ro-

dzaju ekstrawagancji. Dotyczyło to zresztą nie tylko agentów przebywających za granicą, bo funkcjonariusze wywiadu również we własnym kraju pozostawali pod stałą obserwacją.

„Wbrew obiegowej opinii na temat esbeków mocno pilnowano »resortowej moralności« – twierdzi dziennikarz śledczy Cezary Gmyz. – Posiadanie kochanki, publiczne upijanie się, rodzinne awantury – to nie były rzeczy tole-

rowane i akceptowane. Oczywiście zdarzały się, jak wszędzie, ale tego typu sytuacje były szybko wyłapywane przez tzw. »zofkę« (ZOF – Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy) i nieraz kończyły się wydaleniem ze służby albo przesunięciem na inne, z reguły podrzędne stanowisko. Zwyczajne przypadki naruszania owego esbeckiego certyfikatu moralności były surowo tępione. [...] Kiedy ktoś zaczynał za dużo pić albo obnosić się z kochanką, to po

prostu wylatywał ze służby”[4].

Ważną rolę w werbowaniu kandydatów na etatowych oficerów wywiadu odgrywał ich wygląd zewnętrzny, w rzeczywistości bowiem daleko odbiegał on od opisów przedstawianych w literaturze sensacyjnej. Funkcjonariusz wywiadu (lub kontrwywiadu) podczas wypełniania zleconego zadania wcale nie nosił ciemnych okularów czy kapelusza nasuniętego na oczy, nie stawiał również kołnie-

rza płaszcz i nigdy nie trzymał rąk w kieszeniach. Zgodnie bowiem z podstawową zasadą branży agent miał pozostać człowiekiem, na którego nikt nie zwracał większej uwagi. Nie mógł też mieć żadnych znaków szczególnych, nie powinien wyróżniać się wzrostem czy budową ciała, a jego twarz i sylwetka powinny być trudne do zapamiętania.

Kolejną legendą jest sprawa uzbrojenia agentów wywiadu.

Wcale nie posiadali oni najnowszych modeli broni osobistej, nie mówiąc już o specjalnych wynalazkach mających służyć do walki wręcz, albowiem w pracy szpiega najbardziej skuteczne są inteligencja i opanowanie.

„Niech tylko zdarzy się wam popełnić błąd – tłumaczono słuchaczom w szkole GRU – z miejsca kontrwywiad przeciwnika rzuci przeciwko wam śmiągłowce, gaz, psy, supernowoczesną

technikę, sto samochodów, trzystu zawodowych policjantów. Na nic nie zda się wtedy pistolecik. Stwarza tylko złudne poczucie bezpieczeństwa. Pragniemy pozbawić was wszystkich złudzeń. Możecie liczyć tylko na własną głowę, na własną inteligencję”[5].

Agenci wprawdzie często dostawali broń i przechodzili odpowiednie przeszkolenie strzeleckie, ale traktowano to marginalnie. Efektowne pościgi i strzelaniny są



bowiem takim samym atrybutem literatury szpiegowskiej jak czarne okulary czy elegancki garnitur.

To wszystko nie dotyczyło jednak informatorów i współpracowników wywiadu. Ci ludzie nie powinni bowiem zmieniać swoich przyzwyczajeń i jeżeli wcześniej przejawiali upodobania do rozrywkowego trybu życia, to po ich zwerbowaniu tak miało dalej pozostać. Idealnym tego przykładem był jeden z bohaterów tej książki,

Jerzy Pawłowski. Znakomity polski szablista w ciągu wielu lat nie zmienił swojego trybu życia; identycznie zachowywał się zarówno jako współpracownik polskiego kontrwywiadu, jak i amerykański szpieg.

Od wielu lat nie zmieniały się też metody werbowania współpracowników. Jak zwykle w cenie był szantaż wykorzystujący różne ludzkie grzeszki.

„Każdy ma jakieś słabości

– potwierdzał Czesław Kiszczak. – Mało jest ludzi, których nie dałoby się zwerbować. Jeden lubi pieniądze, drugi wódkę lub dziewczyny. Jedno pijaństwo, drugie pijaństwo, jedna rozmowa przy wódce, druga rozmowa przy wódce, coś tam nieopatrznie powiedział, to się dokumentuje...”[6].

Najważniejszą rolę w szantażu odgrywały sprawy intymne, albowiem potencjalni współpracownicy, a więc ludzie na odpo-

wiednich stanowiskach, z reguły byli mężczyznami żonatymi. Z wielu powodów nie chcieli rozbić swoich związków, co skrzętnie wykorzystywano przy werbunku.

„Przykładowo – kontynuował Kiszczak. – Żonaty mężczyzna. Boi się żony, bo żona pochodzi z bogatej i wpływowej rodziny. Kariera jego jest oparta na małżeństwie, bo teść jest znanym politykiem. Żona nie jest najładniejsza,

ożenił się dla kariery. Sam jest przystojniakiem. Na ulicy spotyka dziewczyny jak marzenie. Podskoczył raz, drugi raz, nadzieją się na agenturę, zainstalowano mu podsłuch, podgląd, sfilmowali sceny miłosne, nagrali te jego wszystkie rozmowy... A jak jeszcze coś brzydkiego o tej żonie powiedział... Pokazuje się delikwentowi zdjęcia, taśmy... Mówi mu się: »Jesteś skończony, teść ma długie ręce«”[7].

## *ZE SZPIEGOWSKIEJ KUCHNI*

Jednym z ulubionych motywów scenariuszy filmów sensacyjnych była zamiana aktówek z dokumentami – miał to być najczęściej stosowany sposób dostarczania zdobytych informacji do centrali. W rzeczywistości było zupełnie inaczej.

„[...] błyskawiczne przekazanie materiałów – tłumaczył polski szpieg w Watykanie, Tomasz

Turowski – czyli idzie się w tłumie i nagle przechodzi obok kogoś i ociera się o niego – i materiał jest już przekazany [...]. Niekoniecznie do kieszeni. Tak się wkłada, żeby nikt tego nie zauważył. Żadnego wymachiwania rękami, bo nawet najgłupsza obserwacja to wyłapie. Zamiana obiektów, na przykład jednakowych teczek, też nie wchodzi w rachubę. To dobre w filmach akcji kategorii C. Bardzo dobrym miejscem jest

metro, gdzie jest tłok; podsuniecie skrawka papieru w ciągu ułamka sekundy nie jest problemem”[8].

Ten rodzaj łączności miał jednak pewne ograniczenia, nie był przystosowany do przekazywania większych ilości materiałów szpiegowskich. Do tego celu wykorzystywano tzw. martwe skrzynki kontaktowe, czyli odpowiednio spreparowane miejsca, w których można było złożyć materiały.

„To wybrane miejsce,



w którym deponuje się materiał informacyjny – wyjaśniał Turowski. – Kredą się zaznacza, że skrzynka zawiera materiał do odebrania. Nazywa się »martwa«, dlatego że nie ma tu czynnika ludzkiego”[9].

Do przetrzucania zdobyczy do kraju używano specjalnych kurierów, a przesyłki miały status poczty dyplomatycznej. Jednak podczas wojny wywiadów nieraz zdarzyło się, że nawet poczta dyplomatyczna nie była wystarczają-

cym zabezpieczeniem. Dlatego też stosowano specjalne środki ostrożności.

„Kurier bagaż ma przypięty do ręki łańcuchem z ogniwami [...] i przez całą drogę się z nim nie rozstaje – opowiadał Marian Zacharski. – W tej »osobistej« walizeczce znajduje się ładunek, który – w razie otwarcia jej przez osobę niepowołaną – spopieli całą zawartość. [...] Kurierzy latają we dwójkę, na wypadek gdyby które-

muś z nich przytrafiły się kłopoty zdrowotne”[10].

Z niewiadomych powodów powszechnie uważa się, że wywiad PRL był zacofany w stosunku do służb innych państw. To nieprawda – w bloku wschodnim istniał bowiem podział zadań wywiadowczych, a polskie służby w swojej specjalności odnosiły znaczące sukcesy. Inna sprawa, że sukcesy te nie były tak spektakularne jak osiągnięcia wywiadu sowieckiego

czy NRD-owskiego.

„W wywiadzie politycznym byliśmy zdecydowanie słabsi głównie dlatego, że byliśmy za biedni – mówił Czesław Kiszczak. – Natomiast w wywiadzie technologicznym (zwłaszcza elektro-niczno-maszynowym, chemicznym i farmaceutycznym) byliśmy, jak sądzę, bardzo dobrzy. Do dziś powinny znajdować się w MSW pisma z różnych ministerstw zamawiających różne technologie

i późniejsze podziękowania wraz z wyliczeniem, ile to zysków przyniosło Polsce. To były dziesiątki, a nawet niekiedy setki milionów dolarów rocznie”[11].

Wykorzystywano najnowsze zdobycze techniki, a między służbami państw komunistycznych funkcjonowała wymiana technologiczna. Świadczone wzajemne usługi mające ułatwić współpracę i w laboratoriach „bratniego” kraju nieraz realizowano specjalne za-

mówienia polskiego wywiadu. Największe znaczenie miały badania nad rozwojem przekazu informacji i technik fotograficznych.

„Mieliśmy przystawkę – wspominał Turowski – która pozwalała na zapamiętanie tysiąca grup, czyli pięciu tysięcy znaków, bo grupa szyfrogramu składa się z pięciu znaków-cyfr. Żeby nadać informację i nie pozwolić służbom pelengacyjnym przeciwnika na określenie miejsca nadawania, sy-

gnał musi iść błyskawicznie, przez ułamek sekundy. I powinien być nadawany z punktu przemieszczającego się szybko, czyli na przykład z samochodu”[12].

Meldunki nadawano, wkładając odpowiedni kabel do gniazdka zapalniczki samochodowej i rozwijając antenę przypominającą zwykłą antenę radiową. Przechwycenie takiej depeszy było praktycznie niemożliwe, bo czas emisji był zbyt krótki, a jej źródło

błyskawicznie zmieniało swoje położenie.

Wiadomości zwrotne otrzymywano drogą radiową, poprzez zaszyfrowane komunikaty nadawane na odpowiednich częstotliwościach. Ze względów bezpieczeństwa do ich odbioru używano standardowych odbiorników radiowych normalnie dostępnych w sklepach.

Klasyczny szpiegowski atrybut, czyli miniaturowy aparat



fotograficzny, to urządzenie rzadko używane i raczej legendarne. Dobrej jakości zdjęcia można było wykonać zwykłym aparatem (na przykład praktyką), pod warunkiem że istniała możliwość zabrania ze sobą dokumentów. Normalny aparat fotograficzny nie rzucał się w oczy i nie wzbudzał podejrzeń w przypadku rewizji. Ogromne natomiast znaczenie miał pewien wynalazek naukowców z NRD.

„Niemcy stosowali go przy najważniejszych sprawach – relacjonował Zacharski. – Był to film do kamery filmowej, dlatego można było na nim robić około 1800 zdjęć. To był duży postęp, bo dotychczasowe aparaty dawały nam szansę na 36–60 zdjęć. Klisza była umieszczana w oryginalnej kasecie kupowanego filmu Agfa czy Kodak. Przygotowywano to tak, że pozostawiano oryginalną taśmę, mniej więcej 1,5 metra na

początku i na końcu szpuli. Między te odcinki wklejano film specjalny, o dużej rozdzielczości, odpowiedni do fotografowania dokumentów”[13].

Nie rezygnowano również z metod stosowanych od dziesiątków lat. Czasami posługiwano się nawet atramentem sympatycznym, jednak przy przesyłaniu informacji za pomocą zwykłej poczty bardziej skuteczna okazywała się nowsza technologia.

„Znajomość chemii w pracy operacyjnej, jeśli się przesyła mel-dunki, jest niezbędna – potwier-dzał Turowski. – To była głównie kwestia fotografii i ukrytego prze-syłania informacji. Tzw. technika mikrokropki, mikropunktu. Robi się zdjęcie mikrofilmowe, po czym przez obróbkę kliszy filmo-wej zdejmuje się miękką część, która jest elementem nośnym ob-razu, z podłoża plastikowego, a potem z tego się formuje malu-

sieńką kropkę i podkleja na przykład pod znaczek na kopercie. Albo pod słowami: »Droga Ciociu, pięknie tutaj, słońce świeci«. I się wysyła”[14].

Możliwości techniczne ówczesnego wywiadu były nadspodziewanie duże. W latach 70. Turowski kopiował watykańskie dokumenty za pomocą skanera (!) ukrytego w brewiarzu. Wystarczyło, że przesunął go nad księgą, nie musiał nawet wyjmować urzą-

dzenia na zewnątrz. Jedyнным problemem było to, że skaner miał ograniczoną pojemność pozwalającą na skopiowanie zaledwie kilku dokumentów.

Działalność szpiegowska zawsze pozostawała domeną ludzi o stalowych nerwach. Najgorsza była stała niepewność, bo w ten zawód od zawsze wpisany był brak zaufania. I pod tym względem zapewne nic nie zmieniło się do dnia dzisiejszego.

„W służbach specjalnych niektórzy dowcipkują – ironizował Turowski – że nigdy nie wiadomo, kto cię bije w zęby, czy to twój, żeby zobaczyć, kiedy się złamiesz, czy to naprawdę wróg. Więc to szkolenie przygotowuje na sytuacje właśnie tego typu”[\[15\]](#).

## *OFIARA MAŁŻEŃSKIEJ MIŁOŚCI*

„[...] to są książkowe historie – odpowiadał generał Kiszczak na pytanie o szkolenie agentów do wykonywania tzw. mokrej roboty. – Jeżeli już zachodzi potrzeba zrobienia czegoś takiego, to wysyła się lub poszukuje na miejscu specjalistów, którzy niczym innym się nie zajmują, tylko tym. Myśmy takich metod nigdy nie stosowali, ale robiły to od czasu do czasu największe wywiady zachodnie, no i radziecki”**[16]**.



Były szef MSW najwyraźniej miał krótką pamięć albo w ogóle nie znał historii swojego resortu. Wywiad PRL, podobnie jak służby innych państw, nie tolerował bowiem zdrajców i podejmował starania, aby ich wyeliminować. Kiedy zdrajca był poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości, wysyłano na Zachód ekipę, której zadaniem było zlikwidowanie go. Tak stało się w przypadku kapitana Władysława Mroza, albowiem

wówczas obawiano się, że nawet najmniejsza zwłoka spowoduje jeszcze większe szkody.

Duży wpływ na dezercję Mroza miała jego żona, Leokadia Guzek. Ta urodzona we Francji Polka, zniechęcona do warunków panujących w kraju, z nostalgią wspominała pobyt nad Sekwaną. Przy okazji uczyła męża języka francuskiego, co w przyszłości miało się okazać bardzo przydatne.

Mróz zrobił znakomitą ka-

rierę w strukturach wywiadowczych. Był jednym z twórców wywiadu „nielegalnego”, często podróżował służbowo do krajów skandynawskich, Izraela i Wielkiej Brytanii. Obsługiwał tam „uśpio-nych” agentów, spotykał się z zaufanymi współpracownikami. I dysponował ogromną wiedzą o tajnych służbach PRL.

Uległ jednak wpływowi żony i wystąpił o przydzielenie mu zadania we Francji. Miał tam zo-

stać nielegalnym, czyli agentem pozbawionym ochrony dyplomatycznej. Sytuacja nielegalna w przypadku dekonspiracji była o wiele gorsza od sytuacji agenta, który działał za granicą jako oficjalny przedstawiciel władz polskich (attaché kulturalny, sekretarz ambasady czy konsulatu) i któremu groziło najwyżej wydalenie z kraju.

Wyjechał w 1959 roku i trzeba przyznać, że był agentem znakomicie zakonspirowanym.

Pracował jako fotograf w jednej z lokalnych gazet, a przez pierwsze dwa lata miał pozostawać w „zamrożeniu”, aby nie wzbudzać zainteresowania w nowym otoczeniu.

Mimo to francuski kontrwywiad szybko wpadł na jego ślad. Możliwe, że wydał go jeden z kolegów, którzy zbiegli na Zachód. Niewykluczone też, że za wszystkim stała żona, która zrobiła to „z miłości”, bo za wszelką cenę

chciała pozostać z nim i dziećmi nad Sekwaną i była pewna, że Francuzi zapewnią im bezpieczeństwo.

Miejscowe służby bez większych problemów przewerbowały kapitana na swoją stronę.

„Pewnie postawili mu ultimatum – podejrzewał Witold Bagieński z IPN. – Albo przechodzisz na naszą stronę, albo spędzisz resztę życia w więzieniu. Pękl”[17].

Podczas przesłuchań Mróz zdradził wszystkie tajemnice. Dotyczyły one nie tylko siatki polskich agentów we Francji, ale również technik operacyjnych. Dodał jeszcze do tego nazwiska znanych mu współpracowników wywiadu na terenie Izraela i Wielkiej Brytanii. Ujawnionych osób nie zatrzymywano, ponieważ uznano, że to mogłoby zdekonspirować Mroza, który odgrywał odtąd rolę podwójnego agenta. Z tego samego po-

wodu nie zapewniono mu ochrony osobistej, co miało przynieść fatalne skutki.

Pierwsze informacje o zdradzie Mroza napłynęły od sowieckiego wywiadu, ale początkowo uznano je za mało wiarygodne. Z czasem jednak kapitan zaczął popełniać błędy – wyszło na jaw, że mieszka wraz z rodziną w budynku francuskiego MSW, a w korespondencji z centralą podawał inny adres. Zdarzyło się też, że



podczas przypadkowego spotkania na ulicy z innym polskim agentem nie wytrzymał nerwowo i wycofał się w popłochu.

W tej sytuacji centrala zdecydowała się odwołać Mroza do Polski, ten jednak pod różnymi pozorami opóźniał powrót. Wtedy też jego polscy zwierzchnicy stracili ostatnie złudzenia.

„[...] W końcu upewniliśmy się – wspominał podpułkownik Janusz Kochański – że infor-

macje docierające na Zachód nie mogły pochodzić od nikogo innego oprócz Władysława Mroza. Decyzja była szybka i ostateczna; Mróz powinien zostać zlikwidowany, zanim zdradzi wszystko i wszystkich, o ile już tego nie uczynił”[18].

Nie było możliwości oficjalnego oskarżenia Mroza o zdradę i oddania go pod sąd wojskowy. Ale chociaż działano w wyjątkowym w pośpiechu, akcja

została dobrze zaplanowana. Normalnym kanałem informacyjnym kapitan dostał informację o ciężkim wypadku ojca, po czym „przypadkowo” spotkał na ulicy swojego znajomego z Warszawy. Oczywiście chciał mu podać list do ojca i w tym celu umówił się z nim na spotkanie wieczorem.

W umówionym miejscu na kapitana czekali już egzekutorzy. Wciągnęli go do samochodu i wywieźli na wysypisko śmieci w po-

blizu robotniczej dzielnicy Argenteuil. Władysław Mróz zginął od strzału w głowę z bliskiej odległości, a bezpośrednim egzekutorem był podobno człowiek, który znał go osobiście i na ochotnika zgłosił się do realizacji tego zadania.

Kilka dni po śmierci kapitana władze francuskie dokonały aresztowań wśród zdekonspirowanych przez niego informatorów polskiego wywiadu. Oznaczało to kompletną dezorganizację siatki

szpiegowskiej PRL we Francji, zaprzepaszczone zostały efekty wieloletniej pracy polskich służb.

Kapitan był jedynym polskim oficerem wywiadu, którego w epoce PRL zlikwidowano poza granicami kraju. Gdy umierał, jego żona była po raz trzeci w ciąży...

## *PROBLEMY RODZINNE PODPUŁKOWNIKA*

# *GOLENIEWSKIEGO*

Kilka tygodni po śmierci kapitana Mroza na Zachód zbiegł podpułkownik Michał Goleniewski, były zastępca dowódcy polskiego kontrwywiadu i naczelnik Wydziału VI (wywiadu naukowo-technicznego) Departamentu I MSW. Był to najwyższy rangą oficer wywiadu PRL, który zdecydował się na ucieczkę z kraju.

Dezercja Goleniewskiego

wywołała w kraju konsternację, podpułkownik uchodził bowiem za zaufanego człowieka KGB w strukturach polskiego wywiadu. Był niezwykle inteligentny i ambitny, uważano go za oficera o dużych zdolnościach organizacyjnych. Nigdy też nie powątpiewano w jego właściwą postawę ideową.

„Ambicją podpułkownika Goleniewskiego jest być zawsze widocznym i sprzedać jak najlepiej osiągnięcia zarówno własne,

jak i wydziału – pisano w opinii służbowej. – Ponieważ jednostka nie zawsze jest należycie znana i oceniana, należy to uznać za plus pomagający w robocie”[19].

Współpracę z Amerykanami podjął na dwa lata przed ucieczką. Wówczas też zaczął przekazywać na Zachód dokumenty polskiego wywiadu.

„W kwietniu 1958 roku w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Bernie podrzucona została



paczka listów i dokumentów – wspominał Jan Nowak-Jeziorański. – Nieznany osobnik, występujący pod niemieckim pseudonimem Heckenschütze [snajper – S.K.], przedstawiał się w załączonym liście jako wysoki funkcjonariusz polskiego wywiadu. Dostarczone informacje dotyczyły sieci wywiadu sowieckiego i polskiego w Europie Zachodniej. Do anonimowego informatora odniesiono się z należytym sceptycy-

zmem”[20].

Amerykanie dokładnie sprawdzili przesyłkę, wykonali nawet badania papieru, na którym skopiowano dokumenty. Analizy potwierdziły polskie pochodzenie nadawcy, co raczej wykluczało prowokację sowieckiego wywiadu.

„[...] po starannym zbadaniu przekazanych informacji znaleziono ich potwierdzenie – kontynuował Nowak-Jeziorański. – Pakiety, podrzucane tą metodą

w ciągu następnych 33 miesięcy, były już traktowane bardzo poważnie”[21].

Michał Goleniewski do końca 1960 roku przekazał 14 przesyłek. Wobec CIA zachowywał jednak pełną anonimowość, a kwestia jego tożsamości stała się przedmiotem dociekań Amerykanów. W pierwszych dniach 1961 roku przesłał informację, że zamierza zbiec do Berlina Zachodniego. I faktycznie, 4 stycznia do-

tarł do amerykańskiego konsulatu w towarzystwie obywatelki NRD, Irmgard Kampf.

Trudno jednoznacznie określić motywy decyzji Goleniewskiego. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak podejrzewać, że decydującą rolę odegrało jego nieudane życie rodzinne.

„Znałem go bardzo dobrze – mówił pułkownik Stefan Antosiewicz. – Dlatego jestem głęboko przekonany, że do ucieczki skło-

niło go nieszczęśliwe małżeństwo. Żona – Rosjanka – była podczas wojny wywieziona na roboty do Rzeszy. Tam poznała swojego pierwszego męża – Polaka. Mieli wspólnie dziecko. Po wojnie osiedlili się w Nowym Tomyślu. Niestety, wkrótce wskutek choroby zmarł jej pierwszy mąż. Po jego śmierci wyszła ponownie za mąż, właśnie za Michała. Wspólnie wychowywali trójkę dzieci. Z biegiem czasu zaczęła popadać

w chorobę nerwową. Prawdopodobnie przyczyną były jakieś wojenne przeżycia, od których nie mogła się uwolnić. Wiem, że Goleniewski bardzo to przeżywał. W końcu chyba nie wytrzymał. Poznał młodszą od siebie Niemkę. Właśnie z nią wyjechał”[22].

Sytuacja rodzinna Goleniewskiego nie była tajemnicą dla jego przełożonych, bo podpułkownik pisał o niej w swoich raportach. Twierdził, że żona od sześciu

lat cierpi na schizofrenię uroje-  
niową, co całkowicie zniszczyło  
ich życie rodzinne. Leczenie bo-  
wiem nie przynosiło żadnych efek-  
tów.

„Za radą lekarza – pisał Go-  
leniewski – już w trakcie mocno  
rozwinętej nerwicy spowodowa-  
nej przeżyciami osobistymi, pół-  
tora roku temu wyprowadziłem się  
z domu – dokładniej wypędzony  
zostałem z domu poprzez popę-  
dzaną urojeniami żonę i zamiesz-

kałem wspólnie z matką, pozostawiając na użytek rodziny mieszkanie wraz z umeblowaniem i całym gospodarstwem domowym”[23].

Żona zamierzała wraz z dziećmi wyjechać do ZSRR, zapowiadała też wystąpienie o rozwód i przywrócenie jej sowieckiego obywatelstwa. Natomiast Goleniewski podczas służbowego pobytu w Berlinie Wschodnim poznał 28-letnią Irmgard Kampf, z którą nawiązał romans. Miał



o swojej partnerce jak najlepszą opinię, o czym lojalnie meldował przełożonym:

„Miła powierzchowność wiązała się u niej z pozytywnymi cechami charakteru – kulturalne zachowanie się, skromność, szczerść, przywiązanie do rodziny, gotowość pomocy, czystość, troskliwość i oszczędność. Twierdziła, że pochodzi z biednej, robotniczej rodziny – mimo to jednak wychowana została dobrze [...]. Nie ta-

ilem przed nią, że posiadam żonę, z którą nie żyję, co było dla niej na początku kłopotliwe, nie zrezygnowała jednak ze znajomości. Było rzeczą oczywistą, że IK jest jak najbardziej po ludzku zakochana”[24].

Irmgard namawiała partnera do ucieczki na Zachód, twierdząc, że pod rządami komunistów nie mają żadnej przyszłości. Goleniewski uległ jej sugestiom, dezercja rozwiązywała bowiem jego

problemy rodzinne, a dodatkowo liczył na to, że dobrze sprzeda swoją wiedzę Amerykanom.

Pobierał z kasy resortu coraz większe sumy, oficjalnie na potrzeby częstych podróży służbowych, i wpłacał je dyskretnie na konto Irmgard. Pieniądze te miały stanowić zabezpieczenie ich wspólnej przyszłości. Funkcjonariusze niemieckiej Stasi przeoczyli ten proceder, chociaż Irmgard zarabiała tylko 300 marek wschod-

nioniemieckich i nie mogła zgromadzić tak dużych oszczędności. Nie zwrócono również uwagi na fakt, że ta skromna pracownica sekretariatu berlińskiej szkoły średniej nosi szwajcarską biżuterię, posiada francuskie futro i ubrania pochodzące z renomowanych firm brytyjskich. Wszystko to przysyłał jej ze swoich podróży służbowych zakochany Goleniewski.

Podpułkownik starannie przygotował się do emigracji.

Przekazywane przez niego informacje okazały się niezwykle cenne, co gwarantowało mu azyl polityczny i wygodne życie. Tuż przed ucieczką rozmieścił w kilku skrytkach na terenie Warszawy dodatkowe klisze z fotokopiami dokumentów, które niebawem CIA przetransportowała do USA. Następnie pobrał ostatnią zaliczkę na służbowy wyjazd do Berlina (16 300 marek zachodnioniemieckich i 300 dolarów) i zniknął razem

z Irmgard.

## „*CAREWICZ ALEKSY*”

Następnego dnia oboje zostali przewiezieni do amerykańskiej bazy lotniczej w Wiesbaden, a tydzień później byli już w Stanach Zjednoczonych. Tam Goleniewskiego poddano przesłuchaniom, które trwały ponad dwa lata.

Uzyskane informacje pozwoliły na skazanie kilkunastu agentów państw komunistycznych działających na terenie USA, Wielkiej Brytanii, RFN, Szwecji oraz Izraela.

Najcenniejsze były jednak wiadomości o zasadach pracy wywiadu i kontrwywiadu państw bloku wschodniego. Goleniewski podał nawet informacje o metodach podsłuchu stosowanych w ambasadach amerykańskich w Eu-

ropie Wschodniej.

„To, co wiemy – przyznał przełożony Goleniewskiego, pułkownik Witold Sienkiewicz – to jest minimalna częśćka tego, co faktycznie zostało sprzedane przeciwnikowi. Dorobek tego odcinka pracy przez jakieś 5 lat musimy spisać [na straty] i zaczynać wszystko od nowa. Niezależnie od strat operacyjnych będą straty natury obronności”[\[25\]](#).

Goleniewski miał znako-



mitą pamięć, co było dla CIA prawdziwym darem losu. Podpułkownik potrafił przypomnieć sobie szczegóły niemal każdej narady służbowej i niemal każdej decyzji przełożonych. Niestety, z upływem czasu zaczął zdradzać objawy choroby umysłowej. Pewnego dnia oświadczył osłupiałym Amerykanom, że tak naprawdę, to nie nazywa się Goleniewski, tylko Aleksy Nikołajewicz Romanow i jest synem ostatniego cara Rosji.

Nie przeszkadzało mu to, że oryginalny carewicz urodził się 18 lat wcześniej niż on (w 1904 roku), i z uporem twierdził, że jest Aleksym, który podczas rewolucji zbiegł do Polski.

„[...] w czasie naszych rozmów z Goleniewskim CIA zaczęła go podejrzewać o poważne zaburzenia umysłowe – opowiadał funkcjonariusz angielskiego wywiadu, Peter Wright. – Zaczął mieć przywidzenia, że jest potom-

kiem cara. Mimo to jego informacje wywiadowcze nadal były nadzwyczaj dokładne”[26].

Gdy mówił tylko o sprawach zawodowych, pozostawał „dokładny, błyskotliwy” i przedstawiał „szczególnie owocne” informacje na temat „konfliktu pomiędzy Wschodem i Zachodem”. Jednak sprawa „Romanowów” zawsze pojawiała się pod koniec długich dyskusji”. Nie poprzestawał zresztą na rozmowach, bo w 1964

roku oficjalnie zwrócił się do sądu w Hamburgu z powództwem o uznanie jego roszczeń. Przy okazji ogłosił, że inni członkowie carskiej rodziny również przeżyli rewolucję:

„Matka moja, Aleksandra Fiodorowna Romanowa, z domu Alice Hessen-Darmstadt, zmarła w 1924 roku w Warszawie (Polska). Ojciec mój, imperator Rosji (Mikołaj Aleksandrowicz Romanow) zmarł w 1952 roku w mieście Po-

znań (Polska). Proszę sąd o potwierdzenie moich praw do dziedziczenia po moich nieżyjących rodzicach”[27].

Sąd oczywiście oddalił powództwo, co wcale nie zniechęciło Goleniewskiego. We wrześniu poślubił Irmgard Kampf, ślub odbył się w nowojorskiej katedrze prawosławnej, a podpułkownik występował jako Aleksy Romanow. Przy tej okazji część rosyjskich emigrantów obwołała go następcą car-

skiego tronu...

Pojawiał się w programach radiowych i udzielał wywiadów prasowych, opowiadając w nich historię swojego „cudownego uratowania” z rąk bolszewików. Doszło wreszcie do tego, że dyrektor CIA z obawy przed kompromitacją odmówił zgody na przesłuchanie podpułkownika przed senacką Podkomisją Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Z upływem czasu Gole-

niewski stawał się zupełnie nieprzewidywalny, a jego zeznania wprowadzały śledczych w coraz większe zakłopotanie. Zarzucił współpracę z KGB Henryemu Kissingerowi oraz szefowi brytyjskiego kontrwywiadu, Michaelowi Hanleyowi. Nigdy jednak nie zakwestionowano informacji przekazanych przez niego w dwóch pierwszych latach współpracy. Dlatego obecnie badacze przychyłają się do tezy, że od pewnego

momentu stał się on nieświadomym narzędziem dezinformacji. A przy okazji nie wytrzymał ciśnienia i zaczął przejawiać oznaki choroby umysłowej.

„Moim zdaniem Goleniewski był wariatem – twierdził pułkownik Henryk Wendrowski. – Ale nie aż tak wielkim, żeby się od razu można było na nim poznać. [...] Sypnął wiele ważnych spraw dotyczących naszych działań na terenie Niemiec, Wielkiej Brytanii i



Izraela. Aby zneutralizować szkody wynikłe z tej ucieczki, wymyślono wiele historyjek na jego temat i »sprzedano« je na Zachód [...]. Z naszych informacji wynikało, że Amerykanie »kupili« dezinformacje. Pomógł w tym sam uciekinier, zgłaszając pretensje do tronu rosyjskiego. Ale nawet jeśli nie »kupili«, to i tak było sporo zamieszania i wywiad Stanów Zjednoczonych do końca nie miał pewności, co jest naprawdę

grane”[28].

Goleniewski do końca życia mieszkał w USA (w Polsce skazano go na karę śmierci), zmienił nazwisko i przeszedł operację plastyczną. Prawdopodobnie służby PRL usiłowały go odnaleźć, aby wykonać na nim wyrok.

„W 1969 roku oficer naszego wywiadu trafił w USA i Brazylii na ślad »carewicza« Goleniewskiego – wspominał Franciszek Szlachcic. – Nie udało się

jednak do niego dotrzeć. Ze wstępnych informacji wynikało, że wywiad USA ma rozbudowany i mocno utajniony ośrodek, w którym zatrudnieni są szpiegzy i rene-gaci. Nadal zajmują się działalnością szpiegowską przeciwko krajom socjalistycznym”[29].

Michał Goleniewski, który do końca życia uważał się za następcę tronu carskiego, zmarł w Nowym Jorku w lipcu 1993 roku.

## *UCIEKINIERY*

Śmierć Władysława Mroza była wyjątkiem, z reguły bowiem funkcjonariusze wywiadu po ucieczce na Zachód byli dobrze chronieni. Poddawali się operacjom plastycznym, zmieniano im personalia. Życie jednak potrafiło pisać najdziwniejsze scenariusze.

W czerwcu 1959 roku na Zachód zbiegł pułkownik Paweł Monat, którego pół roku później

skazano zaocznie na karę śmierci. Jednym z sędziów orzekających w tym procesie był pułkownik Włodzimierz Ostaszewicz, który w listopadzie 1981 roku sam „wybrał wolność”. Wiele lat później stał się on pierwowzorem postaci majora Ostaszewskiego, sąsiada Ryszarda Kuklińskiego w filmie *Jack Strong* Władysława Pasikowskiego. Panowie oficerowie rzeczywiście się przyjaźnili, a przez pewien czas prowadził ich nawet

ten sam pracownik CIA...

Wprawdzie największe szkody powodowały ucieczki wysokich oficerów wywiadu, jednak duże problemy mogła spowodować także dezercja funkcjonariusza niższego stopniem. Tak stało się w przypadku porucznika Andrzeja Kopczyńskiego, którego ucieczka wstrząsnęła całym resortem.

„Był on stosunkowo młodym oficerem, absolwentem pierwszego rocznika Ośrodka

Kształcenia Kadr Wywiadowczych w Kiejkutach – pisał Cezary Gmyz. – Ten rocznik był oczkiem w głowie kierownictwa Departamentu I. Kolegami z roku Kopczyńskiego byli m.in. Gromosław Czempiński i Bogdan Libera. Rocznik ten liczył 56 kursantów – najlepszych z najlepszych. [...] Mimo stosunkowo niskiego stopnia Kopczyński wyrządził komunistycznemu wywiadowi gigantyczne szkody. W sierpniu 1976

roku urwał się z kursu niemieckiego w RFN i poprosił o azyl. [...] Ujawnił personalia około 150 oficerów i czynnych agentów Departamentu I i z tego powodu musiano ściągać na gwałt do kraju oficerów oraz zmieniać numerację poszczególnych wydziałów”[30].

Sprawa Kopczyńskiego miała swój epilog już w wolnej Polsce, oficer powrócił bowiem do kraju i zajął się biznesem. Nie odniósł jednak sukcesu, a podobno



zadbali o to jego dawni koledzy z Kiejkut. Wreszcie poszedł prosić o pomoc Gromosława Czempińskiego, ten jednak wyzwał go od zdrajców i wyrzucił ze swojego gabinetu.

Każda dezercja miała inne motywy, zauważyć jednak można, że z reguły uciekali ludzie, którzy wcześniej poznali zachodnie standardy życia. Wprawdzie po ucieczce zawsze deklarowali nienawiść do komunizmu i ZSRR, ale

prawdą jest, że w zamian za swoje informacje mogli liczyć na przyzwoitą emeryturę fundowaną przez zachodnie demokracje. Przecież nawet żona i córka Goleniewskiego podkreślały po śmierci podpułkownika ideologiczne motywy jego ucieczki, w co raczej trudno uwierzyć.

Rekordowe pod względem liczby dezercji były lata 1981–1982, wówczas to wolność wybrało aż kilkunastu oficerów. Naj-

ważniejszym z nich (oprócz Ryszarda Kuklińskiego i Włodzimierza Ostaszewicza) był protegowany Czesława Kiszczaka, kapitan Jerzy Sumiński.

„Był młodym, przystojnym i gruntownie wykształconym oficerem kontrwywiadu wojskowego – wspominał Kiszczak. – Przez mojego poprzednika został przewidziany do operacyjnego nadzorowania polskiego wywiadu wojskowego – miał nas bronić przed ob-

cymi wywiadami i kontrwywiadami”[31].

Zajmował się zabezpieczeniem kontrwywiadowczym jednostek organizacyjnych wywiadu, odpowiadał również za ochronę łączności specjalnej pomiędzy wojskami państw Układu Warszawskiego. Posiadał rozległą wiedzę na temat agentury PRL oraz metod pracy i łączności.

„Z racji zajmowanego stanowiska miał dostęp do tajemnic –

przyznawał Kiszczak. – Znał niemal wszystkie prawdziwe i fałszywe nazwiska, znał oficerów pod przykryciem, znał całą strukturę organizacyjną, zadania, kierunki, wyniki pracy poszczególnych komórek, rezydentur na świecie... Dzięki swojemu stanowisku zgromadził rozległą wiedzę – nigdzie właściwie niemożliwą do połączenia – o wywiadzie i kontrwywiadzie”[32].

Nie bez znaczenia było

również to, że jego żona uczyła angielskiego na kursach MSW i gdy w 1980 roku poprosiła podopiecznych o pomoc w załatwieniu paszportu, to uzyskała go bez problemów.

Z kolei Sumiński nigdy nie zdawał swojego paszportu, toteż bez żadnych przeszkód w czerwcu 1981 roku wyjechał wraz z rodziną do Austrii (Kiszczak twierdził, że do Szwecji). Stamtąd przedostał się do Stanów Zjednoczonych,

gdzie poprosił o azyl.

Podobno Amerykanie „wycisnęli z niego wszystko”, a jego dezercja sparaliżowała zupełnie działalność wywiadu wojskowego.

„Jak panowie czytają sprawozdania z procesów rehabilitacyjnych, w których znajdują się stwierdzenia, że brak jest dowodów na współpracę, to się śmiejecie z tego – mówił Czesław Kiszczak w 1991 roku. – Każdy, kto trafi w ręce wywiadu, jest wyciskany jak

cytryna. Kto zna ten mechanizm, ten wie, że tu nie ma litości. Wystarczy takiego postraszyć, że się go odeśle do Polski”[33].

Były szef MSW uważał po latach, że ucieczka kapitana Sumińskiego była jego „największą porażką” zawodową:

„Po jakimś czasie, przez obywatela pewnego południowo-amerykańskiego kraju dotarliśmy do odpowiednich komórek wywiadu amerykańskiego i dokopali-



śmy się do tego, co Sumiński przekazał amerykańskiemu wywiadowi. Przekazał bardzo dużo. Bardzo dużo”[34].



# **Rozdział 2**

## **Wtórnik z Poznania**





**Jerzy Kaczmarek:** „*Byłem pracownikiem wywiadu, zostałem zwerbowany i wyposażony*”

w inną tożsamość. Czułem się jak w filmach szpiegowskich. Pracując dla mojego kraju, mogę pracować w jakiś taki sposób fantastyczny, realizować marzenia, być jak superagent, James Bond. Nie miałem perspektyw, by w przeciągu 2, 5 czy 10 lat zarobić i kupić mieszkanie, dom, to było absolutnie nierealne i w związku z tym zgodziłem się na to właśnie”.

## *SZPIEGOWSKIE WTÓRNIKI*

**J**edną z najbardziej spektakularnych metod działania wywiadu była kradzież tożsamości, czyli podszywanie się agentów pod inne, realnie żyjące osoby. Doskonałym, filmowym przykładem zastosowania tzw.

wtórniką był serial *Stawka większa niż życie*, gdzie Polak z Pomorza Stanisław Kolicki (w wersji książkowej Stanisław Moczulski) został podstawiony na miejsce oficera Abwehry Hansa Klossa. Dzięki fizycznemu podobieństwu wszedł w jego tożsamość, a drobniagowa znajomość jego życiorysu umożliwiła mu wychodzenie obronną ręką z różnego rodzaju prób i niebezpieczeństw.

Opracowanie zasady działa-

nia wtórników przypisuje się Sowietom, którzy po krwawej wojnie domowej dysponowali ogromną liczbą tożsamości zamordowanych lub uwięzionych przeciwników reżimu. Nie było zatem problemu, aby na ich miejsce podstawić agentów i wyekspediować ich do zagranicznych środowisk emigracyjnych. W przypadku osób dorosłych istniało jednak poważne ryzyko dekonspiracji, zatem najczęściej wykorzystywano dane oso-



bowe dzieci pozostawionych w Rosji przez ich rodziny. Wyposażeni w wiarygodne biografie agenci, już jako dorośli ludzie, po udanej „ucieczce” ze Związku Sowieckiego odnajdywali na Zachodzie swoich „bliskich” i rozpoczynali szpiegowską działalność.

Z czasem udoskonalono ten proceder i rozpoczęto akcję porywania nieletnich obywateli państw kapitalistycznych. Były to działania zaplanowane na dłuższy okres,

od chwili porwania do czasu „cudownej ucieczki” musiało bowiem upłynąć co najmniej kilka lat. Agent „powracał” w rodzinne strony już jako dorosły człowiek, nikogo zatem nie dziwiły zmiany w jego wyglądzie i charakterze, zresztą przeżycia w sowieckiej niewoli wiele tłumaczyły. Przy okazji, aby zminimalizować możliwość dekonspiracji, po wydobyciu wszystkich potrzebnych informacji, porwane oryginały likwido-

wano.

Nowe możliwości używania wtórników przyniosły II wojna światowa i zmiany granic, które w jej wyniku nastąpiły w Europie. W sierocińcach państw komunistycznych znalazły się tysiące niemieckich sierot, które uznano za potencjalnych „dawców tożsamości”. Zwrócił na to uwagę również polski wywiad, widzący w tych dzieciach znakomitą sposobność do budowy własnej agentury.

„Uplasowanie nielegała w obecnym okresie za pomocą tradycyjnych metod (najczęściej wykonywanie tożsamości fikcyjnej lub osoby nieżyjącej) jest praktycznie niemożliwe – pisał w notatce służbowej pułkownik Mirosław Wojciechowski. – Chodzi tu oczywiście o takie uplasowanie, które w perspektywie stworzy możliwości wywiadowcze (praca na eksponowanym stanowisku, w wojsku, aparacie państwowym,

przy tajnych dokumentach itd.)

Osoby ubiegające się o tego typu pracę muszą wypełnić sześćdziesięciostronicową ankietę personalną (USA), podając wszystkie szkoły i miejsca dotychczasowej pracy wraz z nazwiskami przełożonych, kolegów, adresy zamieszkania itd. Dane z ankiety sprawdzane są następnie przez kilka miesięcy przez FBI. W tej sytuacji »luka w życiorysie« człowieka dorosłego jest nie do ukrycia, co nie-

możliwym czyni plasowanie nielegalnymi metodami tradycyjnymi”[1].

Najłatwiejsze wydawało się ulokowanie agentów na terenie RFN, gdyż po objęciu rządów przez ekipę Edwarda Gierka nastąpiła normalizacja dwustronnych stosunków. Władze PRL pozwoliły na emigrację ponad stu tysięcy Ślązaków i Mazurów, w efekcie czego kierunek niemiecki zaczął odgrywać coraz większą rolę w działaniach wywiadu. Uznano, że

konieczne stało się rozpracowywanie środowisk polskiej emigracji w RFN oraz jej powiązań w kraju.

„Z jednej strony obserwujemy zbliżenie polityczne i gospodarcze między Polską a Republiką Federalną Niemiec, liczne wyjazdy do Niemiec – tłumaczył historyk Władysław Bułhak. – Ale było łatwiej też prowadzić operacje czysto wywiadowcze”[\[2\]](#).

Wywiad PRL miał ułatwione zadanie, w polskich do-

mach dziecka prowadzono bowiem skrupulatną dokumentację niemieckich sierot. Archiwa te przechowywano przez wiele lat, co umożliwiała obserwację wychowanków także po opuszczeniu przez nich placówek. A przy okazji prowadzono działania mające zidentyfikować ich krewnych za żelazną kurtyną.

„Ta płaszczyzna – tłumaczy historyk Sławomir Cenckiewicz – ten obszar znalazły się od razu na



celowniku służb wojskowych i cywilnych. To właśnie przez to, że to dawało możliwości legalnego przetrzucania ludzi na Zachód”[3].

## *HEINZ PETER ARNOLD*

Historia najgłośniejszego wtórnika wywiadu PRL rozpoczęła się u schyłku II wojny światowej w Lęborku. Po zajęciu miasta przez

Sowieci jeden z oficerów Armii Czerwonej zainteresował się urodziwą Hildegardą Arnold. Niemka miała 25 lat i samotnie wychowywała córkę, podczas gdy jej mąż przebywał na froncie. Sowiecki oficer nawiązał z nią romans, którego owocem był nieślubny syn urodzony rok później. Otrzymał nazwisko matki oraz imiona Heinz Peter. Pierwsze po poległym bracie Hildegardy, drugie po swoim biologicznym ojcu.

Rosjanin wkrótce zniknął z życia Hildegardy, niebawem też powrócił z wojny jej małżonek. Nie był zachwycony pozamałżeńskim dzieckiem żony i gdy rok później rodzina została wysiedlona do Niemiec, nie zabrała ze sobą chłopca. Mały Heinz trafił do sierocińca w Lęborku, gdzie nadano mu nowe, polskie imię Janusz. Niebawem został adoptowany przez bezdzietne małżeństwo H. (nazwisko znajduje się w aktach

IPN) i przyjął ich nazwisko[4]. Dorastał, nie zdając sobie sprawy ze swojego pochodzenia, mieszkał w Sopocie, z czasem ożenił się i miał dwoje dzieci.

„Był wysoki, przystojny, bardzo rodzinny, pedantyczny – wspominała żona Janusza, Alicja. – U niego wszystko musiało być w kosteczkę złożone. Każda skarpetka pod kolor do butów. Chwilami to mnie aż denerwowało. Chwilami był taki inny – do-

kładny. Domyślał się, że był adoptowany. Takim momentem kluczowym było, gdy byliśmy małżeństwem, znalazł dokument, który mówił o jego niemieckim pochodzeniu, na tej podstawie dowiedział się, że jest adoptowany. Odbył wtedy z matką rozmowę na ten temat. Co jakiś czas był wzywany do wojskowości i ciągle był wypytywany o matkę, czy będzie szukał prawdziwej matki. Najdziwniejsze było to, że on nikomu nie powie-

dział, że był adoptowany i ma korzenie niemieckie”[5].

Janusz nie zdawał sobie sprawy z faktu, że od dawna znajdował się pod czujną obserwacją polskiego wywiadu. Wytypowano go bowiem na potencjalnego dawcę tożsamości, jego matka wraz z mężem żyła bowiem w RFN, a jej rodzina miała powiązania z miejscową sceną polityczną. Z tego też powodu na wszelki wypadek postarano się nie dopuścić

do jakiegokolwiek wyjazdu Arnolda za granicę, nawet do krajów bloku wschodniego.

„1977 rok to był dla mojego taty rok przełomowy, gdzie zaczęły wychodzić dziwne rzeczy z jego życia – opowiadała córka Janusza, Dorota Bergmann. – Po pierwsze to były czasy, że dużo osób wyjeżdżało wtedy na wycieczkę gdzieś za granicę i między innymi tato również chciał gdzieś wyjechać. Złożył wniosek o pasz-

port, który został odrzucony. Nie podano powodów odrzucenia i to było dla mojego taty zagadką”[6].

Niepokój wywiadu PRL wzbudzał również fakt, że Trójmiasto podtrzymywało kontakty z RFN, a do Gdańska, Gdyni i Sopotu przybywało dużo niemieckich turystów. Centrala w Warszawie obawiała się kontaktów Janusza z Niemcami, dlatego inwigilowano go przez cały czas.

„Mój tata zawsze lubił słu-



chać niemieckiej muzyki – wspominała córka Janusza. – Bardzo go to poruszało, jak słyszał w radiu piosenkę chłopca, który śpiewał piosenkę do mamy”[7].

Wydaje się jednak, że dużo większe znaczenie dla niego miało odrzucenie go przez biologiczną matkę. Niemieckie korzenie wydają się tylko dodatkiem.

„To matka adopcyjna dała mu do zrozumienia, że prawdziwa matka go porzuciła. Miał zadrę w

sercu. Zawsze w święta Bożego Narodzenia płakał i zadawał sobie pytanie, dlaczego matka biologiczna go porzuciła”[8].

*PORUCZNIK JERZY  
KACZMAREK*

„Wyszukiwanie kandydatów do pracy w wywiadzie było powierzone Samodzielnej Sekcji

Kadr, obsługującej I Departament – pisał jego były oficer prowadzący, Henryk Bosak. – Zadanie to realizowali jednak wszyscy funkcjonariusze wywiadu, zwłaszcza młodszy, którzy często rekomendowali swoich kolegów z uczelni [Wyższej Szkoły Oficerskiej im. Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie – S.K.]. Czasami kandydatów do pracy w wywiadzie polecali funkcjonariusze innych jednostek, znajdując ich wśród członków ro-

dziny lub synów przyjaciół. Rzadkie to były jednak przypadki, gdyż wiceminister Milewski był niechętny przyjmowaniu do wywiadu synów notabli państwowych czy partyjnych. Nawet synowie oficerów I Departamentu pracowali w innych jednostkach MSW, a do pracy w wywiadzie przychodzili, gdy ich ojcowie wycofali się na emeryturę”[9].

Podstawowym problemem w działaniach szpiegowskich na

terenie RFN był brak germanistów. Wprawdzie potencjalny wtórnik jako człowiek wychowany w Polsce mógł nie mówić po niemiecku, ale skuteczna działalność wymagała jednak perfekcyjnej znajomości języka. Dlatego też za duży sukces uznano zwerbowanie do służby w SB absolwenta germanistyki, Jerzego Kaczmarka.

Wydaje się, że ten werbunek nie stwarzał większych problemów. Chłopak pochodził bowiem

z tzw. resortowej rodziny – jego ojciec, Stanisław, był oficerem Urzędu Bezpieczeństwa. Po śmierci Stalina, w połowie lat 50., odszedł ze służby, jednak pozostał „ideowym członkiem PZPR”. W dokumentach na temat Kaczmarka zawsze podkreślano „właściwe poglądy” jego rodziców.

Przyszły agent studiował germanistykę w Poznaniu, a po pierwszym roku przeniósł się na uniwersytet im. Karola Marksa w

Lipsku. Podobnie jak rodzice wykazywał niezwykle ideową postawę, co podkreślano w raportach SB.

„Począwszy od szkoły podstawowej, Kaczmarek jest działaczem młodzieżowym. Należał do ZHP, ZMS i SZMS [SZSP? – S.K.]. W organizacjach tych pełnił różne kierownicze funkcje. W listopadzie 1972 roku został przyjęty w poczet kandydatów PZPR”[10].

Wprawdzie według zachowanych dokumentów Kaczmarka zwerbowano dopiero w 1974 roku, ale niewykluczone, że przeznaczono go do służby już wcześniej, a studia filologiczne były tylko kolejnym etapem przygotowania do pracy w wywiadzie. SB miała bowiem zwyczaj selekcjonowania potencjalnych kandydatów już w bardzo młodym wieku.

„[...] operacje plasowania należy przeprowadzić o wiele sta-



ranniej, rzecz by można, w sposób organiczny, zaczynając od uchwycenia (wytypowania) tożsamości przyszłego nielegała w okresie stosunkowo wczesnej młodości – zalecał wspomniany już pułkownik Wojciechowski. – Innymi słowy, należy wybrać do wykorzystania tożsamość młodego człowieka (lat 14) rzeczywiście żyjącego”[11].

Sam Kaczmarek twierdził natomiast, że przy jego decyzji największą rolę odegrały sprawy

materialne i zwyczajna młodzięńcza chęć przeżycia przygody.

„Byłem pracownikiem wywiadu – tłumaczył po latach – zostałem zwerbowany i wyposażony w inną tożsamość. Czułem się jak w filmach szpiegowskich. Pracując dla mojego kraju, mogę pracować w jakiś taki sposób fantastyczny, realizować marzenia, być jak superagent, James Bond. Nie miałem perspektyw, by w przeciągu 2, 5 czy 10 lat zarobić i kupić mieszka-

nie, dom, to było absolutnie nierealne i w związku z tym zgodziłem się na to właśnie”[12].

Niezwykłe ważny wydaje się dłuższy pobyt Kaczmarka na terenie NRD. Pomimo że był to kraj komunistyczny, agent miał okazję poznać specyfikę charakteru Niemców i ich sposób myślenia. Pewien problem stanowił natomiast wiek szpiega, Kaczmarek był bowiem o pięć lat młodszy od oryginalnego Arnolda (Janusz miał

31 lat, Kaczmarek 26). Z problemem uporano się dzięki odpowiedniej charakteryzacji – agent zapuścił niewielką bródkę, odpowiednio też dobierano mu okulary. W efekcie wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości.

Po latach Kaczmarek nie ukrywał, że swoje życie zamierzał związać ze służbami PRL. Twierdził, że udana akcja w charakterze wtórnika miała mu zapewnić pozycję „agenta perspektywicznego,

wpływowego później”, żałował również, że został zdekonspirowany.

„Towarzysz Jerzy Kaczmarek pracuje w naszym aparacie od sierpnia 1974 roku – pisano we wniosku personalnym agenta. – Od tego czasu przygotowany jest do pracy »N« za granicą. Ukończył z powodzeniem cykl szkolenia indywidualnego, a obecnie pracuje nad realizacją legendy. Towarzysz Jerzy Kaczmarek jest pracownikiem

inteligentnym, zdolnym i zdyscyplinowanym. W pracy systematyczny i dociekliwy. Cechuje go skromność i pewność siebie. Robi również postępy w nauce języka angielskiego. Do partii należy od listopada 1972 roku. Jest aktywistą partyjnym. Obecnie pomimo odezwania od organizacji partyjnej, żywo interesuje się życiem partyjnym”[13].

## *SPOTKANIE PO LATACH*

„Z centrali służb specjalnych w Warszawie wyszła instrukcja – opowiadał Władysław Bułhak – żeby skupiać się na wyszukiwaniu osób, o których wyrażano się jako o potencjalnych »dawcach tożsamości«, których dane można było skopiować lub przejąć. W szczególności dotyczyło to sierot lub dzieci, które zmarły w czasie wojny”[\[14\]](#).

Nie wiadomo, kiedy zapadła decyzja o podstawieniu Kaczmarka za oryginalnego Arnolda. W takich sprawach nie można wierzyć nawet dokumentom przechowywanym w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, wiele decyzji zapadało bowiem ustnie i znali je tylko najbardziej zaufani. Nie wiadomo też, kto i kiedy skojarzył, że Kaczmarek może udawać Janusza. Ale całą operację przygotowano bezbłędnie.



W pracy wywiadu nic bowiem nie może być pozostawione przypadkowi. Oryginalnego Arnolda odcięto od kontaktów z zagranicą, a jego wtórnik przecho-  
dził intensywne szkolenie. Zapoznał się z dokumentacją na temat „swojej” rodziny, odnalezienie jej miało zresztą nosić cechy naturalnych działań. Przy okazji zadbano również, aby poszukiwania zapoczątkowane przez Hildegardę (Niemka również chciała od-

należć syna) zakończyły się niepowodzeniem.

W ramach budowania odpowiedniego życiorysu Kaczmarek rozpoczął pracę w szkole średniej w charakterze nauczyciela języka niemieckiego. Jego przełożeni z warszawskiej centrali okazywali zadowolenie ze swojego podwładnego.

„W realizacji czynności operacyjno-legalizacyjnej przejawia dużo inwencji i własnej inicja-

tywy. Posiada łatwość nawiązywania kontaktów oraz umiejętność przystosowania się do sytuacji. Wykazuje duży hart i odporność na trudne warunki wyłaniające się w trakcie realizacji legendy. Jest taktowny, kulturalny, skromny”[15].

Wprawdzie Hildegarda mieszkała na terenie RFN, ale ustalono, że członkowie jej rodziny przebywają również na obszarze „bratniej” NRD. To znacz-

nie ułatwiło sprawę, ponieważ Kaczmarek „odnalazł” ich, przedstawił się jako Heinz Arnold, oni zaś powiadomili Hildegardę.

„Droga Ciociu Hildo – pisała jej kuzynka – prawdopodobnie będziesz zaskoczona, gdy to przeczytasz, i woleliśmy powiadomić Ciebie inaczej, ale chcemy zrobić to jak najszybciej. W sobotę, 12 lutego 1977 roku, przystojny, młody mężczyzna, w wieku około 30 lat zapukał do drzwi naszego

mieszkania. Powiedział, że ma na nazwisko Arnold i że szuka swojej rodziny. Możesz sobie wyobrazić nasze zaskoczenie...”[16].

Na bezpośrednie spotkanie Hildegarda musiała jednak poczekać jeszcze rok, nie mogła wyjechać do NRD, trwała przecież zimna wojna. Formalności paszportowe Kaczmarka w Polsce trwały kilka miesięcy, nic nie przyspieszano, wszystko miało wyglądać jak najbardziej natural-

nie. Na początku lutego 1978 roku agent otrzymał dwutygodniową wizę i pojechał do Sauerlandu.

„[...] moja babcia odebrała go nawet z pociągu i spędzili ze sobą cały dzień – opowiadała Dorota Bergmann. – Po kolacji on został u jej córki, a babcia pojechała do domu. To było zaledwie kilka minut w ciągu całego dnia, kiedy była sama. Jechała taksówką. Wsiadając z taksówki, zasłabła i upadła. Zmarła przed drzwiami wła-

snego domu. Lekarz stwierdził, że to był zawał serca i dlatego zmarła”[17].

Wprawdzie zdarzają się przypadki ataku serca wywołane ogromnym wzruszeniem, ale wydaje się dziwne, że Hildegarda zmarła w chwili, gdy pozostała tylko w towarzystwie taksówkarza. Znane są bowiem specyfiki, które mogą spowodować zawał serca w odpowiedniej chwili. Oczywiście mógł to być tylko przypadek, ale w

świetle późniejszych wydarzeń cała sprawa wygląda na podejrzaną. Czyżby wywiad PRL obawiał się instynktu matki? Czegoś nieuchwytnego, czego nie można określić i czym nie da się manipulować? To jednak tylko luźne dywagacje niepoparte żadnymi dowodami.

*BREMA*



„Po śmierci Hildegardy rodzina matki nastawiona była do niego nieprzyjaźnie – opowiadała Rozalia Romaniec. – Nie miał szans, aby tam zostać. Ale na pogrzeb przyjechał brat Hildegardy i zainteresował się losem siostrzeńca”**[18]**.

Kaczmarek po mistrzowsku rozegrał sytuację. Udawał wstrząśniętego i przejętego tragicznym losem matki, sprawił też dobre wrażenie na swoim rzekomym

wuju. Pomogły mu w tym znakomita znajomość języka niemieckiego i odpowiednie przeszkolenie. Przy okazji Kaczmarek musiał mieć niezłe umiejętności aktorskie.

„[...] stwierdził, że nie może zostać, bo rodzina go zawiodła – opowiadała bratanica Hildegardy, Petra Frings. – On miał dwutygodniową wizę, wyłącznie w celu wizyty u matki. Był cały czas przygnębiony, nic nie jadł. Mar-

twił się, powiedział też, że zerwał wszystkie kontakty w Polsce i chciałby zostać w Niemczech.

Mój dziadek był członkiem SPD, miał wiele kontaktów i załatwił mu pracę na państwowym stanowisku w budżetówce w Bremie, generalnie przyjął go z otwartymi rękami”[19].

Dzięki poparciu „wuja” Kaczmarek błyskawicznie dostał obywatelstwo RFN, od razu też mógł podjąć pracę, i to na stanowi-

sku wyjątkowo przydatnym w szpiegowskiej robocie.

„Z reguły przesiedleńców w kilka tygodni po przybyciu do Niemiec wysyłano na kurs językowy, gdyż zazwyczaj w ogóle nie znali lub znali bardzo słabo język niemiecki – mówił Siegmund Loppe z Urzędu ds. Przesiedleńców i Emigrantów w Bremie. – W przypadku Arnolda nie było to konieczne, ponieważ w dokumentach zapisany został jako nauczyciel języka nie-

mieckiego i z tego powodu mógł rozpocząć pracę [...] w urzędzie do spraw późnych przesiedleńców, a ponieważ okazywał duże zaangażowanie, to przyjęto go tam na stałe. On posługiwał się nawet urzędniczym żargonem, który nie jest szczególnie piękny, ale znał (go?) perfekcyjnie”[49].

Kaczmarek został zatrudniony w instytucji zajmującej się emigrantami z PRL, przyjmował i zapoznawał się z ich wnioskami.

Była to prawdziwa kopalnia informacji dla polskiego wywiadu, przesiedleńcy pisali o sprawach prywatnych, powoływali się też na opinie ludzi pozostałych w kraju. A szpieg miał znakomitą pamięć, starał się zresztą sukcesywnie poszerzać swoją wiedzę.

„Kiedy rozpocząłem moją pracę w urzędzie do spraw przesiedleńców, on już tam pracował – wspominał Axel Toth. – [...] Zwróciłem tylko na to uwagę, że w bar-

dzo krótkim czasie udało mu się zrobić świetną karierę. Arnold pracował wtedy w dziale odpowiadającym za wnioski przesiedleńców, którzy starali się o status uchodźcy politycznego i był osobą przyjmującą podania. I uważam, że były tam sprawy i dane, które były bardzo delikatne, gdyż mógł tam się z tych dokumentów dowiadywać różnych rzeczy, o których ci ludzie pisali.

Mieliśmy ogromne archi-

wum przy ulicy Hansa Bocklera i on tam często bywał, bardzo często musieliśmy mieć wgląd do złożonych tam akt i on chętnie tam chodził. Wyszukiwał i potem analizował akta”[21].

Agent umiejętnie unikał dekonspiracji, a podczas kontaktów z centralą zachowywał odpowiednią ostrożność. Gdy zachodziła potrzeba spotkania się z kurierem, wyjeżdżał do Jugosławii, na co nikt nie zwracał większej uwagi.



Był to bowiem modny kierunek turystyczny i podobnie robiły tysiące obywateli RFN. Udało mu się również nawiązać rozległe kontakty towarzyskie, był bardzo lubiany w gronie nowych przyjaciół.

„[...] często spędzaliśmy wspólne wieczory, jedząc i rozmawiając o wszystkim i o niczym – mówił Axel Toth. – Heinz Arnold wyciągał wtedy harmonijkę i grał. Pomiedzy 1978 a 1985 rokiem był osobą, z którą spędzałem najwię-

cej czasu. Był jak przyjaciel. Dlatego wciąż nie mogę o tym wszystkim zapomnieć”[22].

Zaadaptował się również w otoczeniu rodziny Hildegardy. Szczególnie lubił go jej brat, często go odwiedzał, spędzali razem dużo czasu.

„Arnold stał się praktycznie członkiem naszej rodziny – wspominała Petra Frings – spotykaliśmy się, by coś zjeść, wypić kieliszek wina czy piwa. Razem z

moim dziadkiem siedzieli i razem płakali. Dziadek był smutny, bo stracił żonę. Arnold też zaczynał płakać i mój dziadek myślał, że on płacze, bo stracił matkę”[23].

## *ŚMIERĆ HEINZA ARNOLDA*

Tymczasem prawdziwy syn Hildegardy nie zapomniał o swojej prawdziwej matce. Od marzeń

przeszedł do czynów i w 1984 roku zajął się sprawą na poważnie.

„Jak zaczął poszukiwać, to pojechał do Lęborka – wspominała żona Janusza. – Do urzędu, do kościoła. Dowiedział się, że jego dziadek Ernst zgłosił jego narodziny. Zaczął poszukiwać dokumentów i snuć plany, że odnajdzie matkę i rodzinę. Bardzo chciał mieć rodzeństwo”[24].

Dalej pomógł przypadek. W domu znajomych poznał turystów

z Niemiec, których poprosił o pomoc. Przekazał im swoją metrykę urodzenia, po powrocie do kraju mieli rozpocząć poszukiwania przez tamtejszy Czerwony Krzyż.

W tym czasie jego wtórniki odnosił coraz większe sukcesy. Warszawska centrala awansowała go na porucznika, powoli też wchodził w środowisko związane z bremeńskim oddziałem SPD (Socjaldemokratyczna Partia Niemiec). Uważano, że rysuje się

przed nim interesująca polityczna kariera.

„[...] bardzo mocno wtopił się w polityczne środowisko i działał, pracując aktywnie w partii, funkcjonował w życiu politycznym – potwierdzał burmistrz Bremy, Franz Koschnik. – [...] Traktowaliśmy go jako jednego z naszych przyjaciół i współpracowników”[25].

W tym czasie niemieccy znajomi oryginalnego Heinza Ar-

nolda dotrzykali słowa i rozpoczęli poszukiwania jego rodziny w RFN. I niebawem okazało się, że istnieje dwóch synów Hildegardy.

„Sprawdzono dokumenty i stwierdzono, że już wcześniej zgłosił się człowiek z Europy Wschodniej z taką samą tożsamością – mówił Klaus-Peter Mittermaier, kierownik służb poszukiwawczych Niemieckiego Czerwonego Krzyża. – To było to samo nazwisko, imię, data urodzenia.

Więc jedna z tych osób jest fałszywa, jedna z nich ma fałszywą tożsamość, więc jedna z nich była najprawdopodobniej agentem”[26].

To była prawdziwa sensacja – człowiek od kilku lat pracujący w państwowym urzędzie, aktywny działacz SPD okazał się polskim szpiegiem.

„Szpieg zdemaskowany w Bremie, oto wiadomość dnia – podawała miejscowa rozgłośnia ra-



diowa. – W Urzędzie dla Przesiedleńców kontrwywiad ma pełne ręce roboty. Porucznik polskiego wywiadu znalazł w tym urzędzie ciepłą posadę. Na razie jest pewne, że szpieg używał nazwiska »Heinz Arnold«. W rzeczywistości naprawdę nazywał się K., prawdziwy Arnold dalej żyje w Polsce”[27].

Natychmiast wydano nakaz aresztowania i w połowie marca 1985 roku Kaczmarek znalazł się w więzieniu. Przesłuchano człon-

ków rodziny i znajomych, przeszukano też jego mieszkanie. Znaleziono odbiornik radiowy służący do przejmowania szyfrowanych informacji, „laboratorium fotograficzne i aktówki ze specjalnymi skrytkami”. Natomiast szyfry zostały schowane w „nostalgicznym dziadku do orzechów, zrobionym na specjalne zamówienie polskiego wywiadu”.

Informacje z Niemiec dotarły do prawdziwego syna Hilde-

gardy i zrobiły na nim wstrząsające wrażenie. Nie chciał uwierzyć w to, co usłyszał.

„Mój tato nie miał pojęcia, że w Niemczech złapano szpiega, który ma taką samą tożsamość – mówiła córka Janusza. – Dopiero określną drogą od Niemieckiego Czerwonego Krzyża dowiedzieliśmy się, że poszukiwana przez ojca kobieta żyła w RFN, ale już umarła, za to jest też człowiek, który już jakiś czas temu podał się

za jej zaginionego syna, legitymując się danymi osobowymi mojego taty”[28].

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść, bo kilka tygodni później Janusz H. niespodziewanie zmarł w pracy na atak serca. Nie przeprowadzono sekcji zwłok, w protokole zapisano jednak, że wcześniej przebył już dwa zawały. Tymczasem córka kategorycznie zaprzeczała tym informacjom, mówiąc, że jej ojciec nigdy nie choro-

wał na serce.

„Nie wiem, naprawdę nie wiem, czy mógł przeżyć, czy mu ktoś dopomógł – opowiadała żona Janusza. – Nie chcę nikogo oskarżać, ale to jest dziwne, że on tak szybko umiera. Tamten się zgłasza i matka też tak szybko umiera. To jest bardzo dziwne”[\[29\]](#).

Niestety, niemiecka prokuratura nigdy nie wszczęła śledztwa w sprawie śmierci Hildegardy. Członkowie rodziny i znajomi

mieli własne podejrzenia, funkcjonariusze byli jednak zdecydowani.

„Wszystko jest oczywiście możliwe, ale to podejrzenie było zbyt słabe – mówił oficer niemieckiej policji politycznej, Gerd Seberg. – Poza tym nie było żadnej wskazówki, nikt nie znał przypadku w Niemczech, że służba wywiadowcza coś takiego jest w stanie zrobić, to byłby precedens. Aleja też nie byłam o tym przekonany, że ona zmarła śmiercią nie-

naturalną. Dlatego zakończyłem dochodzenie w tej sprawie.

Ale szefem postępowania jest zawsze prokurator generalny i gdyby był innego zdania, podjąłby też inną decyzję. Ale nie zdecydował inaczej”[30].

## *OSTATNIA WYMIANA SZPIEGÓW*

Centrala w Warszawie nie zapomniała o swoim oficerze. Został awansowany do stopnia kapitana, a najwyższe czynniki zwróciły się do „bratniego” wywiadu NRD. Służby wschodniemieckie okazały daleko idącą pomoc, poleciły też odpowiedniego prawnika do reprezentowania agenta przed sądem.

„Pan Kaczmarek przyznał się, że jest polskim oficerem – pisał do polskiego konsula w Bremie



adwokat, Heinrich Hannover – jednak nie będzie, za moją radą, składał dalszych wyjaśnień w tej sprawie. [...]

O szczegóły dotyczące przebywania w areszcie troszczyć się sam. I tak, na życzenie pana Kaczmarka, zaprenumeruję kilka czasopism («Spiegel«, »Stern«, »Zeit«, »Frankfurter Rundschau«, »Frankfurter Allgemeine«; »Weser Kurier« zamówił pan Kaczmarek sam). Ponadto zamówiłem dla

niego małe radio, które uzyska od zakładu karnego. Odpowiednie zezwolenia sędziego Trybunału Federalnego zostały już wydane. Pan Kaczmarek może otrzymywać na zakupy 80 DM tygodniowo. Obecnie posiada jeszcze własne pieniądze. Gdy te się wyczerpią, będę mu przekazywał 80 DM tygodniowo lub 320 DM miesięcznie.

Pan Kaczmarek jest opanowany, znajduje się w dobrym stanie psychicznym i fizycz-

nym”[31].

Agent faktycznie nie mógł specjalnie narzekać na warunki w areszcie. Wprawdzie radio zostało pozbawione możliwości odbioru fal krótkich i UKF (na tych częstotliwościach przekazywano informacje szpiegowskie), ale w zamian mógł spokojnie słuchać innych zakresów, dużo również czytał. I czekał na działania warszawskiej centrali.

Wiadomo było, że stanie

przed sądem, śledztwo musiało jednak potrwać dłuższy czas. W Polsce podjęto już decyzję, by wymienić go na szpiegów państw zachodnich, przy okazji zrobiono również kwerendę na temat „obywateli RFN aktualnie przebywających w polskich zakładach karnych i aresztach śledczych za przestępstwa drogowe, dewizowe, celne, fałszerstwa itp.”[32]. Zapewne była to forma nacisku na niemieckie władze.

„Od 1978 roku kapitan Kaczmarek – pisał Czesław Kiszczak do ministra spraw wewnętrznych NRD, Ericha Mielkego – prowadził aktywną służbę wywiadowczą, koncentrując się na problematyce pracy UOK [kontrwywiad RFN – S.K.] skierowanej przeciwko państwom naszej wspólnoty. Do chwili aresztowania przekazał wiele ważnych politycznie i operacyjnie informacji. Część z nich została przesłana w ramach

współpracy właściwym resortom bezpieczeństwa państw naszego obozu, w tym także Waszej służbie. Informacje te, pochodzące z lat 1980–1983, dotyczyły sześciu osób z NRD przebywających na terenie RFN (między innymi rodziny Behnke, Kappes oraz Petera Mayera), którymi interesowały się organa UOK.

Kapitan Jerzy Kaczmarek dostarczył także informacji o 84 osobach objętych działaniami

UOK i będących w zainteresowaniu KGB ZSRR. [...] Jestem przekonany iż dobrze się on zasłużył naszej wspólnej walce. Stąd też zwracam się do Towarzysza Ministra z prośbą o wykorzystanie możliwości Waszego resortu dla doprowadzenia do wymiany naszego oficera, gdyż aktualnie nie dysponujemy odpowiednimi osobami do wymiany bilateralnej”[33].

Sojusznicy nie zawiedli,

dzięki czemu kapitan Jerzy Kaczmarek został wymieniony na moście Glienicke w lutym 1986 roku podczas ostatniej znanej wymiany szpiegów. Nigdy też nie stanął przed niemieckim sądem, by odpowiedzieć za swoją szpiegowską działalność.

*MIĘDZYNARODOWE TARGI  
POZNAŃSKIE*



Kaczmarek pozostał w służbie do lutego 1990 roku. Po upadku komunizmu nie zamierzał poddać się weryfikacji i został zwolniony (przynajmniej oficjalnie) na własną prośbę[34]. Szybko też odnalazł się w nowej rzeczywistości i zrobił znakomitą karierę biznesową w spółce Międzynarodowe Targi Poznańskie. Założył również rodzinę i doczekał się dwójki dzieci.

W spółce sprawował wiele

eksponowanych stanowisk, zawsze jednak zatrzymywał się na funkcji dyrektora i nigdy nie awansował do zarządu czy rady nadzorczej. Nie wydaje się to przypadkiem.

„Mam wrażenie, że zawsze był szarą eminencją tej firmy – mówiła Rozalia Romaniec. – Zajmował rozmaite stanowiska, ale zawsze były to funkcje drugiego szeregu. Gdyby wszedł do zarządu, to wówczas musiałby poddać się lustracji, a tego chyba chciał za

wszelką cenę uniknąć”[35].

Faktycznie, 60 proc. udziałów w spółce Międzynarodowe Targi Poznańskie posiada Skarb Państwa (pozostałe są własnością miasta), a to narzuca obowiązek lustracji dla władz firmy. Czy właśnie dlatego w czerwcu 2011 roku Kaczmarek, jako przewodniczący Rady Pracowników, nawoływał do komunalizacji, czyli przejęcia przez miasto całości udziałów spółki[36]? Czy miało mu to

umożliwić dalszą karierę?

Funkcja przewodniczącego Rady Pracowników stanowiła jednak wyłącznie niewiele znaczący dodatek, albowiem były agent szczególnie zasłużył się dla firmy na stanowisku dyrektora Targów Poligrafia. Dzięki temu stał się postacią znaną w świecie poligrafów i wydawców, gdzie faktycznie ceniło jego fachowość i zaangażowanie. Toteż gdy w 2011 roku odchodził do realizacji innych pro-

jektów związanych z MTP (Zespół Sprzedaży i Obsługi Wystawców), został uhonorowany najbardziej prestiżową nagrodą w świecie polskiej poligrafii – Złotym Gryfem. Statuetkę wręczył mu osobiście Edward Dreszer, prezes Polskiej Izby Druku.

W karierze nie przeszkodziło mu również ujawnienie jego szpiegowskiej przeszłości przez Rozalię Romaniec. Dziennikarka, kuzynka żony Heinza Arnolda,

przeprowadziła własne śledztwo na temat wtórnika swojego wuja, czego efektem był film *Meine Familie und der Spion (Moja rodzina i szpieg)* wyemitowany niedawno przez niemiecką stację ARD. Podczas pracy nad filmem reżyserka odwiedziła Kaczmarka w Poznaniu, a były agent zgodził się na rozmowę. Uznał, że w ten sposób będzie mógł przedstawić własny punkt widzenia na sprawę.

Rozalii Romaniec towarzy-

szył Axel Toth, przyjaciel agenta z czasów Bremy.

„Minęło już prawie 30 lat – tłumaczył motywy swojego postępowania – i sam zauważyłem, że ta cała historia w dalszym ciągu mnie interesuje. I zażyczyłem sobie, abym jeszcze raz mógł spotkać się z Arnoldem.

Zapytałbym go, jak to właściwie było z naszą przyjaźnią? Czy to było szczerze? Mam wrażenie, że było to szczerze, ale chciał-

bym to usłyszeć od niego. Interesuje mnie też, dlaczego ktoś szpieguje? I jak on sam się z tym wszystkim czuł, przecież musiał żyć podwójnym życiem”[37].

Axel miał okazję porozmawiać w cztery oczy z byłym przyjacielem. Rozpoznał go zresztą bez problemu – wystarczyło jedno spojrzenie i wymiana kilku słów. Nie miał wątpliwości, że faktycznie spotkał człowieka, który kiedyś podawał się za Heinza Ar-



nolda.

„Myślę, że mnie samemu ulżyło – mówił po spotkaniu – kiedy uznałem, że nasza przyjaźń w Bremie nie była udawana. Z drugiej strony on powiedział: nikogo wówczas nie skrzywdziłem, ale trzeba wiedzieć, że przecież jest coś takiego jak zawiedzione zaufanie i to także może być bolesne”[38].

Rozalia Romaniec rozmawiała z Kaczmarkiem ponad trzy

godziny, a agent nie wykazał żadnej skruchy na temat wydarzeń sprzed lat. Był oficerem wywiadu i wypełniał rozkazy – uważał, że działał dla dobra ojczyzny. Tłumaczył, że nigdy nie widział swojego sobowtóra, że powiedziano mu, iż jest ciężko chory i zapewne długo nie będzie żył. Nigdy też nie oglądał jego zdjęć i nie interesował się jego życiem prywatnym. Nie miał również żadnych wyrzutów sumienia wobec swojej rzekomej nie-

mieckiej matki.

„Sądziłem wtedy, że będzie się cieszyła, jeżeli zobaczy mnie jako swojego syna. I tak też było. Ucieszyła się ogromnie. A kiedy ujrzałem, jak bardzo była szczęśliwa, że odnalazła swojego syna, którego odgrywałem, pomyślałem sobie, że dla niej to było coś pozytywnego. Tak właśnie sądziłem”**[39]**.

Innego zdania jest natomiast rodzina oryginalnego Heinza

Arnolda. Wdowa po nim powiedziała, że żałuje, iż nigdy nie doczekała się słowa przeprosin od agenta, a przecież to z jego powodu jej dzieci do dzisiaj nie mają kontaktu ze swoimi niemieckimi kuzynami. A o tym przecież zawsze marzył jej zmarły mąż.

„Trzy lata po śmierci mojego taty chciałam wyjechać i poznać jego rodzinę – mówiła Dorota, córka Heinza Arnolda. – Myślałam, że w taki sposób będę mo-

gła zrealizować jego marzenia. Zgłosiłam się do nich i nagle dostałam taki cios, bo rodzina się ode mnie odsunęła. Nie chciała mieć ze mną absolutnie kontaktu. Wytłumaczyłam to sobie tym, że mają taką traumę po szpiegu. To dlatego pewnie się odsunęli. To jest takie smutne dla mnie, że tak się wydarzyło”[40].

Gdy w lipcu 2014 roku rozmawiałem telefonicznie z Rozalią Romaniec, dziennikarka poinfor-

mowała mnie, że pracuje właśnie nad książką o Heinzu Arnoldzie. Można mieć tylko nadzieję, że zostanie ona wydana również w Polsce, albowiem ta historia na pewno zasługuje na szersze poznanie. To wyjątkowo smutny relikw epoki zimnej wojny – afera, która zła- mała życie przypadkowym osobom wciągniętym w tryby bezwzględnej szpiegowskiej ma- chiny...



## **Rozdział 3**

# **Sprawa André Robi- neau**







**André Robineau** *pojawił się*

w Szczecinie w 1948 roku i objął posadę sekretarza miejscowego konsulatu. 24-letni dyplomata, przystojny i wysportowany, dysponujący dużą gotówką, błyskawicznie nawiązał kontakty towarzyskie. Bywał w miejscowych lokalach, dużo wydawał, uwodził szczecińskie piękności. Błyskawicznie poznał ludzi chętnych do współpracy, wrogów nowego ustroju i osoby będące w tarapatach finansowych.

*POWOJENNA  
SZPIEGOMANIA*

**P**oczątek zimnej wojny był w krajach komunistycznych okresem narastającej obsesji szpiegowskiej. Zgodnie ze sprawdzonymi wzorcami sowieckimi o agenturalną działalność na

rzecz zachodnich wywiadów oskarżano praktycznie wszystkich: działaczy niepodległościowych, przedwojennych urzędników i oficerów, przedstawicieli prywatnej inicjatywy, duchownych, arystokratów. Identyczny zarzut stawiano również działaczom komunistycznym reprezentującym inne frakcje partyjne, toteż trudno było w tamtych czasach znaleźć proces sądowy, w którym nie wypłynąłby wątek szpiegowski.

„Wielkie procesy polityczne przywódców komunistycznych są tylko najbardziej spektakularnym wyrazem terroru, jaki szalał w państwach bloku wschodniego – pisali autorzy książki o stosunkach polsko-francuskich na przełomie lat 40. i 50. – Wykazują jedynie, że nie ominął on tych, którzy kontrolowali totalitarny system rządów. Stalinowska rewolucja pożerała własne dzieci, ale [...] nie tylko i nie przede wszyst-

kim je.

Warto podkreślić, iż stałym elementem procesów politycznych w okresie stalinowskim w państwach bloku wschodniego było obwinianie oskarżonych o szpiegostwo na rzecz obcych wywiadów, najczęściej zachodnioeuropejskich, amerykańskiego i – od 1948 roku – jugosłowiańskiego”[1].

Szpiegostwo uważano za najcięższą zbrodnię (obok trockizmu i różnego rodzaju odchyień

ideologicznych), agentami obcych wywiadów mieli być aresztowani konkurenci do władzy: Laszló Rajk (Węgry), Koçi Džodze (Albania), Trajczko Kostow (Bułgaria), Rudolf Slánský (Czechosłowacja). A ponieważ zdrajcom i szpiegom nigdy nie okazywano litości, przegrani aparaczczyki kończyli życie na szubienicy.

I chociaż w Polsce ostatecznie nie doszło do dużego procesu politycznego w obrębie PZPR, to



jednak wątki szpiegowskie przewijały się w śledztwach przeciwko Władysławowi Gomułce i Marianowi Spychalskiemu. Bez zahamowania wykorzystywano również oskarżenia o współpracę z obcym wywiadem podczas rozpraw sądowych rzeczywistych i domniemyanych przeciwników nowego ustroju. W efekcie władze osiągnęły swój cel – zapanowała ogólna histeria, a szpiedzy byli podobno wszędzie: w kopalniach, hu-

tach, jednostkach wojskowych, szkołach, urzędach, sklepach...

Pod szczególnie uważną obserwacją kontrwywiadu pozostawali przebywający nad Wisłą obywatele państw zachodnich. Już w 1947 roku aparat bezpieczeństwa PRL otrzymał polecenie „systematycznej likwidacji powstających na terenie kraju ośrodków działalności obcych wywiadów”.

„[Należy] przystąpić niezwłocznie – nakazywał pułkownik

MBP, Stefan Sobczak – do systematycznej kontroli całokształtu działalności obcych placówek, jak konsulaty, misje repatriacyjno-ekshumacyjne, charytatywne, kulturalne etc., by w ten sposób nie dopuścić do prowadzenia działalności wywiadowczej, pod płaszczykiem w/w organizacji. Byłoby bezsprzecznie błędem, gdybyśmy obcego wywiadu szukali tylko [i] wyłącznie na placówkach dyplomatycznych”[2].

W tym okresie największe zainteresowanie polskiego kontrwywiadu wzbudzali obywatele Francji. Polska tradycyjnie miała z tym krajem liczne kontakty, był to również okres powrotów nad Wisłę wielu górników, którzy wiele lat przepracowali we francuskich kopalniach. Imigranci osiadali najczęściej na Ziemiach Odzyskanych, to właśnie oni stanowili załogi kopalń Dolnego Śląska. Wśród repatriantów znajdowali się

również współpracownicy francuskiego wywiadu, uczciwie bowiem należy przyznać, że – pomimo całej szpiegowskiej hysterii – PRL rzeczywiście była infiltrowana przez wywiady państw zachodnich.

## *YVONNE BASSALER*

Pierwsze wyroki w sprawach o szpiegostwo na rzecz Fran-

cji zapadły już w 1948 roku, na kary kilkuletniego więzienia skazano wówczas dwóch urodzonych we Francji obywateli polskich. Były to jednak sprawy marginalne, na które opinia publiczna nie zwróciła większej uwagi. Dopiero rok później wybuchła afera szpiegowska z dyplomatami francuskimi w rolach głównych.

Pracownicy ambasady i konsulatów francuskich w Polsce faktycznie prowadzili działalność

wywiadowczą, tak zresztą do dnia dzisiejszego postępują dyplomaci na całym świecie. Wywiad francuski w Polsce opierał się na sieci przedwojennych kontaktów, a kierował nim attache wojskowy ambasady w Warszawie, generał Georges Teyssier.

„Na jego nieszczęście przyjął do pracy w attachacie młodą francuską sekretarkę – pannę Zuzannę Schott – wspominał ówczesny szef kontrwywiadu MBP, puł-

kownik Stefan Antosiewicz. – Miała ona dostęp do spływających na biurko Teyssiera raportów wywiadu i okresowych sprawozdań z rezydentur w konsulatach w Gdańsku, Szczecinie, Krakowie i [we] Wrocławiu. Częściowo udało się nam również skorzystać z podsłuchu”[3].

Z perspektywy czasu trudno jednoznacznie ustalić, co było prawdą, a co zostało sfingowane przez polski kontrwywiad. Służby



PRL musiały się wykazać skutecznością działania, albowiem władze pilnie potrzebowały zachodnich szpiegów i ich procesów.

„Szeroką działalność wywiadowczą – opowiadał późniejszy szef Służby Wywiadu i Kontrwywiadu MSW, generał Władysław Pożoga – prowadził wicekonsul francuski w Gdańsku, René Bardet, kierujący siecią szpiegowskich informatorów obszaru północnego w Polsce. Pan wicekonsul w szere-

gach swych szpiegowskich informatorów chętnie widział osoby przebywające podczas wojny we Francji, które po jej zakończeniu powróciły do ojczyzny. Wywiadem agenturalnym zajmował się również attache wojskowy ambasady francuskiej, major Humm [następca Teyssiera – S.K.], a także szef francuskiej misji poszukiwań i repatriacji, kapitan Raymond Pallandre. Jednak najintensywniejsze elementy profrancuskie

i proniemieckie wykorzystywał rezydent wywiadu francuskiego na Pomorzu Zachodnim, sekretarz konsulatu francuskiego, André Robineau, i Yvonne Bassaler, kierująca siatką we Wrocławiu. Na szpiegowskich usługach tej pani był między innymi Wilhelm Hild, były członek NSDAP. Ubiegał się on o wyjazd do Francji, a zbierał informacje o obiektach przemysłowych Dolnego Śląska. Szczególnie interesowała go kopalnia uranu w

Kowarach”[4].

Jako pierwsza w marcu 1949 roku została aresztowana Yvonne Bassaler, sekretarka konsulatu we Wrocławiu. Razem z nią zatrzymano jeszcze pięć osób, w tym wspomnianego już „członka NSDAP”, Wilhelma Hilda. Niebawem liczba aresztowanych wzrosła do blisko 30 osób, a państwowa propaganda wykorzystwała sprawę do wykazywania wrogich zamiarów Francji wobec miłującej pokój

PRL.

„Przeciętny uczciwy człowiek – mówiła na antenie polskiego radia Wanda Odolska – nie może opanować uczucia obrzydzenia, gdy dowiaduje się, w jaki zbrodniczy i brutalny sposób szpiegowska szajka, zamaskowana dyplomatycznym szyldem, usiłowała rujnować na naszej ziemi ład wszystkiego, co znalazło się w polu jej widzenia”[5].

Naczelna propagandystka

epoki ze szczególną nienawiścią potraktowała jedyne go Polaka w pierwszej grupie aresztowanych, Jana Kubisiaka. Obrzucając go wyzwiskami, używała typowo sowieckiej retoryki.

„Jedyny w tym procesie Polak, szpieg Kubisiak, jest zjawiskiem politycznie umotywowanym. Droga na ławę oskarżonych poprowadziła go przez etapy AK, WiN, V-2. Kubisiak razem z siostrą redagował i kolportował tajną,

szkalującą Polskę prasę, następnie siostrę tę urządził w konsulacie francuskim we Wrocławiu, gdzie wkrótce została pojętą uczennicą mademoiselle Bassaler. Kubisiak wciągnął w działalność szpiegowską również brata i żonę. I wkrótce konsulat wrocławski miał niepowszednią pociechę szpiegowską z całej rodziny Kubisiaków. Nic dziwnego, że oskarżony otrzymał pseudo »V-2«. Kubisiak umiał być szpiegiem. Początkowo płątny od

kawałka, od planu lotniska czy koszar, po 3–4 tysiące zł, później przeszedł na stały etat i drążył dla swoich celów, tzn. dla obcego wywiadu, wszystko, co się dało. Węszył nastroje w okresie zjednoczenia partii, penetrował zagadnienia młodzieżowe. Żył, ma się rozumieć, dostatnio”[6].

Proces był farsą – za ledwie jeden z obrońców mówił po francusku, natomiast adwokata dla Bassaler wyznaczono na 24 go-



dziny przed rozprawą. Na salę sądową nie wpuszczono przedstawicieli francuskiej ambasady, a w roli publiczności występowali milicjanci i delegaci zakładów pracy (w tym górnicy w galowych mundurach). Po ośmiu dniach zapadły wyroki: Bassaler skazano na dziewięć lat więzienia, podobny wyrok usłyszał Kubisiak, natomiast Hild otrzymał karę sześciu lat pozbawienia wolności.

Kiedy we Wrocławiu trwał

proces Yvonne Bassaler, przygotowywano już znacznie większą imprezę. Miesiąc wcześniej aresztowano bowiem sekretarza konsulatu francuskiego w Szczecinie, 25-letniego André Robineau, a jego proces miał się stać koronnym dowodem na wrogą działalność Francuzów. Inna sprawa, że młody dyplomata faktycznie był funkcjonariuszem służb specjalnych swojego kraju i w jego przypadku rzeczywiście chodziło o działalność

szpiegowską.

*SKOMPLIKOWANA  
MŁODOŚĆ AGENTA*

André Simon Robineau pochodził z mieszanego małżeństwa – jego ojciec (także André), nauczyciel Liceum Francuskiego w Warszawie, ożenił się z Polką, Eugenią Ciechanowską. Przyszły

agent urodził się wprawdzie w Paryżu, ale młodość spędził w Polsce, uczył się w szkole, w której pracował ojciec.

W tym miejscu nasuwają się pewne analogie z biografią Stanisława Dygata, również pochodzącego z polsko-francuskiej rodziny. Zarówno Robineau, jak i Dygat posiadali obywatelstwo francuskie, ale dorastali w Warszawie i wychowywali się w tym samym kręgu kulturowym. Czy

znali się osobiście? Wprawdzie była między nimi znaczna różnica wieku (dziesięć lat), ale nie jest to wykluczone. Tym bardziej że po wybuchu wojny obaj przechodzili podobne koleje losu.

We wrześniu 1939 roku Robineau senior opuścił Warszawę i przez Rumunię przedostał się do Francji. W Warszawie pozostała natomiast jego rodzina (żona i dzieci), którzy jako obywatele francuscy trafili w kwietniu 1940

roku do obozu dla internowanych w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim. Do tego samego, w którym już od kilku miesięcy przebywał Dygat.

Wprawdzie pisarz niebawem został zwolniony z obozu, ale przez pewien czas przebywał tam razem z młodym Robineau. I jeżeli nie poznali się wcześniej w Warszawie, to teraz mogło do tego dojść. Internowano tam bowiem tylko kilkaset osób, a każdorazowe

pojawienie się nowych pensjonariuszy było szeroko komentowane przez osadzonych.

Pobył w obozie musiał wywrzeć duży wpływ na André. Miał niespełna 16 lat, był chłopcem pełnym energii, a teraz został skazany na przymusową bezczynność. I chociaż więźniów traktowano dość przyzwoicie, to jednak codzienna rutyna i wszechogarniająca nuda niszczyły psychikę internowanych. Znakomicie zilustrował to Dygat

w swojej powieści *Jezioro Bodeńskie*:

„Ludzie w obozie z dnia na dzień gorzej wyglądają. Skarżą się na złe jedzenie, ale mnie się zdaje, że zabija ich powoli świadomość, iż każdy nadchodzący dzień nie może hic ponadto, niż przyniósł poprzedni”[7].

Do obozu trafił dość osobliwy zestaw osób, bo oprócz zwykłych obywateli Francji czy Wielkiej Brytanii osadzono tam potom-



ków mieszanych małżeństw i ludzi o wyjątkowo poplątanych życiorysach.

„Salę [jadalnię – S.K.] wypełnia dziesięć olbrzymich stołów, przy każdym siedzi około trzydziestu osób; najniezwyklesza zbieranina z całej Europy: niby Anglicy i Francuzi, ale wiele wśród nich poczwarnych wybryków natury paszportowej i narodowościowych bękartów. Dwie szczególnie odróżniające się grupy

tworzy siedemdziesiąt guwernan-tek francuskich z Warszawy i angielscy marynarze wyłowieni z handlowego statku koło brzegów Norwegii: dwóch oficerów, dziesięciu brodatych Neptunów i piętnastu rozwydrzonych chłopców okrętowych”[8].

W takim miejscu jakakolwiek odmiana w codziennej nudzie była atrakcją, osadzeni zresztą starali się wykorzystywać każdą okazję do urozmaicenia rutyny obozo-

wego życia.

„Po śniadaniu można wyjść na podwórko: od 8 do 10 dla mężczyzn, od 10 do 12 dla kobiet. Podwórko jest dosyć obszerne, z dwóch stron otoczone skrzydłami gmachu szkolnego, z dwu pozostałych drewnianym płotem, za którym wznosi się kilkaset metrów na zachód szary gmach koszar. Wokół są ogrody i domki, dalej widać pola i wzgórze, na którym stoi coś, o co toczą się stałe spory, czy jest

to wieża ciśnień, czy pomnik Hindenburga. Nikomu jeszcze nie przyszło na myśl zapytać po prostu policjanta czy żołnierza. Nie sądzę jednak, żeby była to bezmyślność. Jest to raczej celowe. Ostateczne rozstrzygnięcie nie jest aż tak ważne, a za to cała sprawa daje okazję do toczenia sporów, do dzielenia się na obozy i do interesujących konfliktów, w czasie których można wypowiedzieć pod adresem przeciwników najrozmaits-

sze ogólne zarzuty i wypominać urazy dotyczące nieumiejętności ofiarnego współżycia gromadnego. Obecnie spór wygasa, tracąc swą siłę atrakcyjną, ale przez pewien czas był bardzo ostry: zdarzyło się, że przez dwa i pół dnia wieżowcy z hindenburgczykami nie przemawiali do siebie ani słowem i odmawiali podawania sobie ręki”[9].

Niewykluczone, że właśnie pobyt w obozie wpłynął na późniejszą postawę życiową André.

Trwała przecież wojna, a on był tylko nastolatkiem zmuszonym do zupełnej bezczynności. Nic zatem dziwnego, że gdy po klęsce Francji zwolniono go wreszcie z obozu, za wszelką cenę chciał działać. Przez Lizbonę trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie zaciągnął się do Wolnych Francuzów generała de Gaulle'a. Skierowano go do marynarki, pływał na brytyjskiej jednostce, a potem służył we flotyli ścigaczy. Po zakończeniu wojny pod-

jął studia z zakresu dekoratorstwa wewnątrz, nigdy ich jednak nie ukończył. Natomiast gdy ojca mianowano sekretarzem generalnym Instytutu Francuskiego w Warszawie, razem z nim powrócił do Polski. I tutaj niebawem miała się zacząć jego szpiegowska kariera.

## WARSZAWA

„Po przyjeździe do Polski latem 1947 roku – zeznawał Robineau kilkanaście miesięcy później – mieszkałem przez około 6 miesięcy w ambasadzie. Poznałem cały szereg osób tam zatrudnionych, między nimi zapoznałem też komendanta Humma. Po kilku rozmowach z nim poprosił mnie o spotkanie w jego prywatnym biurze. Po kilku tygodniach poszedłem do niego i on szczerze, tak bezpośrednio zapytał mnie, czy



chciałbym pracować dla francuskiej służby wywiadowczej. Odpowiedziałem, że tak. Na tym zakończyła się ta nasza rozmowa, po czym zostałem przez niego zawezwany po raz drugi. Poznałem wtedy wicekonsula francuskiego Bardeta, który został mi przedstawiony jako mój przyszły zwierzchnik”[10].

Czy była to prawda? Trudno uwierzyć, by André został zwerbowany do pracy w wywia-

dzie dopiero w Polsce. Wychowany nad Wisłą, z chwalebną wojenną przeszłością, zapewne już wcześniej stał się obiektem zainteresowania francuskich służb specjalnych. Tym bardziej że jego ojciec miał objąć eksponowane stanowisko w Warszawie, natomiast André miał nad Wisłą wielu znajomych z okresu przedwojennego.

Dziwny też wydaje się półroczny okres niemal całkowitej bezczynności na terenie ambasady

francuskiej w Warszawie. Wprawdzie Robineau oficjalnie pracował jako bibliotekarz w Instytucie Francuskim, ale tę posadę można uznać wyłącznie za przykrywkę dla jego prawdziwej działalności.

Niewykluczone, że tamto pół roku poświęcił André na odnawianie starych znajomości i zapoznawanie się z charakterem nowej, komunistycznej Polski. Niebawem zresztą wyjechał do Gdyni, gdzie został zatrudniony jako sekretarz

francuskiego towarzystwa klasyfikacyjnego statków handlowych Bureau Veritas. Można to uznać za kolejny etap budowania życiorysu. Zapewne wtedy też zapoznał się ze specyfiką życia na polskim Pomorzu, co miało mu istotnie pomóc w następnych miesiącach. Jego przeznaczeniem był bowiem Szczecin – największe miasto zachodniego Pomorza i stolica pomorskich Ziem Odzyskanych.

## *SZCZECIN*

W tym czasie prężnie działało tam skupiające blisko 200 członków Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Organizacja utrzymywała bliskie kontakty z miejscowym konsulem francuskim, co nie uszło uwadze funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

„Bezpieka interesowała się zarówno konsulem, jak i TPPF

od początku ich istnienia – mówił historyk ze Szczecina, Radosław Ptaszyński. – Początkowo zbierała informacje dotyczące kontaktów członków towarzystwa z placówką, ale z biegiem czasu pod obserwacją znalazły się wszystkie osoby przychodzące do konsulatu”[11].

Robineau pojawił się w Szczecinie w czerwcu 1948 roku i objął posadę sekretarza miejscowego konsulatu. Jego przyjazd szybko okazał się lokalną sensacją.

24-letni dyplomata (mówiący po polsku!), przystojny i wysportowany, dysponujący dużą gotówką, błyskawicznie nawiązał kontakty towarzyskie. Bywał w miejscowych lokalach, dużo wydawał, uwodził (skutecznie!) szczecińskie piękności. Pozował na playboya, ale nie zapominał o głównym celu swojej działalności. Błyskawicznie poznał ludzi chętnych do współpracy, wrogów nowego ustroju i osoby będące w tarapatach finan-

sowych. Tych było znacznie więcej niż jawnych antykomunistów, a jednym z nich okazał się pracownik Instytutu Francuskiego, Kazimierz Rachtan.

„Rachtan w Paryżu był portierem w drugorzędnym hotelu »Baltimore« – mówiła Wanda Odolska – i na tym stanowisku obsługiwał gości tak, jak należy się gościowi, który pragnie zabawić się po parysku. Uznał, że to jednak nie daje mu dostatecznego do-



chodu, i zjawił się w Polsce. Tu okazało się, że wino było droższe, więc uczęstowany winem po uszy przez Robineau wdał się z nim w konwersacje na tematy szpiegowskie. Pohulali, poszli na dziewczynki i ubili interes. Pan wicekonsul Bardet podarował mu stary rower i doświadczony rajfur, awansowany na stanowisko żigolaka francuskiego wywiadu, pracowicie pedałowiał od lotniska do lotniska. Siadywał w wagonie, brał

do wagonu rower i jeździł. Tylko w soboty i niedziele, gdyż przez resztę dni tygodnia pracował jako woźny w Instytucie Francuskim”[12].

Innym współpracownikiem Robineau został obywatel francuski, Gaston Druet. Podczas wojny trafił do obozu jenieckiego pod Słupskiem, a po uwolnieniu pozostał w Polsce, nawiązując jednocześnie romans z miejscową Niemką. Na co dzień zajmował się

naprawą odbiorników radiowych (z zawodu był radiotechnikiem), planował jednak wyjechać na Zachód razem z przyjaciółką. Współpraca z Robineau miała im zapewnić potrzebne dokumenty wyjazdowe.

Zdeklarowanym wrogiem ustroju komunistycznego okazał się natomiast Bronisław Sokół-Klimczak – były współpracownik kontrwywiadu II Rzeczypospolitej, a podczas okupacji członek pod-

ziemia niepodległościowego i więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W chwili poznania Robineau pracował w paramilitarnej Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”, której działalność była obiektem zainteresowania obcych wywiadów.

Robineau nie gardził żadnym źródłem informacji. W jego siatce znaleźli się również pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych, którzy w związku ze specy-

fiką swojego zawodu często przemierzali się w terenie, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Z perspektywy czasu zaskakuje rozległość zainteresowań francuskiego agenta. Oprócz celów typowo militarnych (lotniska, jednostki wojskowe, baterie artylerii nadbrzeżnej) interesowały go również aspekty gospodarcze. Zwracał dużą uwagę na działalność sklepów mięsnych, bo doskonale wiedział, że w czasach PRL mięso

było tematem wybitnie politycznym...

Nie zauważył jednak, że znajduje się pod ścisłą obserwacją polskiego kontrwywiadu. O jego losach zadecydowała wspomniana już sekretarka ambasady kopiująca raporty i przesyłająca te kopie na Rakowiecką. Młody agent nie przypuszczał, że cała jego działalność znajduje się pod kontrolą, a jego aresztowanie jest już tylko kwestią czasu...

## *ANDRÉ I KOBIETY*

Dużą rolę w rozpracowywaniu Francuza przez służby PRL odegrały kobiety, z którymi był związany podczas pobytu w Szczecinie. Preferował mężatki, zapominając zupełnie, że z reguły są one znacznie bardziej podatne na szantaż ze strony kontrwywiadu. Początkowo nawiązał romans z żoną sekretarza konsulatu, René Bertina, występował wobec niej w roli

pocieszyciela, gdyż pan sekretarz porzucił swoją małżonkę i wyjechał do Francji z inną kobietą. Przy tej okazji posłużył się paszportem żony (później go odesłał), co było już poważnym przestępstwem. Polskie władze uznały, iż jest to znakomity powód do skłonienia pani Bertin do współpracy, udało się to zresztą tym łatwiej, że Robineau zdążył się nią już znudzić. Kochliwy Francuz porzucił żonę sekretarza i zainteresował się



kolejną mężatką, Jadwigą Sarnowską.

„[...] Robineau zapoznała przypadkowo w 1948 roku – pisano w aktach jej sprawy – na terenie kawiarni »Symphonia« w Szczecinie, gdzie pracowała jako kelnerka. Utrzymywała z Robineau kontakty natury intymnej, będąc jego kochanką. Wyjeżdżała często wraz z nim do Poznania, Warszawy, Opoczna, Międzyzdrojów. W czasie jednego z takich wyjaz-

dów do Warszawy Robineau scho-  
wał w jej torebce dwa zalakowane  
listy, tłumacząc, że w kieszeni pie-  
częcie mogą się pokruszyć. Rze-  
komo nie знаła treści dokumentów  
przewożonych w tych kopertach.  
Twierdzi, że nie była zorientowana  
o wywiadowczej działalności pro-  
wadzonej przez Robineau, co jed-  
nak w świetle bliskich kontaktów,  
jakie utrzymywali, oraz zeznań in-  
nych osób nie wydaje się być  
prawdą”[13].

Sarnowska była mężatką, zdecydowano się zatem na szantaż. Funkcjonariusze kontrwywiadu śledzili ją, podczas spotkań z Robineau robiono jej zdjęcia, które miały później służyć do werbunku.

Jadwiga nigdy nie przyznała się do współpracy z francuskim wywiadem, a sądząc z jej zeznań, to starała się chronić swojego partnera. Nie wiemy, czy z Robineau łączyło ją coś więcej niż seks, na pewno jednak nie zezna-

wała na jego niekorzyść.

Jadwiga Sarnowska stanęła przed sądem w maju 1950 roku i została skazana na trzy lata więzienia. Nie wiadomo, jak potoczyły się jej dalsze losy.

## *OKĘCIE*

W 1949 roku Robineau postanowił wyjechać na urlop do

Francji. Na lotnisko odprowadzał go ojciec, on też był świadkiem zaginięcia syna. Polskie służby uznały bowiem, że agent może już nie powrócić z Paryża i zdecydowały się go zatrzymać, aby planowany proces „imperialistycznych szpiegów” mógł się odbyć zgodnie z planem.

18 listopada o godzinie 7 rano obaj panowie Robineau pojawili się na Okęciu, gdzie w trakcie odprawy André junior został po-

proszony do pokoju celników.

„Towarzyszyłem mu aż do drzwi tego pomieszczenia – relacjonował jego ojciec – tam pożegnałem i poszedłem oczekiwać go w okolicach miejsca wyłotów”**[14]**.

Inni pasażerowie kolejno zajmowali miejsca w samolocie, natomiast André zniknął. Na pokład nie zabrano również jego bagażu, tymczasem celnicy upierali się, że Francuz wszedł do maszyny.

Było to typowe zachowanie dla służb krajów komunistycznych. Ludzie nagle znikali i nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Kilka miesięcy wcześniej w Krakowie zaginął francuski stypendysta Étienne Decaux, a polskie władze twierdziły, że nic nie wiedzą o jego losach. Dopiero po upływie pół roku stypendysta „odnalazł się” w więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa – oficjalnie zarzucano mu handel dewizami i próbę niele-

galnego przekroczenia granicy z Czechosłowacją.

Tymczasem zdesperowany Robineau senior pojechał do swojej ambasady, a niedługo później na Okęciu pojawił się jej pierwszy sekretarz, Raymond Laporte. Dyplomata nie uwierzył w historię o odlocie André do Paryża bez bagażu. Następnie otrzymał listę pasażerów z wykreślonym nazwiskiem swojego podwładnego. Przy okazji sekretarz skontaktował się z



lotniskiem w Brukseli, gdzie samolot miał międzylądowanie. Tam potwierdzono, że Robineau nie było na pokładzie, co rozwiało ostatnie wątpliwości. Następnego dnia strona polska oficjalnie przyznała, że młody Francuz został zatrzymany za działalność szpiegową. Razem z nim aresztowano jego współpracowników – śledztwo zataczało coraz szersze kręgi, sprawę uznano za rozwojową i już niebawem zamieszanych było w

nią blisko sto osób. To okazja, której polskie władze nie mogły nie wykorzystać.

Aresztowanie dyplomaty stało się przedmiotem obrad francuskiego parlamentu. W połowie grudnia prawicowy poseł Edmond Barrachin nie ukrywał oburzenia, kiedy relacjonował wydarzenia w Warszawie:

„[...] polskie władze naka-  
zały aresztowanie pana Robineau  
na warszawskim lotnisku. Dopiero

19 listopada wieczorem, jakieś 29 godzin po zniknięciu pana Robineau, rząd polski, w odpowiedzi na zabiegi ambasadora francuskiego pana Baelen, wydał notę, w której utrzymywał, że »organizacja szpiegowska była kierowana w Polsce przez wysokich urzędników ambasady i konsulatów Francji«. [...]

Polskie władze zezwoliły na wysłanie mu artykułów żywnościowych. Paczki miały być ekspe-

diowane na wskazany przez policję adres prywatny. Zostały one odrzucone przez pana Robineau, który napisał dwulinijkowy bilecik, zapewniając, że niczego mu nie brakuje.

Podziękujemy mecenasowi Nordmannowi [obrońca aresztowanego we Francji polskiego wicekonsula w Lille, Józefa Szczerbińskiego – S.K.] za udowodnienie, że we Francji, ziemi wolności, kiedy się jest aresztowanym, można wy-

brać sobie adwokata i można nawet za pośrednictwem swojego obrońcy zwracać się do opinii publicznej. Tymczasem pan Robineau nie mógł tego zrobić. Wręcz przeciwnie – w ciszy i mroku więziennej celi przyznaje się do winy, jak nam powiadają” (tłum. W. Grzechnik)[15].

Pierwsze przesłuchanie Robineau nie przyniosło jednak większych efektów. Francuz nie przyznawał się do winy.

„Zaprzeczam kategorycznie – oświadczył dyplomata – jakoby miał się zajmować działalnością wywiadowczą w Polsce. [...] Nie znam nikogo, kto by z Francuzów tak w placówkach dyplomatycznych, jak i z osób niezwiązanych z placówkami zajmował się działalnością wywiadowczą w Polsce”**[16]**.

Jednak opór Robineau trwał tylko jedną dobę, bo już następnego dnia rozpoczął on wzorową

współpracę z prokuraturą, zeznając wszystko, czego przesłuchujący sobie życzyli. Nie wiadomo, jakie były przyczyny takiego postępowania, nie wydaje się bowiem, by Francuz był torturowany. Niewykluczone, że przedstawiono mu niepodważalne dowody działalności szpiegowskiej i w tej sytuacji walczył już tylko o złagodzenie wyroku. Wiedział bowiem, że z komunistami nie ma żartów, i wizja szubienicy stała się nagle bar-

dzo realna.

Zapewne na postawę Robineau wpłynęło również dziwne zachowanie nowego konsula w Szczecinie, Maurice a Rivoire'a. Francuski dyplomata na łamach polskiej prasy odciął się bowiem od swojego podwładnego, pozostawiając go na łasce losu.

„Po moim przybyciu do konsulatu – oświadczył Rivoire – [...] byłem zaskoczony obecnością w charakterze gościa pewnego



młodego człowieka, nie należącego do personelu konsulatu, nazwiskiem André Robineau. Gdy okazałem swoje zdziwienie, odpowiedziano mi, że ten chłopiec o wyglądzie paryskiego łobuziaka jest synem szanowanego sekretarza generalnego naszego Instytutu Francuskiego w Warszawie. Powiedziano mi ponadto, że był on zawsze bardzo ruchliwy, że był odważnym ochotnikiem Francuskich Wolnych Sił podczas wojny, że

przyzwyczał się do samowoli i zuchwalstwa i zwyczaje te nadal zachowuje oraz że dotąd nie posiada żadnego zawodu. [...] Ponieważ młody człowiek miał niezadługo powrócić do Francji, postanowiłem poczekać, nie bacząc na to, że, jak to nazywamy, »niesforny dzieciak« przeszkadzał w sprawnym funkcjonowaniu i w dyscyplinie pracy naszej placówki. O ile chodzi o jego postępowanie poza konsulatem, jest ono, jak i

jego osoba, zupełnie nieznanie konsulatowi. Podobno wykazywał on wiele fanfaronady i łobuzerstwa”[17].

Pan konsul w odróżnieniu od swojego poprzednika, Bardeta, nie był bezpośrednio zaangażowany w pracę wywiadu. Ponadto okazywał zawsze dużo serdeczności krajom demokracji ludowych i ZSRR, co wiele tłumaczy. Komuniści mieli bowiem zawsze duże wpływy nad Sekwaną...

## *PROCES*

Razem z „niesfornym dzieciakiem” przed sądem w Szczecinie stanęło pięciu jego współpracowników. Władze starannie dobierały ich z grona osób aresztowanych, toteż na ławie oskarżonych zasiedli przedstawiciele różnych odmian „wrogów Polski”. A zatem „sanacyjny oficer kontrwywiadu i obozowy kapo” w jednej osobie (Bronisław Sokół-Klim-

czak), „dezerner z Ludowego Wojska Polskiego” (Stefan Pielacki), „kosmopolita” i „sutener” (Kazimierz Rachtan). A do tego jeszcze jeden Francuz (Gaston Druet) mieszkający od lat z niemiecką partnerką w Słupsku i okazujący wielką niewdzięczność wobec swojej nowej ojczyzny. Wśród świadków nie zabrakło również oczekującego na swój proces „członka Hitlerjugend”, a nawet „białego Rosjanina”...

Proces był wielką pokazową imprezą. Na ulicach Szczecina ustawiono ogromne głośniki, za pomocą których na żywo transmitowano przebieg rozprawy. Sprawozdania z sądu pojawiały się codziennie w ogólnopolskim programie radiowym, a także w centralnej i regionalnej prasie.

„Dziś w Szczecinie – mówił sprawozdawca Polskiego Radia – rozpoczął się proces przeciwko André Robineau, który pełnił obo-

wiązki kierownika sieci szpiegow-  
skiej wywiadu francuskiego w  
składzie przeszło 100 osób, działa-  
jącej na terenie północno-zachod-  
niej części Polski. Sala Wojewódz-  
kiej Rady Narodowej w Szczecinie  
zapełniona jest szczerze obserwu-  
jącymi przebieg procesu przedsta-  
wicielami miejscowego świata  
pracy. Obecni są obserwatorzy z  
ramienia ambasady francuskiej.  
[...] Przybyli przedstawiciele prasy  
krajowej oraz ponad dwudziestu

przedstawicielei prasy zagranicznej: Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych, krajów demokracji ludowej i Związku Radzieckiego”[18].

Migawki z procesu, opatrzone oczywiście odpowiednimi komentarzami, trafiły również do Polskiej Kroniki Filmowej. Na szczególną uwagę zasługiwały zgodne samooskarżenia podsądnych, które tak bardzo przypominały moskiewskie rozprawy z lat



30. Na twarzach oskarżonych można było dostrzec ślady tortur, a wyjątkiem był tylko Robineau, który uśmiechał się i sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Tak jakby był zupełnie spokojny o swój los.

Salę sądową, do której wchodziło za specjalnymi zaproszeniami, szczelnie zapełnił „aktyw robotniczy”.

„Wszystkie duże zakłady pracy musiały oddelegować jed-

nego obserwatora – wspominała była pracownica wodociągów, Zofia Pieniak. – No i mnie wybrali. Z każdego dnia procesu robiłam notatki, a później musiałam zdawać relację na masówce. Widownia była pełna, a na zewnątrz tłumy słuchały przy głośnikach”[19].

Proces toczył się przed sądem wojskowym, a jego przewodniczący, podpułkownik Alfred Janowski znany był z częstego orzekania kary śmierci (w latach 1946–

1956 zdarzyło mu się to 13 razy). Zachowywano jednak pozory praworządności – oskarżeni Francuzi dostali adwokatów z wyboru, zapewniono im również tłumaczy. Robineau bowiem, chociaż dobrze znał język polski, wolał zeznawać po francusku. Po jednym dniu zmieniono zresztą tłumacza, bo ten pierwszy używał zbyt prostego języka i nie potrafił w odpowiednio barwny sposób oddać specyfiki szpiegowskiej działalności Robi-

neau...

Nie ograniczono się zresztą do przekładu z francuskiego, bo gdy zeznawała narzeczona Drueta, na sali pojawił się tłumacz z niemieckiego. Nic przecież nie mogło ujść uwagi publiczności.

Centralną postacią procesu był oczywiście Robineau, który już pierwszego dnia przyznał się do winy:

„Ja przyznaję się do dowodów winy, które zostały mi odczy-

tane w akcie oskarżenia, przyznając się do tych faktów, przyznając się do winy w stosunku do Państwa Polskiego, ale robiłem to jako Francuz”[20].

Mimo że szefem siatki był Robineau, sprawozdawcy z największą nienawiścią wypowiadali się o Sokole-Klimczaku. To rzeczywiście był łakomy kęs dla propagandy – sanacyjny oficer działający jako francuski szpieg.

„Nie mniej ciekawym oka-

zem rodzimej tym razem kreatury, która poszła na szpiegowski żołd, jest oskarżony Bronisław Klimczak – relacjonowała niezawodna Wanda Odolska. – Stary szpiegowski wyga, który swoje wyszkolone za czasów sanacji dwójkarskie umiejętności oddał na usługi [...] Robineau. Były podporucznik Klimczak w 1937 roku zdobył absolutorium specjalnej szkoły kontrwywiadu w Brześciu nad Bugiem, toteż jego szpiegowskie

osiągnięcia i jego obecne zeznania miały wagę specjalną. To już nie chałupnik, ale majster i rzemieślnik. [...] Wysoko ceniony i opłacany przez francuski wywiad, ten dwójkarz rozwinął technikę specjalnej pracy. Werbował nowych agentów [...], usiłował się nawet wcisnąć do partii”[21].

Głównym celem oskarżenia było udowodnienie, że francuskie przedstawicielstwa dyplomatyczne stanowiły w rzeczywistości rezy-

dentury wywiadu. Było to zresztą zgodne z prawdą, jednak dokładnie tak samo postępowali polscy dyplomaci nad Sekwaną. Nie bez powodu z Francji co chwila wydawano polskich urzędników, a w przypadku wspomnianego już wicekonsula Józefa Szczerbińskiego zastosowano nawet areszt. Pomiedzy rządami obu państw trwała próba sił, toteż gdy z Polski wydawano profesorów Instytutu Francuskiego, Francuzi odpowiedzieli



usunięciem nauczycieli szkolnictwa konsularnego i zakazem działalności organizacji polonijnych. Napięcie osiągnęło takie rozmiary, że w ambasadzie Francji w Warszawie szykowano się już do ewakuacji i palono tajne dokumenty. W tej sytuacji w Szczecinie musiały zapaść wyroki skazujące, a oskarżeni powinni oficjalnie przyznać się do działalności szpiegowskiej.

Innym elementem wojny

psychologicznej była konferencja prasowa zorganizowana w polskiej ambasadzie w Paryżu. Przybyłym dziennikarzom rozdano kopie dokumentów pisanych rzekomo własnoręcznie przez Robineau, w których miał się on przyznać do zarzutu szpiegostwa. Dokumenty wzbudziły duże zainteresowanie, a dodatkowo powiększył je fakt, że zawierały rażące błędy ortograficzne. Prowadzący konferencję Jerzy Putrament (polski ambasa-

dor w Paryżu) nie dał się jednak zbić z tropu i ripostował:

„To chyba najlepszy dowód, że są autentyczne. Czyżby Pan sądził, że nie ma w Polsce nikogo, kto by znał język poprawnie francuski? Jakbyśmy mieli fałszować, znaleźlibyśmy lepszych stylistów niż Robineau”[\[22\]](#).

## WYROK

„Obserwatora procesu zaskądziwia i przeraża szerokość zagadnień, które przez francuskie konsulaty oplecione były szpiegowską siecią – mówiła Odolska po kolejnym dniu procesu. – Ta sieć wobec wielu dziedzin naszego życia wysubtelniała się do lekkości woalki, takiej zwiewnej i gęstej, że nawet klimat i atmosferę potrafiła chwycić. [...] Robineau, agent francuskiego wywiadu i sekretarz francuskiej placówki konsularnej, funk-

cjonariusz wielkiej faszystowskiej maszyny, mógł znaleźć oparcie i zrozumienie tylko wśród innych kółek i elementów tej samej faszystowskiej maszyny. Korzystał ze świadomej współpracy dwójkarzy, hitlerowców i kosmopolitów oraz nieświadomej ludzi ciemnych, nieostrożnych i gadatliwych”[23].

Prawdziwy popis stalinowskiego krasomówstwa dał jednak dopiero prokurator, podpułkownik Kazimierz Golczewski. To był na-

prawdę właściwy człowiek na właściwym miejscu. Według niego wszystko w dotychczasowym życiu Robineau było wstrętne i wrogie postępowi. Towarzysz prokurator bez wątpienia znalazł również analogie z niedawnej historii Polski:

„[...] członek partii gaullistowskiej, faszysta z przekonania, a szpieg z zawodu. To ten sam typ złotego młodzieńca, jakiego w Polsce przedwojennej widzieliśmy

w dekle korporanckim z laską w ręce i z kastetem w zanadrzu. To jest ten sam typ pałkarza uniwersyteckiego, wroga postępu, a zwolennika ciemnoty. Gaullistowski Robineau i oenerowiec [członek prawicowego Obozu Narodowo-Radykalnego – S.K.], to ten sam rodzaj. I oni stanowią dziś glebę, na której opierają się knowania imperialistycznych podżegaczy wojennych”[24].

Jednak największym zbrod-

niarzem miał się okazać nie Francuz, tylko Polak: Sokół-Klimczak. Wobec byłego oficera II RP, który z patriotycznych pobudek przystąpił do współpracy z Robineau, prokurator nie miał litości:

„[...] wyzuty z wszelkiego poczucia uczciwości, który za pieniądze sprzedaje własny kraj i własny naród [...]. Ojczyznę tego człowieka nie jest Polska Ludowa. Ojczyznę jego jest zdegenerowana emigracja londyńska i stamtąd on



pochodzi, ten zawodowy szpieg. Kupczący własnym krajem, sprzedający Polskę za judaszowe srebrniki”[25].

Golczewski zażądał surowych wyroków: kary śmierci dla Sokoła-Klimczaka i Stefana Pieleckiego oraz długoletniego więzienia dla pozostałych. W odpowiedzi Robineau zaskoczył wszystkich i w swoim ostatnim słowie zadeklarował „podziw dla gigantycznego wysiłku Polaków w

dziele rekonstrukcji” kraju. Nie prosił o litość, zapewne wiedział, że nie dostanie kary śmierci. Niewykluczone zresztą, że strategia przyjęta przez niego podczas procesu oraz przyznanie się do winy miały osłonić nieco jego podwładnych. Nie na wiele się to jednak zdało.

Najwyższy wymiar kary orzeczono wobec Klimczaka (wyrok wykonano), a pozostali oskarżeni zostali skazani na długoletnie

więzienie. Robineau dostał wyrok 12 lat, co może sugerować, że władze dotrzymały układu zawartego z Francuzem.

André Robineau spędził w polskim więzieniu tylko trzy lata. W grudniu 1953 roku został ułaskawiony, co prawdopodobnie stało się w ramach polsko-francuskiej wymiany szpiegów. Inna sprawa, że po śmierci Stalina powoli normalizowano stosunki z dawnym sojusznikiem i nie dążono

już do konfrontacji.

„Niegrzeczny chłopiec” po powrocie do kraju pozostał w służbie wywiadu, wiadomo również, że w latach 70. działał w Afryce Zachodniej. Podobno do końca życia miło wspominał lata spędzone nad Wisłą, ale nigdy nie wypowiadał się na temat swojej działalności, sprawy sądowej i pobytu w więzieniu. W 1982 roku zmarł na chorobę nowotworową, zabierając do grobu tajemnicę swojego dziw-

nego zachowania podczas szcze-  
cińskiego procesu...



# **Rozdział 4**

## **Operacja „Żelazo”**









**„Zaszokowało mnie twierdzenie gen. Mirosława Milewskiego, że – jeśli chodzi o operację »Żelazo« – będzie się bronił, na ile go będzie stać. Bez względu na to, że może skończy jak Popiełuszko. Towarzysz Milewski jest człowiekiem, który bardzo starannie dobiera słowa, określenia. Potrafi i zawsze panuje nad tym, co mówi. Dlatego słowa, straszne słowa, jakich użył na poprzednim Biurze Politycznym, nie mogą być trakto-**

*wane jako zwyczajne, ludzkie  
przejęzyczenie”.*  
*Czesław Kiszczał*

## *BRACIA JANOSZOWIE*

**K**ażda służba wywiadowcza, bez względu na ideologię czy flagę, pod którą funkcjonuje, potrzebuje pozabudżetowych środków na finansowanie swojej działalności. Oficjalnie otrzymywane pieniądze

najczęściej nie gwarantują pełnego pokrycia wydatków, a poza tym poważną część kosztów trudno jest rozliczyć. Z tego powodu niemal każdy wywiad zaangażowany jest w różnego rodzaju nielegalne interesy. Trzeba jednak przyznać, że projekt finansowania służb, jaki opracowano w latach 60. przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, przekroczył wszelkie dopuszczalne granice. Nie była to zresztą samowolna inicjatywa SB, aprobowały

ją bowiem najwyższe czynniki partyjne i rządowe.

„W latach 60. i 70. – mówił generał Józef Osek – w zakresie działań służby wywiadu uwzględniono temat, który można by zdefiniować stwierdzeniem: przy okazji realizacji działań statutowych wykorzystać nadarzające się sytuacje, które mogą dać uzyski pozaoperacyjne dla kraju lub służby wywiadu. W ramach takiego podejścia zrealizowana została ope-

racja »Żelazo«”[1].

Polski wywiad miał więc zorganizować na zachodzie Europy grupę przestępczą dokonującą napadów na sklepy jubilerskie i banki. Zdobycz miała być dzielona po połowie pomiędzy gangsterów i SB, a do realizacji zadania wytypowano przebywających od kilku lat w RFN braci Janoszków: Mieczysława, Kazimierza i Jana.

„Była to operacja nietypowa, operacja taka, w której

»śmierdziało« – mówił ówczesny wiceminister spraw wewnętrznych, generał Mirosław Milewski. – Stąd trzeba było mieć zgodę określonego wyższego szczebla. Na ogół ja sobie nie przypominam, żeby poza sprawami jakimiś szczegółowymi, operacjami, żeby sekretarz KC czy premier coś akceptował. Więc widocznie uznana była ta sprawa za tej skali, wagi. Brało się to z tego, że wówczas to zapotrzebowanie na pieniądze było wielkie



i stąd szukało się wszelkich sposobów”[2].

Rekonstrukcja wydarzeń jest utrudniona, ponieważ w ramach czyszczenia archiwów u schyłku PRL zniszczono większość dokumentów dotyczących tej akcji. Relacje uczestników jeszcze bardziej zaciemniają jej obraz – inna jest bowiem wersja wykonawców, a inną przedstawiają oficerowie wywiadu. Kolejna natomiast wyłania się z zachowanych archi-

waliów.

Bracia Janoszowie pochodzili z Siennej koło Żywca, a na początku lat 50. mieszkali na Śląsku. Była to bardzo zamożna rodzina.

„Byłem przecież prokuratorem wojewódzkim we Wrocławiu – opowiadał Mieczysław Janosz. – Nie dlatego, że chciałem nim być, tylko byłem do czegoś przydatny. Byłem człowiekiem [...], który miał swój rozum [...] i umiał każdą

sprawę załatwić. Jan miał duży zakład hydrauliczny w Jeleniej Górze, Kazimierz miał hutę szkła, prowadził bardzo zyskowny przemysł. Tylko myśmy mogli sobie pozwolić na wyjazd samochodem do Paryża na 14 lipca – zburzenie Bastylji, za pieniądze, które opłaciliśmy w sposób legalny, na wycieczkę organizowaną przez Polski Związek Motorowy”[3].

Mieczysław Janosz rzeczywiście ukończył prawo na Uniwer-

sytecie Jagiellońskim i pracował jako prokurator, a jego dwaj bracia prowadzili bardzo intratne przedsięwzięcia. Od dawna też współpracowali ze Służbą Bezpieczeństwa, a Kazimierz Janosz starał się nawet o etat w resorcie. I kiedy w lipcu 1960 (lub 1961) roku bracia wyjechali do Francji, nie była to wcale prywatna wycieczka. Na Zachód trafili jako współpracownicy wywiadu w celu prowadzenia konkretnej działalności.

„Od wiosny 1960 roku zostałem przeszkolony na wyjazd do krajów kapitalistycznych – potwierdzał Kazimierz Janosz. – Tuż przed wyjazdem przeszedłem powtórne przeszkolenie w Warszawie. [...] Na wyjazd zostałem przygotowany do Francji, a później wyjechałem do RFN. W czasie przebywania za granicą miałem współpracę z pracownikami MSW za pomocą kurierów oraz korespondencji szyfrowej. Wszystkie

prace wykonywałem na polecenie Centrali”[4].

Początkowo planowano, że bracia zajmą się rozpracowywaniem środowiska polskich emigrantów i że „połączą interesy prywatne z operacyjnymi”. Mieli „rozkreślić w Niemczech lokal barowy i rozwinąć firmę handlową w oparciu o kapitał własny”.

Janoszowie wywieźli na Zachód dużą ilość gotówki, zapewne otrzymywali też pieniądze z SB.

Ostatecznie osiedli w RFN, gdzie uznano ich za uchodźców politycznych, szybko też zorganizowali własny biznes.

„Jan i Kazimierz prowadzili najgłośniejsze restauracje i hotele w Hamburgu – opowiadał Mieczysław Janosz. – Cała Polonia i wszyscy zejmani [marynarze – S.K.] świata zjeżdżali się tu i załatwiali różne interesy. Była też znana restauracja, czyli bar Orkan. [...] Tam przyjeżdżali wszyscy ma-

rynarze z Polski, z Rosji, z Litwy, z Ukrainy, z Białorusi, z Ameryki i Polonusy. Działał, powiedzmy po niemiecku, jako treffpunkt [miejsce kontaktowe – S.K.]. Zostawisz list, zostawisz wiadomość. Bracia w tych kontaktach pośredniczyli, marynarze dostarczali do baru różne towary, różne materiały z Polski. Na przykład przywozili kiełbasę, nawet kapustę i ci biedni marynarze sprzedawali to od razu na pniu u Kazimierza i Jana w re-



stauracjach”[5].

W rzeczywistości były to podejrzane spelunki w osławionej dzielnicy St. Pauli, a handel nie ograniczał się wyłącznie do kiełbasy. Do Polski wysyłano (oczywiście nielegalnie) hurtowe ilości odzieży (koszule non-iron, płaszcze, dzinsy), a właściciele lokalu byli gwarantami różnego rodzaju podejrzanych transakcji. Do tego dochodziły jeszcze handel narkotykami i prostytutka, lokal za-

pewne był również pralnią pieniędzy.

„Marynarze masowo przychodzili do baru Orkan – kontynuował Mieczysław. – Przewijały się tam wszystkie wywiady. Tam odbywały się kontakty, przemyt i oczywiście różne rzeczy”**[6]**.

## *POCZĄTEK AFERY*

„Początkowo prowadzenie tej sprawy ukierunkowane było na pozyskiwanie kandydatów do werbunku – relacjonował podpułkownik Tadeusz Drzewiecki – ponieważ agentura ta zamieszkiwała na terenie RFN, a konkretnie w Hamburgu, gdzie Janosz prowadził nocny bar i kasyno gry”[7].

Bracia Janoszowie nie byli ludźmi, których trapiły dylematy moralne. Nie mieli żadnych zahamowań i doskonale odnajdywali

się w świecie przestępczym.

„Co się będziecie martwić? – mówił Kazimierz Janosz do funkcjonariuszy wywiadu. – Ja Wam Adenauera zabiję i w skrzynce przywiozę do kraju. Zadanie wykonam w stu procentach”**[8]**.

Mokra robota również nie stanowiła problemu, więc kiedy Kazimierz dostał odpowiednie zlecenie z centrali, wykonał je bez wahania.

„Na Hans Albers Platz w Hamburgu podszedł jakiś pan do mojego dzwonka – wspominał po latach. – Zadzwoił trzy razy krótko, jeden długi sygnał. Podał hasło, nie pamiętam, jakie ono było, bo się zmieniało, i po wzajemnej identyfikacji upewniłem się, że on jest pracownik z centrali. Powiedział, że natychmiast trzeba wykonać mokrą robotę. No to wziąłem pistolet. Miałem go schowany w kloszu lampy w holu.

Wsiedliśmy do czarnego mercedesa 220 SE. [...] Dojechaliśmy tam, gdzie witają statki. Taki dom na podniesieniu. Flaga. Samochód schowaliśmy z tyłu, za żywopłotem”[9].

Akcja została starannie zaplanowana, oficer wywiadu spotkał się w umówionym miejscu z nieznanym Janoszowi mężczyzną i wystawił go zabójcy.

„To było nad samym morzem, 50, może 100 metrów – kon-

tynuował gangster. – Pistolet miałem pod lewą pachą. W pewnym momencie do pracownika centrali, z którym przyjechałem, zbliżył się umówiony facet. Potem poszli w stronę obszaru zalesionego. Schowałem się w rododendronach i obserwowałem ich, a po upewnieniu się, że nikogo nie ma, przyspieszyłem kroku, oni szli razem, a po zrównaniu się strzeliłem mu w głowę z lewej strony. Przewrócił się do morza, a ja za nim rzuciłem

pistolet. Szybko wróciliśmy do samochodu”[10].

W barze Janoszków zaginęła pracująca tam kelnerka, a choć nic nikomu nie udowodniono, istnieją podejrzenia, że została zamordowana. Mokrej roboty nie unikał również inny z braci, Mieczysław. Podczas zorganizowanego przez niego napadu na bank doszło do zabójstwa kasjera.

„Napad na Bank Narodowy w Reinbek dokonany w dniu 30



grudnia 1964 roku – pisała niemiecka prasa – zaplanowano do ostatniego szczegółu w barze na St. Pauli. [...] Jako szefa tej pięcioosobowej bandy, która dokonała wspomnianego napadu, poszukuje się 34-letniego Polaka, Mieczysława Janosza. Podczas napadu zastrzelono 59-letniego kasjera banku. Mieczysław Janosz, który ostatnio mieszka u swego brata w barze przy placu Hansa Albersa, uciekł. Janosza ściga także Inter-

pol. Jak wynika z materiałów śledztwa hamburskiej policji kryminalnej, Janosz przybył latem ubiegłego roku do Hamburga. Polak rozbił kwaterę u swego brata, który prowadzi bar na placu Hansa Albersa, stąd wyruszał na zwiady, kiedy w drobnych szczegółach opracował plan napadu na bank w Reinbek, wezwał czterech gangsterów z Monachium. Byli to Jugosłowianie. W dniu 29 grudnia odszukali Janosza i przenocowali u

niego. Mieczysław Janosz [...] zawiózł gangsterów samochodem do Reinbek, gdzie dokonali morderstwa. [...] Jeden z Jugosłowian zginął podczas ucieczki bezpośrednio po dokonaniu napadu, pozostali znajdują się w więzieniu. Sąd wydał nakaz aresztowania Janosza, który zbiegł. Policja przypuszcza, że Polak schronił się we Francji. Janosz podaje się za prawnika i twierdzi, że był w Polsce prokuratorem”[11].

Mieczysław Janosz schronił się w Polsce, niemiecka policja nie podejrzewała zresztą, że był współpracownikiem wywiadu PRL. Przebywając w kraju, odgrywał rolę pośrednika pomiędzy SB a braćmi w Hamburgu. Przy okazji sugerował przełożonym nowe przedsięwzięcia na terenie RFN, podsuwał propozycje porywania ludzi dla okupu, a „nawet dokonywania morderstw osób, które są wrogami naszego kraju”.

W tej sytuacji w centrali uznano, że Janoszowie będą idealnymi wykonawcami operacji „Żelazo”. Wywiad zobowiązał się do znacznych inwestycji w przestępczy interes, obie strony obiecywały sobie ogromne zyski z tego procederu.

„Plan sprawy »Żelazo« polegał na tym – zeznawał w latach 80. pułkownik Mieczysław Schwarz – że bracia Janoszowie otworzyli fikcyjny sklep jubilerski

w Hamburgu, ściągali wyroby ze złota z różnych hurtowni, nie płacąc za nie lub płacąc symboliczne zaliczki. Po zgromadzeniu odpowiedniej ilości towar mieli przewieźć do Polski i tu, zgodnie z podpisaną umową, połowę złota mieli przekazać Skarbowi Państwa”[12].

## *ZŁOTY INTERES*

Uruchomienie jubilerskiego biznesu wymagało jednak rozwiązania kilku problemów. Firma musiała posiadać zapasy gotówki, a do tego eleganckie, budzące zaufanie biuro oraz odpowiednich pracowników. Kłopot stwarzał również emigrancki status Janoszków w Niemczech, toteż konieczne stało się znalezienie osoby, na którą można byłoby zarejestrować działalność.

SB nie spieszyła się z fi-

nansowaniem przedsięwzięcia. Ostatecznie sam Kazimierz Janosz zainwestował w interes 200 tysięcy marek, co dobrze pokazuje, jak wielkimi kwotami już wówczas dysponował.

Nie miał również problemów ze znalezieniem rodowitego Niemca, na którego zarejestrował firmę.

Był nim Jens Keilholz, kelner z baru Orkan, a następnie z Trojki, czyli z lokalu prowadzo-



nego przez Jana Janosza.

„W Trojce chodziłem w smokingu i w lakierkach – wspominał były kelner. – Tam też mieszkałem. Miałem tam swój pokój. I tak całe lata było. Z Kazimierzem siadaliśmy czasem razem i gadaliśmy. Powiedział kiedyś niespodziewanie: »Będę cię potrzebował. To tutaj, to główniana robota. Mój brat jest taki głupi. Z nim nie mogę robić interesów«. Oczywiście nadstawiłem uszu, bo

pieniądze też tam były i to duże. Pytam: »Co to ma być?«. »Bizuteria, handel hurtowy biżuterią«”[13].

Keilholz bez problemów otrzymał koncesję, wynajęto pomieszczenia w reprezentacyjnym biurowcu Hamburga. Zamówiono mosiężne tablice z napisem „Keilholz i spółka – handel biżuterią”, zatrudniono odpowiednią sekretarkę.

Janosz od samego początku

stosował metodę piramidy finansowej, obroty firmy generowano ze środków klientów. Podstawą funkcjonowania był długi termin płatności za zamawianą biżuterię.

„Warunki zapłaty to było w większości wypadków 90 dni po otrzymaniu towarów – tłumaczył Keilholz. – Trzeba było przedłożyć referencje firmom, które nas przecież nie znały. Od czasu do czasu kupowaliśmy coś za 20–30 tysięcy marek płatne w gotówce. Było też

trochę pieniędzy na koncie w banku”[14].

Nawet po latach musi dziwić łatwowierność kontrahentów, bo wcześniej nikomu nieznana firma nagle zaczęła obracać dużymi pieniędzmi.

„Przychodziły pierwsze zamówienia. Próbkę towarów od firm. Na zasadzie komisu. Firmy przysyłały produkty, które produkowały. [...] I po otrzymaniu próbek był zamawiany towar. Przy-

chodziły pierścionki, zapalniczki, sztucce, inna biżuteria, łańcuszki, korale z pereł, spinki do mankietów, zegarki. Tak więc interes szedł znakomicie i bardzo dobrze się tam czułem”[15].

Janosza nie interesowały jednak dochody uzyskiwane z handlu. Planował zdobycie zaufania kontrahentów, stopniowe powiększanie zasobów magazynowych firmy, a następnie ucieczkę z towarem do Polski.

Szybko też znalazł sposób na dodatkowe zarobki, dopuszczając do współpracy miejscowych przedsiębiorców:

„Pozorowane włamania do sklepów jubilerskich organizowali fabrykanci mający odpowiednie ubezpieczenie – tłumaczył wiele lat później. – Taki fabrykant kazał mi przyjść o określonej porze. Organizowałem to sam lub we dwóch. Fingowaliśmy napad, terroryzowaliśmy personel i zabiera-

liśmy towar, który był specjalnie przygotowany, oraz kasę. Następnie fabrykant zgłaszał policji, wystawiał faktury na milion dolarów, podczas gdy faktycznie było tego za 10 tysięcy dolarów. Od tej wartości dostawałem, zgodnie z umową, swoją pulę”[16].

Z relacji Jensa Keilholza wynika również, że Janosz blisko współpracował z dyrektorem hamburskiego oddziału Bank für Gemeinwirtschaft prowadzącego ra-

chunek firmy. To właśnie ten bank gwarantował niektóre transakcje, a nazwisko Janosza otwierało wszystkie drzwi tej instytucji.

Gangster nie ograniczał się zresztą wyłącznie do kosztowności, w magazynach firmy zgromadził hurtowe zapasy towarów deficytowych w Polsce. Znalazły się wśród nich: skórzana odzież, dzinsy, koszule, żyletki (!), meble. Ich wartość szła w setki tysięcy marek.



W kwietniu 1971 roku Kazimierz uznał, że sytuacja stała się już zbyt niebezpieczna. Dysponował ogromną fortuną, która po przewiezieniu do kraju zabezpieczała jego rodzinę na całe pokolenia. Dlatego z dnia na dzień postanowił zlikwidować swoje interesy.

„Nadałem depeszę do centrali, że pali mi się grunt pod nogami i nie mogę czekać dalej. Podałem, aby mnie przez dwa dni w maju 1971 roku oczekiwali na gra-

nicy. Nocami i dniami przez tydzień ładowałem, co się dało, do wagonów. Przekupiłem celników, były to dwa albo trzy wagony. Dodatkowo pojemniki kolejowe (kontenery)”[17].

Do wagonów załadował również dwie walizki wypełnione wyrobami jubilerskimi, większość biżuterii postanowił jednak osobiście przewieźć przez granicę.

„[...] przerabiałem samochód Mercedes 200, całe siedze-

nia, bagażnik, nie mogłem tego pomieścić. Pakowałem to w cienki papier, żeby było jak najmniej opakowań, w szmaty i tak dowaliśmy, że samochód pod ciężarem usiadł. Wziąłem jeszcze pistolet, miałem go nielegalnie. Modelu nie pamiętam. Miałem kilka pistoletów, zachodnie modele, po każdym działaniu wyrzucałem pistolet, żeby nie było śladu”[18].

Bez większych problemów pokonał granicę pomiędzy RFN i

NRD, dalej znalazł się już pod opieką SB. Funkcjonariusze wywiadu czekali na niego na przejściu granicznym w Słubicach, aby umożliwić mu bezproblemowy wjazd do kraju. Tymczasem nieuprzedzony o niczym Jens Keilholz popadał w coraz większe tarapaty:

„Przyjeżdżam z powrotem do Hamburga. Otwieram biuro – nic nie ma. Rozejrzałem się za stemplem Kazimierza Janosza. Jak

wyjeżdżał, zawsze brał go ze sobą. Stempel był, wystawa i witryna były puste. Otworzyłem sejf, klucz tkwił w zamku. Pusto. W Altonie, w takiej piwnicy [...] leżały ciuchy za 380 tysięcy marek. Pognałem tam. Czy są tam jeszcze ciuchy? Tylko wieszaki, a on zniknął. I to wszystko na moje nazwisko”[19].

Oficjalnie to on był właścicielem firmy i na nim też ciążył obowiązek uregulowania zobowiązań wobec kontrahentów i urzędu

skarbowego. A tylko należny podatek opiewał na kwotę blisko 100 tysięcy marek...

## *PODZIAŁ ŁUPU*

„Na naszej granicy oczekiwali mnie pracownicy centrali – wspominał Janosz. – Znałem tylko pana Strzemienia [majora Marka Strzemienia – S.K.]. W skrytkach

samochoду, bez opakowania, przywiozłem do kraju około 200 kilogramów wyrobów ze złota o wartości około jednego miliona marek zachodnioniemieckich. No, w tym towarze były najwyższego gatunku różnego rodzaju wyroby ze złota, takie jak zegarki z bransoletkami, ze dwadzieścia kilo, łańcuszki w belach około pięćdziesięciu kilo, pierścionki damskie, męskie z naturalnymi kamieniami”[20].

Razem ze Strzemieniem w

Słubicach czekał też Józef Laszczak, oficer wywiadu z komendy MO w Zielonej Górze. I gdy wreszcie mercedes Janosza przekroczył granicę, niezwłocznie został wprowadzony do specjalnego garażu. Tam Strzemień przystąpił do akcji, z samochodu wyciągał kosztowności, „wysypywał te wyroby jubilerskie jak kartofle”.

„Z rozmowy Strzemienia z osobnikiem [Janoszem – S.K.] – wspominał Laszczak – zorientowa-



łem się, że złote przedmioty pochodzą z kradzieży w różnych sklepach jubilerskich we wszystkich państwach Europy Zachodniej. Załadowaliśmy to do dwóch walizek, które przewiązaliśmy sznurkami i zalakowaliśmy. Odcisk na laku zrobił Janosz kluczykiem swojego samochodu”[21].

Zdobycz dowieziono do Warszawy na Rakowiecką, a Strzemień osobiście wniósł walizki do gabinetu pułkownika Schwarza.

Według ich oceny biżuterii było jednak mniej, niż deklarował Janosz (około 130 kilogramów). Obaj panowie narzekali zresztą, że większość wyrobów była „niechodliwej w Polsce próby 333”.

To stanowiło jednak zaledwie preludium awantury o podział zysków z bandyckiego procederu. Na Rakowieckiej zapadła bowiem decyzja, że zdobycz zostanie podzielona inaczej, niż było to wcześniej ustalone. Inna sprawa, że

właściwie nikt nigdy nie przeprowadził jej dokładnej inwentaryzacji, a do określania wartości łupów używano kilogramowych odważników sklepowych...

Przy okazji zainteresowano się także wagonami kolejowymi, które Janosz wysłał do Polski. Ich zawartość nie była wprawdzie równie cenna, ale uznano, że jest to znakomity materiał przetargowy do dalszych rozliczeń z gangsterami.

„Ten towar dotarł koleją do Bytomia – wspominał Mieczysław Janosz. – Wagony stały na dworcu kolejowym przez dwa tygodnie. Oczywiście Kazimierz zadzwonił z Hamburga, że wszystko wysłał do siostry, ale nie podał adresu. Pano-  
wie z MSW nie wiedzieli: do której siostry? Jakiej siostry? Więc wpadli we wściekłość, że towar był już w Polsce, a oni nic o nim nie wiedzieli. Istniało ryzyko, że złoto z wagonów wykradną koleja-

rze [22].

Oficerowie wywiadu ustalili wreszcie, gdzie znajduje się przesyłka, i od tej pory już nic nie pozostawiali przypadkowi. Strzeżenie w towarzystwie Drzewieckiego i pułkownika Zygmunta Nikła przeprowadził wagony do Zebrzydowic.

„Podjechała ciężarówka z MSW z Katowic – wspominał Mieczysław Janosz – i zabrała z wagonów towar do magazynu,

gdzie miał być spisany protokół, wyliczone ilości tego, co przywieziono. Umówili się, że to zrobią w następnych dniach. Oczywiście było tu ogromne zaufanie Kazimierza, że się na coś takiego zgodził. Nikt nie przypuszczał, że go potem wykolegują panowie z MSW i KC. Nikt nie zrobił spisu”[23].

Kosztowności zrabowane w Niemczech wywołały prawdziwą sensację na Rakowieckiej. Pułkow-

nika Schwarza odwiedzili jego przełożeni, generałowie Mirosław Milewski i Jan Słowikowski. Nie ukrywali dumy ze zdobyczy, nazwali ją „łupami wojennymi”, twierdząc, że to przejaw sprawiedliwości dziejowej za niemieckie rabunki podczas II wojny światowej.

Podział łupów nastąpił po kilku dniach. Gdy Kazimierz Janosz pojawił się na Rakowieckiej, zastał tam otwarte już walizki. Po-

informowano go również, że razem z braćmi otrzyma tylko 1/3 łupu. Motywowano to „większym wysiłkiem operacyjnym pracowników MSW”.

„[...] siedziałem na dole w poczekalni – zeznawał gangster kilkanaście lat później – było to już wszystko rozpakowane na biurkach, wyjęte z walizek. Zabrałem swoją porcję, i to się skończyło. [...] To było już posortowane. Coś tam pisali, ale już nie wiem, co pi-



sali. Jak miałem zaufanie do kogoś, to co mnie obchodzi, co pisali, tajnie pisali [...]. Nie byłem obecny przy otwarciu walizek ani przy ważeniu. Z każdej kupki coś mi dali. Ja spisu nie brałem, powiedzieli, że dostanę to później. Ja się upomniałem o obiecane 60 tysięcy dolarów. Odpowiedziano, że jeszcze decyzja nie zapadła, zostanę powiadomiony, abym się nie martwił, mam z czego żyć, życzyli zdrowia: »Jedźcie do sanato-

rium«”[24].

Podziału dokonywano według wagi i na podstawie walorów wizualnych biżuterii, chociaż oficerowie wywiadu nie potrafili nawet określić nazw kamieni szlachetnych w wyrobach. O sukcesie zdążono już powiadomić najważniejsze osoby w państwie.

„O wynikach operacji »Żelazo« informowałem Kanię – zeznawał generał Milewski – i osobiście nie wierzę, aby nie poinform-

mował on o tym ówczesnego I sekretarza KC Edwarda Gierka. Potwierdza to między innymi fakt, że po tej operacji wielu towarzyszy z kierownictwa KC składało nam gratulacje”[25].

Na gratulacjach się nie skończyło. Gierek, Jaroszewicz i Szlachcic postanowili przekonać się osobiście o wartości łupów zdobytych przez Janoszów. Podobno zachowywali się przy tym jak dzieci w sklepie z zabawkami,

„przypinali złote kolie, chodzili po sali i śmiali się”. Towarzysze z KC mieli już zresztą własne plany co do dalszych losów zdobyczy.

Pozostał jeszcze problem ładunku z Zebrzydowic, który trafił do magazynów MSW przy ulicy Czerniakowskiej w Warszawie.

„To były meble, sztuce, srebro, platerki »Sterlingsilver«, drogocenne rzeczy i sztuce »hart vergoldet«, zapalniczki połączone – relacjonował Kazimierz Janosz.

– Tego było bardzo dużo. Dlaczego miałem tego nie zamówić? Nawet żyletki zamówiłem. Dużo rzeczy ze skóry, płaszczy, kurtek, swetrów. To było w tych wagonach i dwie walizki pierścionków 18-karatowych, były to walizki czarne, około półmetrowej długości. Były one w wagonie. Nie mogłem tego zmieścić w samochodzie”[26].

Bizuteria ostatecznie trafiła na Rakowiecką, natomiast pozo-

stałą zdobycz podzielono mniej więcej po połowie. Służba Bezpieczeństwa zachowała jednak najlepsze żyletki (!), przekazując Janoszowi te gorszej jakości.

„Po miesiącu przywieziono to do mnie. [...] Żona rozdzieliła te sztucce dla dzieci, dla innych. Z tego złota, co było w dwóch czarnych walizkach, nic nie otrzymałem, zatrzymała je centrala w całości. Szacunkowo z tego transportu kolejowego – nie wiem, ile dosta-

łem. Miałem dostać połowę, ale trzeba było to porządnie spisać. Pozycji było bardzo dużo”[27].

## *KRAMIK NA RAKOWIECKIEJ*

Gdy w 1984 roku resortowa komisja badała tę aferę, w magazynach MSW znajdowało się już niewiele kosztowności. Ustalono, że zaginęło co najmniej „75 kilo-

gramów złota, kamieni szlachetnych o ogromnej wartości, duże ilości wyrobów ze srebra oraz znaczne ilości luksusowych towarów”. Prawdopodobnie jednak zniknęło znacznie więcej złota, niż podawali członkowie komisji.

„Skarbiec zgromadzony w wyniku rabunku – twierdził Marian Orzechowski, członek komisji – był także jakby podręcznym magazynem, z którego nagradzano zasłużonych pracowników



MSW”[28].

Podpułkownik SB Zofia Niedziałek opowiadała, że złote zegarki wręczano funkcjonariuszom z okazji rocznicy urodzin czy ślubów, nie prowadząc przy tym żadnej ewidencji. Faktyczny stan rzeczy prezentował się jednak znacznie gorzej.

„Dokonaliśmy wyboru przedmiotów ze złota i zegarków – wspominał Marek Strzemiń. – Tak zwanych okazowych. Przed-

mioty te [były] przeznaczone dla kierownictwa ministerstwa – Jana Słowikowskiego i wiceministra Mirosława Milewskiego. Do dużych kopert zapakowaliśmy zegarki ręczne, z białego złota, gładkie i wysadzone kamieniami, brylancikami. Dołączyliśmy na pewno sztabki złota”[29].

To nie był jednostkowy przypadek – najcenniejsze przedmioty (sztabki złota, złote monety, kamienie szlachetne i efektowne

wyroby) pakowano do szarych kopert i wysyłano bezpośrednio do gmachu KC PZPR. Podobno z tego źródła pochodziły „diety” dla dostojników przed wyjazdami na zachód Europy, a wśród osób odbierających bezpośrednio łupy wymieniano Jana Szydłaka i Zdzisława Grudnia (następcę Gierka na stanowisku szefa partii w Katowicach). Niektóre z tych wyrobów przeznaczano na okolicznościowe prezenty – na urodziny złoty zegar-

rek miała otrzymać Alfreda Moczar, żona Mieczysława. A co najważniejsze, regularnym odbiorcą kwot finansowych pochodzących ze sprzedaży zrabowanych przedmiotów miała być towarzyszka Stanisława Gierka. Czyżby w ten sposób finansowała swoje zakupy za żelazną kurtyną? Ostatecznie w tym właśnie celu raz na kwartał wybierała się wraz z rodziną do Wiednia...

Pozostałe precjoza trafiły

do „kramiku” na Rakowieckiej, gdzie oficerowie wywiadu mogli je nabywać po okazyjnych cenach.

„Sklepek to zawsze istniał – potwierdzał pułkownik Tadeusz Fiećko. – Jak był zakaz kupna towarów zagranicznych, towary po prostu sprowadzano z Berlina [Zachodniego – S.K.]. Sklepek był dla pracowników wywiadu. Kiedy chciałem, powiedzmy, urządzić jakieś przyjęcie [...], udawałem się i kupowałem, za marki oczywiście,

za waluty obce. Najdogodniejsze okazywały się marki, bo w takiej walucie robiono zakupy dla sklepiku, więc łatwo się było rozliczyć w markach”**[30]**.

Pozostaje pytanie, jak wyceniano towar dostarczony przez Janosza. Przecież gangster nie przywiózł faktur, a SB nic mu za te kosztowności nie zapłaciła. Przy sprzedaży nie pobierano żadnych pokwitowań i można wręcz odnieść wrażenie, że cały ten „kra-

mik” miał być przykrywką dla machinacji ze zdobyczą gangsterów.

„System był działaniem celowym – ustaliła komisja badająca aferę. – Od początku operacji »Żelazo« robiono wszystko, aby określoną ilość złota i innych kosztowności ukryć poza jakąkolwiek ewidencją. Mirosław Milewski był w tym czasie dyrektorem departamentu I, a następnie nadzorującym ten departament wiceministrem. I jeśli sam tej praktyki nie wprowa-

dził, to ją kontynuował i sankcjonował”[31].

## „ŻELAZO II”

Chociaż Janoszowie dostali tylko około 40 kilogramów złota, nie osłabiło to ich zapału do dalszej współpracy z wywiadem. Za swoje zasługi zostali bowiem otoczeni ochroną prawną i gdy w Pol-



sce pojawił się Richard Zaiser, pełnomocnik pokrzywdzonych biznesmenów z Niemiec, to nic nie osiągnął. Prokuratura kompletnie go zignorowała, oświadczając, że „takie sprawy należy załatwiać kanałami dyplomatycznymi”[\[32\]](#).

Już kilka miesięcy później Kazimierz Janosz spotkał się z Mieczysławem Schwarzem i Tadeuszem Drzewieckim. Omawiano sprawę przerzutu do Polski kradzionych na Zachodzie samocho-

dów dla resortu i wojska. W grę miały wchodzić również luksusowe pojazdy dla wyższych oficerów wywiadu. Janosz dobrze znał mieszkające w Hamburgu małżeństwo Burnickich, które prowadziło tam komis samochodowy. Od lat łączyły go z Burnickimi różne niejasne interesy.

Gangster wyjechał do Berlina Wschodniego, gdzie omówił sprawę ze swoim bratem, Janem, który nadal przebywał w Ham-

burgu. Po powrocie oznajmił, że sprawa „Żelazo” niemal „już zupełnie ucichła i na ten temat nic się nie mówi”, natomiast koszt przemytu samochodów ustalił na jedną trzecią ich rynkowej ceny. Do współpracy ostatecznie nie doszło, chociaż wydaje się, że kilka pojazdów trafiło jednak do I Departamentu MSW. Zofia Niedziałek wspominała, że w 1973 roku na jego stanie znajdowały się cztery samochody (w tym mercedesy

220 D i 230 D) niemające odpowiedniej dokumentacji. Najwyraźniej kierownictwo tego departamentu nie potrafiło oprzeć się pokusie skorzystania z tej odrobiny nielegalnego luksusu...

Innym projektem Janoszków była sprawa napadu na jeden z zachodnioeuropejskich banków. Kradzież, która miała przynieść zysk w wysokości 15 milionów marek, zaplanował Jan Janosz. Skradzione pieniądze miał on przekazać MSW

w zamian za część zdobyczy i ochronę prawną po ucieczce do kraju. Nowe plany snuł również inny członek gangsterskiej rodziny.

„Mieczysław Janosz robił pozytywne wrażenie – wspominał podpułkownik Jan Rodak. – Oczytany, elokwentny. Miał niesamowite pomysły na interesy. Prosił nas o paszport, na przykład na Indie, do Birmy. Chciał nawiązać kontakty handlowe i otwierać

przedsiębiorstwa. Spotykałem się z nim w Świteziance. Mieczysław mówił, że Jan ma do nas żal, bo nie robimy z nim interesów, a on ma jakieś zamrożone pieniądze, duże pieniądze w złocie, w precjozach. Włosy mi się na głowie zjeżyły, to były sumy niewyobrażalne. Dzisiaj Janoszowie by robili biznes, ale wtedy mieli ograniczenia, bo urząd skarbowy trzymał ich za pyski. Zwrócili się do departamentu, żeby w jakiś sposób wyprał

te środki. Ale departament odmówił. Mieczysław do mnie dzwonił. Musiałem zrelacjonować problem kierownictwu. Kazano mi trzymać język za zębami i go zwozдить”[33].

Ale czy tak było rzeczywiście? Wydaje się, że Rodak nie powiedział całej prawdy. Wywiad zaprobował bowiem jeden z gangsterskich projektów, a plan dostał nawet akceptację premiera Jaroszewicza. Tym razem miał być to

przerzut ze Szwecji 80 kilogramów złota i trzech kilogramów kamieni szlachetnych. Środki te pochodziły z napadu na bank, podczas którego zabito dyrektora placówki.

Wprawdzie oficjalnie do realizacji projektu nie doszło, ale pewien dokument zachowany w zbiorach IPN wydaje się sugerować coś zupełnie przeciwnego. Gdy bowiem major Strzemiń sporządzał notatkę służbową z rozmowy z Ja-



nem Janoszem, zaznaczył, że gangster chciał, aby w „rozliczeniu stosować zasady praktykowane w I i II etapie zrealizowanych już akcji w ramach sprawy kryptonim »Żelazo«”[34]. Pierwszy etap oznaczał hamburski proceder Kazimierza, ale co rozumiano pod terminem „drugiego etapu”? Czy był to przemyt złota i kamieni szlachetnych ze Szwecji, czy też inna operacja, której dokumentację starannie zniszczono?

## *NIETYKALNI*

Chociaż pułkownik Rodak twierdził, że centrala odmówiła legalizacji majątku Janoszów, to prawda była zupełnie inna. Potwierdził to nawet Mieczysław Janosz, który uważał zresztą, że wywiad okradł jego i braci z „dobrobytu życia”:

„Kazimierzowi nie dano żadnego kwitka, że to wwiózł. On tego nigdzie nie mógł sprzedać,

gdziekolwiek by się z tym ujawnił, od razu urząd celny czy komisje zażądałyby, skąd on to ma. Pozostała konieczność opylenia tego, w związku z tym Kazimierz zwrócił się do centrali MSW, żeby, no, umożliwiono mu sprzedaż części towaru, no i to załatwiono” [35].

Kazimierz Janosz otrzymał zgodę na legalną sprzedaż złota, nikt nie stwarzał mu również problemów w handlu innymi zrabowanymi przedmiotami. W zamian

jednak podpisywał potwierdzenia odbioru sum, których nigdy nie otrzymał. Być może w ten właśnie sposób oficerowie wywiadu zapewniali sobie pokrycie na zde-fraudowane pieniądze pochodzące ze sprzedaży skarbu Janoszków.

„Wystawiałem pokwitowanie na dewizy – potwierdzał Kazimierz. – Na przykład kiedy prowadziłem restaurację Czerwony Kapturek w Bielsku-Białej, dałem pokwitowanie pracownikowi centrali

na około 5 tysięcy dolarów amerykańskich. Kiedy to przebywałem u brata [...], odnalazło mnie tam dwóch pracowników centrali. Jeden imieniem Tadeusz, pokazał mi legitymację z MSW. Oświadczyli, że do rozliczenia ze mną centrala potrzebuje pokwitowania na sumę ponad 700 tysięcy złotych w jednym kwicie. Natomiast na dewizy w sumie ponad 3 tysięcy dolarów amerykańskich w trzech kwitach. Pokwitowania były pisane w po-

koju na poddaszu przez pracownika z centrali. Wszystkie pokwitowania podpisałem własnoręcznie, ale i w tych wypadkach pieniędzy na wystawione pokwitowania nie otrzymałem”[36].

Ostatecznie Kazimierz Janosz dostał jeszcze od MSW ponad 2 miliony złotych jako dodatkowe wynagrodzenie za swoje usługi (pokwitował jednak odbiór wielokrotnie wyższej kwoty). Nie zaprzestał też gangsterskiego rze-

miosła i korzystając z ochrony władz, otworzył w Bielsku-Białej restaurację Czerwony Kapturek. Lokal cieszył się wyjątkowo złą sławą, w rzeczywistości była to tylko przykrywka dla bandyckiej działalności rodziny.

„[...] tam kawałek wyżej był ośrodek MSW – opowiadał Mieczysław Janosz. – Ośrodek szkoleniowy i instruktażowy, kogo załatwić, kogo zlikwidować. Jak ten zrobił taki »Kapturek«, to jak

budowano fabrykę samochodów, to wszyscy frajerzy tam w tej knajpie siedzieli i pili. Tam się wódka lała strumieniami. I w pewnym okresie przyjeżdża tam Dziewulski ze swoimi oprychami, proszę pana, i w tym barze urządził sobie, rozumie pan, mały jubel. Zaczął strzelać, wyciągnął pistolet, zaczął się zachowywać w sposób, no, niesamowity, więc chłopcy go związali, rozbroili, tych jego kompanów to samo. Wzięli mu pistolety, rozu-



mie pan, i zadzwonili, i puścili. Trochę im tam wpieprzyli chyba też”[37].

Podobno w knajpie można było wszystko kupić i sprzedać albo zostać pobitym i okradzionym przez personel. Opowiadano także, że nieznani sprawcy zamordowali tam jedną z pracownic. Ale Janoszowie pozostawali pod ochroną warszawskiej centrali i byli niemal całkowicie bezkarni. Bracia publicznie szczycili się

znakomitymi układami w stolicy, twierdząc, że gdy ktoś im zaszkodzi, to „zdejmą mu głowę”.

W Kapturku wielokrotnie jednak interweniowała milicja, wysyłano tam nawet specjalne patrole. Na dłuższą metę były to jednak działania bezskuteczne.

„Janoszowie to była mocna rodzina w Bielsku-Białej – wspominał jeden z milicjantów. – Pojechaliśmy do nich na rewizję, w pięciu funkcjonariuszy z kałaszn-

kowami w 1981 roku. Otrzymaliśmy sygnały, że z wódką w restauracji Kazika są jakieś przekręty. W jednym z pokoi znaleźliśmy kufer zamknięty na kłódkę. Podważyliśmy zawiasy kufra i podnieśliśmy pokrywę, zobaczyliśmy złote sztaby, złote łańcuchy, pierścionki, monety. Nogi się pod nami ugięły, bo czegoś takiego nie widzieliśmy wcześniej. Złote monety poupychane były w butach, w tapczanie leżały sterty złotówek z dolarami.

Kazik rzucał się, klął, gdy zabieraliśmy całe złoto. Po pewnym czasie w naszej komendzie pojawili się panowie z centrali wywiadu w Warszawie. Musieliśmy po ich interwencji wszystkie precjoza oddać Kazikowi. Janosz sprawdzał ze spisem i odbierał wszystko po kolei. Naczelnik ze złością powiedział: teraz, panie Janosz, to bogactwo jest na pana głowie, nie na naszej. W wydziale przestępstw gospodarczych zorganizowano

spotkanie i tłumaczyli naczelnik z komendantem, dlaczego złoto oddano Janoszm. Mówili, że to wywiad, sprawy nad naszymi głowami, a wydział liczył 40 funkcjonariuszy i wszyscy trzęśli się z oburzenia, że przestępcy są nietykalni”[38].

*ZABIĆ ADAMA MICHNIKA*

Uważano, że Janoszowie byli pod bezpośrednią opieką ówczesnego wiceministra MSW, generała Mirosława Milewskiego. Dygnitarz odwdzięczał się im za akcję „Żelazo”, a przy okazji rodzina dalej świadczyła resortowi gangsterskie usługi. Tym razem na pierwszym planie był Jan Janosz. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że na zlecenie wywiadu specjalizował się w mokrej robocie. Potwierdza to raport Jana Rodaka ze spo-

tkania z najmłodszym z braci.

„Przedstawiłem mu sytuację, w której należałoby zwinąć i przerzucić przez granicę, np. do NRD, interesującego nas osobnika. [...] Natychmiast zadał pytanie, wykazując znajomość rzeczy – »czy za jego zgodą, czy bez«. Wyjaśniłem mu, co rozumiemy pod pojęciem »zwinąć«. Natychmiast replikuje: »Żywy czy martwy«. Wyjaśniłem, że lepiej zawsze żywy, bo nie cuchnie. Jeśli zacznie

cuchnąć, to już szkoda ryzyka w przewożeniu przez granicę”[39].

Wywiad wyznawał ideologię, że „zasady moralne przestrzegane w kraju nie obowiązują za granicą, łącznie z likwidowaniem fizycznym ludzi”. Jan Janosz miał podjąć się zadania „zwijania” osób wskazanych przez SB, co zresztą nie kolidowało z jego zwykłymi gangsterskimi interesami. W 1977 roku udowodniono mu kradzież w Hamburgu, w tym samym roku zo-



stał postrzelony przez policję. Potem było podobnie – cztery lata później został skazany w Szwecji za przemyt amfetaminy, z tych samych powodów zatrzymano go później w RFN.

„Sprawa zabójstw [...], w które zamieszani byli Janoszowie – mówił Witold Bagieński z IPN – jest wciąż bardzo niejasna. Nie ma dokumentów, które jednoznacznie potwierdziłyby, kogo i kiedy zabiło, natomiast o tym, że takie sy-

tuacje miały miejsce, zeznawali sami Janoszowie. Zresztą nie bez przyczyny – jeden z funkcjonariuszy indagowanych w sprawie »Afery Żelazo« oświadczył później, że sprawą braci zajmowano się ze względu na ich skłonność do wykonywania tzw. mokrej roboty”[40].

Pułkownik Rodak zlecił Janoszowi sprawę przebywającego wówczas na Zachodzie Adama Michnika („Trutnia”). Podobno

gangster miał zorganizować napad na niego i zabrać mu paszport, co uniemożliwiłoby opozycji powrót do kraju. Przy okazji planowano przejąć dokumenty posiadane przez Michnika oraz „nieco” go poturbować.

„[Janosz] zapytany, ile chce za realizację sprawy »Truteń« – kontynuował Rodak – [...] zaczął się zastanawiać i zapytał, ile dam (miałem do dyspozycji 20 tysięcy DM). Podałem 10 tysięcy, uważa-

jąc tę sumę przy tego typu sprawie za wystarczającą. Odparł, że doświadczenia wykazują, iż mamy różne pojęcie o tym, co jest wystarczające, a co nie. Po prostu operujemy innymi sumami. Odparłem, że w tym przypadku możemy zrekompensować jeszcze faktyczne wydatki, pod warunkiem, że nie przekroczą one 50% wynagrodzenia. [...] Powiedział, że do tej sprawy jeszcze powrócimy, jak uda mu się pozytywnie zała-

twić »Trutnia« i dostarczyć dokumenty”[41].

Wydaje się jednak, że raport Rodaka na temat sprawy Michnika nie zawiera całej prawdy. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby SB planowała akcję, której skutkiem miałyby być tylko utrata paszportu.

„Wywiad PRL – uważał Jerzy Morawski, autor książki o aferze »Żelazo« – nie wysyłał wysokiego oficera do Berlina z dwu-

dziestoma tysiącami marek w kieszeni (w tych czasach była to fortuna), aby opłacić kradzież paszportu opozycjoniście. Bezpieka mogła, kogo tylko chciała, aresztować po przylocie na Okęcie i przetrzymać pod byle pozorem, by nie uczestniczył we wrogiej demonstracji. Podawany przez Rodaka powód kradzieży paszportu Adamowi Michnikowi – aby nie wziął udziału w akcji opozycji w kraju – jest absurdalny. To wykręt, by za-

mazać prawdziwy cel działań wymierzonych w opozycjonistę”[42].

Faktycznie, w dokumentach SB nie ma śladu planowania mordstw, chociaż takie działania podejmowano. I tak zapewne miało być również w przypadku Adama Michnika...

Jan Janosz nie zrealizował jednak zlecenia i podczas kolejnego spotkania z Rodakiem w dość mętny sposób tłumaczył przyczyny rezygnacji z akcji.

„W Paryżu »Truteń« został przez jego ludzi namierzony i dwa dni był obserwowany – informował pułkownik. – Czekano na dogodny moment, bo »Truteń« zawsze i wszędzie chodził przynajmniej w towarzystwie dwóch osób. »Komteja« [pseudonim Jana Janosza – S.K.] utrzymuje, że w tej sytuacji jego »chłopcy« nie tyle stchórzyli, co zaczęli rozumować, iż tu idzie nie tylko o rozbój, ale o jakąś sprawę polityczną. Stąd dzia-



łali jego zdaniem zbyt mało energicznie, bo można było (pomimo obecności innych osób) sprawę pomyślnie załatwić. Gdyby on był wtedy sprawny, nie byłoby problemu[43].

Wydaje się jednak, że Jan Janosz z rozmysłem zrezygnował ze zlecenia na Michnika. Nie wiadomo, jakie były tego powody. Niewykluczone, że gangster faktycznie nie chciał mieszać się w rozgrywki polityczne. Nie wiemy

zresztą, komu jeszcze wówczas służył i z czyjej ochrony korzystał. Zachowały się bowiem informacje, że interesowali się nim Sowieci, miał także niejasne kontakty z wywiadem jugosłowiańskim (wielu obywateli tego kraju pracowało legalnie w RFN). Możliwe również, że jego gangsterską działalność nadzorowali Niemcy. Gdy bowiem w 1990 roku prokuratura RP zwróciła się do Niemieckiego Urzędu Kryminalnego o wiadomości na

jego temat, otrzymała wyjątkowo skromne informacje. Tak jakby Niemcy nie zamierzali dekonspirować swojego agenta.

Najbardziej prawdopodobna wersja wypadków jest jednak taka, że gangster pozostawał na usługach wielu wywiadów. Na każdym zleceniu starał się zarobić, a gdy uważał, że potencjalne zyski nie równoważą strat (jak w sprawie Michnika), rezygnował z jego wykonania.

„Jest również zastanawiające – pisał w swoim raporcie z 1984 roku generał SB, Władysław Pożoga – że doszło do tego, że aktywny członek grupy przestępczej, Jan Janosz, mógł przez szereg lat w zasadzie oficjalnie i bezkarnie działać na terenie RFN i we Francji, dopuszczając się między innymi poważnych przestępstw kryminalnych, w tym napadów rabunkowych z bronią w ręku. [...] Jest zastanawiające tym bardziej, że

nadal mieszka on i prowadzi interesy w Hamburgu. Z tych względów można uznać za wysoce prawdopodobne, że zgromadzone przez zachodnie służby specjalne i policję dossier braci Janoszów stanowiło wystarczający powód do ich przewerbowania”[44].

W odróżnieniu od swoich braci Jan Janosz osobiście niczego już nie wyjaśni, zmarł bowiem w Hamburgu w 2002 roku.

# *GANGSTERZY I POLITYCY*

Poważne problemy rodziny Janoszków zaczęły się w 1981 roku, kiedy to generał Milewski stracił stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Jego następcą, Czesław Kiszczak, był zajadłym przeciwnikiem poprzednika, nie brał też udziału w operacji „Żelazo”.

W lipcu 1981 roku przeciwko Kazimierzowi Janoszkowi wszczęto dochodzenie prokurator-

skie. Zarzucano mu spekulacje przy sprzedaży alkoholu i papierosów, nielegalną produkcję wódki, handel dewizami oraz posiadanie broni bez zezwolenia. Rok później został skazany na 18 miesięcy więzienia w zawieszeniu na trzy lata oraz 130 tysięcy złotych grzywny. Dodatkowo miał również zapłacić 78 tysięcy złotych kosztów sądowych.

Zainteresowali się nim również urzędnicy skarbowi, oskarża-

jąc go o zatajanie dochodów. Z tego powodu wymierzono mu kolejne podatki uznaniowe (tzw. domiary). W 1984 roku Janosz został ponownie aresztowany i osadzony w więzieniu w Wadowicach.

„Przychodzą do mnie z płaczem dzieci Kazimierza – opowiadał jego brat, Mieczysław – i mówią: »Wujku, ratuj ojca«. On miał od kilku lat w domu stale rewizje, ciągle kradzieże, ciągle rabunki robione przez zwykłych stupaj-



ków, milicjantów. Prowadzili jakieś dochodzenia w sprawie rzekomej, takiej czy innej. Wszystko po to, aby go sczyścić do końca”[45].

Mieczysławowi tupetu nigdy nie brakowało, pojechał zatem do Warszawy, by zażądać spotkania z Czesławem Kiszczakiem. Do ministra się nie dostał, ale przyjęli go jego współpracownicy. Od nich też domagał się uwolnienia brata, grożąc ujawnieniem szczegółów operacji „Żelazo”.

Po kilkunastu dniach do Warszawy przewieziono Kazimierza, którego osobiście przesłuchiwał Kiszczak w towarzystwie generałów Władysława Pożogi (wiceministra spraw wewnętrznych i szefa wywiadu) oraz Zdzisława Sarewicza (dyrektora I Departamentu MSW).

Początkowo oficerowie nie mogli uwierzyć w rewelacje Janoszków, ich wersja wypadków znajdowała jednak potwierdzenie w

dokumentach i relacjach pracowników resortu. Dlatego też uznano, że cała sprawa wykracza poza kompetencje MSW i jest znakomitym pretekstem do ostatecznego skompromitowania Milewskiego.

Powołano specjalną komisję pod przewodnictwem generała Pożogi, jej członkowie drobiazgowo badali całą aferę, a przy okazji starali się wyjaśnić losy kosztowności zrabowanych przez Janoszów.

„W trakcie działań komisja [...] napotkała znowu milczenia przestępców z MSW – relacjonował Piotr Gontarczyk – ale mimo to opisała wiele szczegółów operacji – napady, strzelaniny i morderstwa. Wiele innych faktów skrzętnie zatuszowano. Z dokumentacji usunięto nazwiska niemal wszystkich zamieszanych w sprawę członków KC PZPR poza Mirosławem Milewskim. Mimo to końcowy raport komisji wspominał o

tym, że [...] w samej akcji brało udział kilkudziesięciu oficerów MSW, w tym czterech czy pięciu generałów. Komisja nie miała wątpliwości, kto był mózgiem przestępczych operacji. Jak wynika z wyżej przedstawionych ustaleń, operację »Żelazo« na wszystkich jej etapach organizował, kierował i nadzorował towarzysz Milewski jako dyrektor Departamentu I, a następnie podsekretarz stanu oraz minister spraw wewnętrz-

nych”[46].

Rewizja przeprowadzona w domu Milewskiego wykazała posiadanie przez niego znacznych ilości wyrobów jubilerskich, nie dało się jednak udowodnić, że pochodziły one z operacji „Żelazo”. Sam zainteresowany początkowo zasłaniał się niepamięcią, a potem okazywał niezwykłą butę. I jeszcze miał pretensje, że z powodu śledztwa nie dostał odznaczenia na przypadającą w lipcu 1984 roku

rocznicę 40-lecia PRL.

Przy okazji zainteresowano się też osobistym majątkiem Milewskiego, generał bowiem od lat umiejętnie wykorzystywał swoją pozycję w resorcie.

„Sprawa mieszkania Milewskiego – notował z niesmakiem Mieczysław Rakowski. – W 1979 roku wziął willę (155 m<sup>2</sup>) po aresztowanym przez MSW człowieku. Dom został luksusowo wyposażony, »nikt dotąd w MSW tak

się nie urządził, żaden minister«. Za to wszystko płaci ministerstwo. Milewski płaci czynsz w wysokości 861 złotych miesięcznie, w tym opłata za garaż wynosi 237 złotych”[47].

Kiszczak i jego współpracownicy doskonale jednak wiedzieli, że Milewskiemu nie mogą nic poważnego zrobić. Ujawnienie afery groziło niewyobrażalnymi konsekwencjami na arenie międzynarodowej, a opozycja nie za-



przepaściłaby okazji do wykazania zgnilizny moralnej aparatu władzy PRL. W efekcie aferę należało maksymalnie „uszczelnić”, co w praktyce oznaczało całkowite jej zatuszowanie.

Milewski jednak doskonale znał metody pracy resortu i miał prawo obawiać się o swoje życie.

„Zaszokowało mnie twierdzenie – powiedział Kiszczak – że »będzie się bronił, na ile go będzie stać. Bez względu na to, że może

skończy jak Popiełuszko«. Towarzysz Milewski jest człowiekiem, który bardzo starannie dobiera słowa, określenia. Potrafi i zawsze panuje nad tym, co mówi. Dlatego słowa, straszne słowa, jakich użył na poprzednim Biurze Politycznym, nie mogą być traktowane jako zwyczajne, ludzkie przejęzyczenie”[48].

U schyłku PRL partia nie była jednak wobec swoich członków równie brutalna jak wobec

opozycjonistów. Milewskiemu nie spadł nawet włos z głowy, został tylko usunięty z szeregów PZPR. Nagany partyjne dostali Franciszek Szlachcic, Józef Osek i Jan Słowikowski, natomiast pułkownika Mieczysława Schwarza ukarano upomnieniem. Inny bohater afery, major Strzemię A, od kilku lat nie był już pracownikiem resortu i po przeniesieniu do rezerwy pracował w Polskiej Agencji Prasowej.

A chociaż Kiszczak narzekał, że musi „gimnastykować się, jak uchronić bandziora przed zasłużoną karą, aby kupić jego milczenie”, to jednak Kazimierza Janosza wypuszczono z więzienia. O aferze stało się głośno dopiero po upadku komunizmu, na krótko aresztowano wówczas jej głównych aktorów. Ale ostatecznie nie doszło do rozprawy sądowej i cała sprawa pozostała wyłącznie medialną sensacją.

Gdy w 2005 roku Kazimierza Janosza odwiedził Jerzy Morawski, schorowany gangster skarżył się na niesprawiedliwość, jaka go dotknęła. Tak bardzo zasłużył się dla Polski, a w zamian zniszczono go domiarami i kontrolami...

Inaczej potoczyły się natomiast losy jego brata, Miecysława. W latach 80. stanął na czele Stowarzyszenia Ofiar Wojny, a następnie wsławił się kolportażem

antyżydowskich ulotek. Udzielał się również gorliwie podczas afery ze stawianiem krzyży na Żwirowisku na terenie KL Auschwitz, często wówczas występował w towarzystwie Kazimierza Świtonia i Leszka Bubla. Kilka lat później założył Bank Słowiańskich Ofiar Wojny, a według opinii miejscowych miał to być przykład, że „kolejny raz chce naciągnąć ludzi”. Inna sprawa, że kolportowane przez niego ulotki podawały w

wątpliwość sprawność umysłową ich autora:

„Polacy!!! Powstał Bank Słowiańskich Ofiar Wojny [...]. Zarządy Główne Stowarzyszenia Ofiar Wojny i Związku Weteranów Wojny w porozumieniu z Komitetem Narodowym Polskim zapraszają członków SOW i ZWW oraz członków ich rodzin, a także wszystkich Polaków (ofiary i następców prawnych ofiar zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko

ludzkości) do nieodpłatnego nabywania świadectw udziałowych Banku Słowiańskich Ofiar Wojny. [...] Bank ten powstał w wyniku porozumień pomiędzy organizacjami pozarządowymi krajów słowiańskich [...] na mocy uchwały Komitetu Narodowego Polskiego w Bielsku-Białej z 31 sierpnia 2002 roku”[49].

W zamian za wkład w wysokości 100 złotych do banku mogli przystępować wszyscy „praw-



dziwi” Polacy bez względu na wiek i płeć, można było nawet wykupić udziały dla nienarodzonych jeszcze obywateli RP...

Przy okazji instytucja ta świadczyła bez odpowiednich zezwoleń takie usługi, jak prowadzenie rachunków bankowych, udzielanie i zaciąganie kredytów, prowadzenie rachunków osobistych. A jej szef twierdził, że działa zgodnie z „orzeczeniami Międzynarodowego Trybunału Słowiańskiego

oraz na mocy uchwał Komitetu Narodowego Polskiego, Wydziału Oświecenia Narodowego w Białsku-Białej”[50]...

Żaden z braci Janoszków nigdy nie okazał cienia skruchy czy refleksji na temat swojej gangsterskiej przeszłości. Kazimierz beznamiętnie opowiadał o wyłudzeniach, kradzieżach i zabójstwach, natomiast Mieczysław w ogóle zaprzeczał większości faktów. Gdy w 2006 roku realizowano

film o aferze, stwierdził przed kamerą, że nigdy nie doszło do żadnej operacji „Żelazo”, a jedynym problemem jest wyłącznie niesprawiedliwe pozbawienie jego brata oszczędności życia. Uważał też, że „nigdy nie było żadnej afery”, a towar Kazimierza „nigdy nie pochodził z żadnego przestępstwa”. Oczywiście nie zadał sobie trudu, aby wyjaśnić, w jaki sposób brat wszedł w posiadanie takiego majątku...

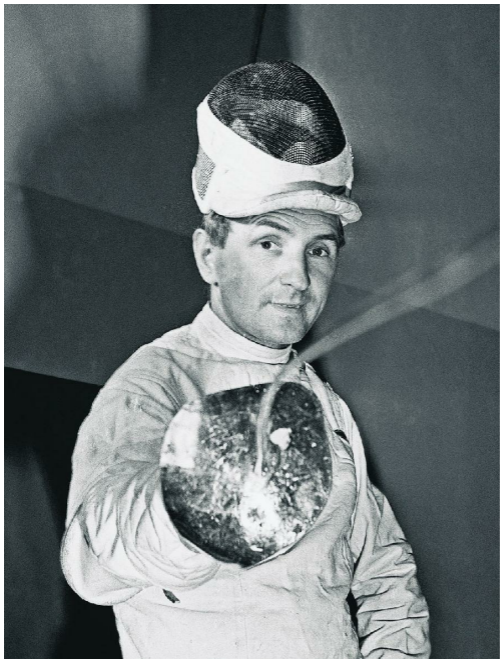


# **Rozdział 5**

## **Mistrz szabli**









**„Jerzy Pawłowski dał mi się poznać jako osoba robiąca gigantyczne interesy, przy czym nie wiadomo było, jakie były to interesy, o jakim charakterze.**

*W każdym razie był sprytny w robieniu majątności. Nie potrafię powiedzieć, z jakiego źródła czerpał zyski. Podejrzewam go o robienie pieniędzy przez przemyt. Oceniam go jako osobę dość zachłanną na karierę i pieniądze”.*

*Gustaw Holoubek*

*MAJOR PAWŁOWSKI  
ARESZTOWANY*

**T**o była prawdziwa sensacja, gdy w kwietniu 1975 roku nagle i niespodziewanie zniknął Jerzy Pawłowski – ulubieniec całego kraju, wielokrotny medalista igrzysk olimpijskich i mi-

strzostw świata, człowiek, któremu przyznano tytuł szablisty wszech czasów. Media milczały na ten temat, a nazwisko szermierza w ogóle przestało być wymieniane. To zrodziło szeroko kolportowaną plotkę, że sportowiec został zastrzelony przez SB na Okęciu, gdy próbował uciec do USA. Od lat miał być bowiem amerykańskim szpiegiem, który za sowytą opłatą przekazywał na Zachód tajne informacje.

Pogłoski o szpiegostwie niebawem się potwierdziły – w połowie czerwca „Trybuna Ludu” zamieściła tekst o prowadzonym przeciwko szabliście śledztwie, pojawiły się również informacje, że Pawłowski został aresztowany i stanie przed sądem. Opinia społeczna spodziewała się najwyższego wymiaru kary (zawodnik był majorem LWP), a sprawą dyskusyjną było tylko to, czy szermierza powieszą, czy rozstrzelają. Oka-

zało się jednak, że władze wybrały inne rozwiązanie.

Niemal dokładnie rok po aresztowaniu, w kwietniu 1976 roku Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał Pawłowskiego na 25 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na 10 lat, przepadek mienia oraz degradację do stopnia szeregowca.

„Zdrada Ojczyzny, zbrodnia szpiegostwa – pisano po wyroku na łamach »Żołnierza Wolności« –

działania przeciw podstawowym interesom obrony kraju – muszą wywoływać tym surowsze potępienie, gdy czynu tego dopuszcza się człowiek, któremu Polska Ludowa umożliwiła wykształcenie, rozwijanie zamiłowań i wykorzystanie talentu sportowego, awans społeczny i dostatni byt, sukcesy i sławę w ulubionej dyscyplinie sportu. Nie może nie wywoływać odrazy fakt, że Jerzy Pawłowski, reprezentując nasze barwy naro-

dowe na wielu imprezach sportowych, jednocześnie zdradzał Polskę, sprzedając za nędzne, judaszowe srebrniki jej tajemnice. Pawłowski prowadził podwójne życie. Był człowiekiem o dwóch obliczach – istniał inny Pawłowski – karierowicz, bezkrytyczny wielbiciel Zachodu, samolub, dorobkiewicz – Pawłowski, dla którego dobrem najwyższym są pieniądze”[1].

Wyrok był jednak w pew-

nym sensie niezrozumiały, toteż zastanawiano się, dlaczego sportowiec uszedł z tej sprawy z życiem. Czyżby ekipa Gierka obawiała się reakcji światowej opinii publicznej? Ostatecznie nie były to czasy, w których wieszano (czy też rozstrzeliwano) znanych na całym świecie sportowców i idoli społeczeństwa, rządzący mogli się więc obawiać międzynarodowych reperkusji. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że akurat ten sporto-



wiec był posiadaczem legitymacji partyjnej z osobistym podpisem Władysława Gomułki.

„Publicznie ogłoszono jedynie wyrok, bez uzasadnienia i to było pewne zaskoczenie – wspominał Janusz Atlas. – Oficer służby czynnej przyłapany na szpiegostwie i po udowodnieniu przez sąd winy może dostać tylko jeden wyrok: czapę! Ale sądy Pelerelu miały swoje poczucie sprawiedliwości. Pawłowskiemu poda-

rowano głowę za ćwierć wieku odsiadki. Prawdopodobnie na wyroku zaważyły jego wielkie zasługi sportowe, ale w kuluarach sądu rozprawiano także o kręgach wtajemniczenia, do jakich dopuszczany był na wolności: o polowaniach z generałem Jaruzelskim i o spotkaniach towarzyskich z pierwszym garniturem władzy ludowej. Wysoce prawdopodobne, że wysokość wyroku dla »Pawła« ustalał nie sąd wojskowy, tylko Biuro Po-

lityczne KC PZPR, zwłaszcza że miało już wprawę w takiej robocie”[2].

Jedni podejrzewali, że być może w przyszłości Pawłowski będzie potrzebny na wymianę szpiegów, inni natomiast twierdzili, że musiał w śledztwie zdradzić wiele tajemnic, za co kupił sobie życie. Nikt jednak nie przypuszczał, że cała działalność wywiadowcza szablisty była po prostu tragifarsą, a on sam miał na sumieniu rów-

nież współpracę z organami bezpieczeństwa i kontrwywiadem PRL...

## *SZABLISTA WSZECH CZASÓW*

„W lutym 1949 roku po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwą, sportową szermierkę – wspominał Pawłowski. – Taką na sali, z okrzykami, które strasznie mnie

dziwiły. Czemu oni się tak wydierają? Skaczą, jak opętani, odbijają kij od szczotki jakiegoś grubego, dużego chłopca, który też bez przerwy ryczy: »To jee (tak w oryginale, krzyczy Węgier) dobre! Doskonale! Tak jest!«”[3].

Pawłowski miał szczęście, gdyż trafił pod opiekę znakomitego fachowca, Węgra Janosa Keveya. To właśnie on potrafił wydobyc z uzdolnionego chłopaka to, co najlepsze. To właśnie on nauczył

go, jak wykorzystywać na planszy ten wyjątkowy, wrodzony talent. Kevey był uwielbiany przez swoich podopiecznych, których zresztą traktował niemal po ojcowsku.

„W latach 50. nie odstępowałem Keveya na krok – przyznawał Pawłowski. – Wszędzie byliśmy razem. Wielokrotnie zabierał mnie na obiady, do kina. Troszczył się o mnie jak ojciec. Sam mawiał: »Jesteście moje dzieci«. Ale także często: »Cholera można dostać z

wami«. Był to zwrot używany w przyпіywie chwilowego gniewu, zabarwiony miłością do nas”[4].

Pawłowski okazał się największym odkryciem Węgra, który zdecydował, że jego pupil poświęci się wyłącznie szabli. Było to zresztą zgodne z zainteresowaniami młodego sportowca od dawna marzącego o występach tylko w tej dyscyplinie.

„[...] to ona jest moją koronną bronią. Pozwala na największe

szą improwizację i swobodę ruchów, nie krępuje konwencją i schematyzmem. Floret, na przykład broń udziwniona, nienaturalna. A dla mnie wszystko, co schematyczne, przestaje być atrakcyjne. Toteż floret był nie do przyjęcia, choć byłem w nim mistrzem Polski seniorów. Wygrywałem też turnieje w szpadzie, ot tak – dla hecy”[5].

Już jako 20-latek Pawłowski zakwalifikował się do drużyny



narodowej na olimpiadę w Helsinkach (1952), jednak na podium jeszcze tam nie trafił. Powetował to sobie cztery lata później i podczas igrzysk w Melbourne zdobył srebrny medal indywidualnie i drużynowo. W roku następnym został pierwszym polskim mistrzem świata w szermierce. W 1959 roku w trakcie mistrzostw świata w Budapeszcie to właśnie on zdecydował o zdobyciu przez Polaków tytułu drużynowych mistrzów

świata, zwyciężając w ostatniej walce zawodnika gospodarzy, Rudolfa Karpatiego.

„Zespołowo zdobywaliśmy medale akurat po moich decydujących walkach – opowiadał Pawłowski. – Zwycięstwo drużynowe sprawiało mi chyba większą frajdę niż indywidualne. Nie zbieram znaczków, monet ani medali. Zawsze liczyła się dla mnie sama radość walki, spotkanie dwóch intelektów. Potrafiłem się nawet cie-

szyć z jednego trafienia [...]. Dlatego mniej ważne były dla mnie medale, skupiałem się, żeby zadać jakieś zaskakujące pchnięcie, paraliżujące trafienie, a blaszki wrzucałem do pudeł [...]”[6].

Następnie przyszedł kolejne sukcesy na olimpiadach i mistrzostwach świata (łącznie 19 medali!), a ukoronowaniem kariery Pawłowskiego był olimpijski triumf w Meksyku w 1968 roku. Stał się najbardziej utytułowanym

zawodnikiem w swojej dyscyplinie, w efekcie Międzynarodowa Federacja Szermiercza przyznała mu tytuł szablisty wszech czasów. Ambicje Pawłowskiego sięgały jednak wyżej – chciał zostać najlepszym szermierzem w dziejach i niewiele mu już brakowało do tego, by zgromadzić więcej tytułów niż włoski szpadzista i florecista, Edoardo Mangiarotti (zakończył karierę w 1960 roku). To jednak nie było mu dane, a zadecydo-

wały o tym względy pozasportowe.

## *FINANSE MISTRZA*

Chociaż w PRL sportowcy oficjalnie byli amatorami, to praktyka była zupełnie inna. Pawłowski, będąc zawodnikiem Legii Warszawa, miał etat oficerski (dosłużył się stopnia majora), ukończył również studia prawnicze, dzięki czemu pracował jako adiunkt W Wojskowej Akademii Politycznej. Oczywiście stanowisko to, podobnie

jak etat wojskowy, było wyłącznie fikcją umożliwiającą wypłacanie szabliscie wysokich apanaży. Już po sukcesie w Meksyku objął również (jako czynny zawodnik!) stanowisko prezesa Polskiego Związku Szermierczego. Do tego doszło jeszcze wysokie honorarium za wydaną w 1971 roku książkę Trud olimpijskiego złota – Pawłowski otrzymał za nią ponad 30 tysięcy złotych, podczas gdy średnia krajowa wynosiła wówczas 2358 złotych.

W epoce PRL honoraria i oficjalne pensje nie były jednak

najważniejsze – bardziej liczyły się możliwości, jakie otwierały zajmowane stanowiska. Pawłowski nie mógł na to narzekać, bo jako zawodnik światowej elity brał udział w typowo komercyjnych turniejach, w których zamiast nagród rzeczowych odbierał ich równowartość w twardej walucie (za Martini Rossi – 400 dolarów, czyli odpowiednik 20 średnich krajowych pensji). Ale to był tylko dodatek do zarobków mistrza.

„Dał mi się poznać jako osoba robiąca gigantyczne interesy – wspominał jego sąsiad, Gustaw Holoubek – przy czym nie wiadomo było, jakie były to interesy, o jakim charakterze. W każdym razie był on sprytny w robieniu majątkości. Nie potrafię powiedzieć, z jakiego źródła czerpał on zyski. Osobiście podejrzewam go o robienie pieniędzy przez premyt. [...] W każdym razie ja oceniam go jako osobę dość zachłanną



na karierę i pieniądze”[7].

Tak jak niemal wszyscy polscy sportowcy Pawłowski zajmował się przemytem na dużą skalę. Zaczynał już podczas pierwszych wyjazdów zagranicznych, a zarabiał wtedy nawet na kolegach z drużyny.

„W 1951 roku, gdy Pawłowski był pierwszy rok żołnierzem służby zasadniczej, wyjechaliśmy wtedy na zawody do Brukseli – opowiadał trener, Andrzej

Przeździecki. – Stwierdziłem tam przypadkowo, że handluje zegarkami, oszukując kolegów. Kupował zegarki w sklepiku żydowskim chyba po 70 lub 75 franków, a sprzedawał po 75 lub 80 franków, zarabiając na tym 5 franków od sztuki”[8].

Potem przyszły znacznie poważniejsze interesy, toteż wybitny szablista osiągał dochody wręcz niewyobrażalne dla innych obywateli PRL. Nie krył się z tym

specjalnie, a po latach wspominał znakomity interes, jaki zrobił bezpośrednio po olimpiadzie w Meksyku. Wykorzystał wówczas fakt, że pozwolono mu (jako złotemu medalistcie) na indywidualny powrót do kraju przez RFN. Razem z Pawłowskim, który zamierzał kupić tam samochód, pojechał brązowy medalista igrzysk, florecista Egon Franke.

„Kupujemy złote monety olimpijskie, licząc na to, że je z

pewnym zyskiem sprzedamy w NRF-ie – relacjonował Pawłowski. – Mam cały rulon tych monet, do tego mam jeszcze blisko tysiąc dolarów, które już od jakiegoś czasu kupowałem (oczywiście na czarnym rynku, właśnie z zamiarem kupienia samochodu). Znajomy dziennikarz zagraniczny przewiózł mi te dolary przez granicę. [...] Jestem mistrzem olimpijskim, więc kupię sobie używanego mercedesa – może mi to w Warszawie darują.

Na złotych monetach całkiem niespodziewanie zrobiliśmy znakomity interes. Ja sam zarobiłem na czysto blisko czterysta dolarów. Z tym, co już miałem w kieszeni – mogłem sobie pozwolić na samochód, na który miałem ochotę. [...] W rezultacie kupiłem takiego mercedesa za 1500 dolarów. Proszę pamiętać, które to były lata”[9].

W Warszawie opowiadano, że szablista załatwił sobie u pre-

miera Cyrankiewicza zwolnienie z cła za ten pojazd, a chociaż on sam temu zaprzeczał, nie jest to wcale wykluczone. Mercedes nie był zresztą jego największym osiągnięciem, albowiem Pawłowski miał w centrum Warszawy pięciopokojowe mieszkanie ze smakiem umeblowane antykami. Wprawdzie był to tylko lokal kwaterunkowy, ale dostatecznie dobrze świadczył o zaradności mistrza. Po co wydawać duże pieniądze na

mieszkanie, skoro można je było praktycznie bezpłatnie otrzymać od miasta?

Do tego dochodziła jeszcze działka w Wildze pod Warszawą i stojący na niej całoroczny dom, w którym szablista wypoczywał wraz z rodziną. Nie narzekał również na życie osobiste. Wprawdzie rozpadło się jego małżeństwo z aktorką Teresą Szmigielówną, ale za to z kolejną żoną, ginekolog Iwoną, stworzył udany związek. Przy oka-

zji szeptano również, że Pawłowski ma duże skłonności do płci pięknej i prowadzi życie godne playboya. Ale ulubieńcowi narodu wszystko wybaczano.

„[...] cieszył się nieprawdopodobną popularnością nie tylko jako autorytet sportowy, ale nieledwie moralny – opisywał Janusz Atlas. – »Paweł« był człowiekiem niewątpliwie inteligentnym, dowcipnym i kontaktowym; no, po prostu dawał się lubić. Dzięki



szermierce – a dokładnie pozycji, jaką sobie wywalczył szablą, był człowiekiem zamożnym, pięknie żyjącym w ogromnym mieszkaniu i jeszcze jakiejś posiadłości wiejskiej. Zmieniającym dla kaprysu samochody i chyba nigdy nie narzekającym na brak forsy. Był prawdziwym wybrańcem fortuny, człowiekiem życiowego sukcesu. W dalszym tle błyszczał walor patriotyczny – Jerzy Pawłowski był oficerem odrodzonego Ludowego

Wojska Polskiego. Słowem – bohater bez skazy”[10].

W tej sytuacji Pawłowski mógł sobie pozwolić na spektakularne gesty mające ukazywać jego bezinteresowność:

„Po zdobyciu srebrnego medalu na Mistrzostwach Świata w Wiedniu oddałem finansową nagrodę dewizową na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Ponad tysiąc marek wschodniemieckich, jakie otrzymałem

jako honorarium za film dokumentalny o mnie – przekazałem Polskiemu Komitetowi Olimpijskiemu”[11].

Niestety, z upływem lat w charakterze Pawłowskiego zachodziły niepokojące zmiany. Kłócił się z trenerami, uważając, że sam wie najlepiej, w jaki sposób osiągnąć optymalną dyspozycję. Kiedyś uważano, że ma pozytywny wpływ na innych członków reprezentacji, a teraz stawał się elemen-

tem rozbijającym jedność drużyny. Ale był szablistą wszech czasów i właściwie wszystko mu było wolno.

„[...] składał się on jakby z dwóch części: Jerzego Pawłowskiego sportowca i Pawłowskiego człowieka – twierdził Andrzej Przeździecki. – Jeśli chodzi o sportowca, to muszę obiektywnie stwierdzić, że był to sportowiec wielkiej klasy [...]. Jeśli chodzi o Pawłowskiego człowieka, to od sa-

mego początku naszej znajomości stwierdziłem, że jest to egoista, niezwykle łasy na pieniądze, dbający tylko o siebie. [...] Jego ujemne cechy charakteru i ujemne oddziaływanie na zespół szczególnie objawiło się w latach 1968–73 i w zasadzie do końca. Stał się wtedy szczególnie zarozumiały, pewny siebie i wprost mogę powiedzieć – brutalny cham”[12].

Opinia Przeździeckiego nie była wyjątkiem – inny trener, Zbi-

gniew Czajkowski, uważał, że szablista zmieniał się w zastraszającym tempie. Ze skromnego i bezinteresownego sportowca stał się „zawodnikiem, a raczej człowiekiem chciwym, bezwzględny, łasy na pieniądze i korzyści, które mógł wyciągnąć ze sportu”. Twierdzono, że „podejmie się on każdego zadania”, jeżeli tylko będzie „mógł na tym zarobić”.

Otoczenie już dawno zwróciło uwagę na to, że szermierz wy-

dawał znacznie więcej, niż oficjalnie zarabiał. Mogło to być niebezpieczne, bo władze skarbowe PRL bywały bezwzględne nawet wobec mistrzów sportu. Ale Pawłowski wyjaśniał, że zarabiał duże kwoty na grze w pokera, miało mu też dopisywać szczęście podczas wizyt w zachodnioeuropejskich kasynach. I faktycznie miał skłonności do hazardu, co potwierdza relacja kulomioty, Władysława Komara:

„Podczas olimpiady w

Meksyku zaproponował, żebyśmy zegrali w pokera. Naprzeciwko nas siadł miejscowy Polak, z zawodu jubiler, oraz jako czwarty dziennikarz PAP, Defratyka. Po kilku rozdaniach zorientowałem się, że ów bajecznie bogaty jubiler w sposób nie do końca zgodny z regułami chce wejść w posiadanie naszych diet. Biedak nie wiedział, że swego czasu praktykowałem w Londynie w klubie gamblerskim i wszystkie te numery, które on stosował, to



była pierwsza klasa, ale podstawowa. A w tej branży już ja miałem wyższy stopień wtajemniczenia. Rezultat tego spotkania był taki, że pełna pierścieni walizka, którą od niego wygraliśmy, zawierała obrączki tombakowe”[13].

## *WSPÓŁPRACA Z UB*

„Miałem 18 lat, gdy zwią-

załem [się] z Wojskową Służbą Wewnętrzną – zeznawał Pawłowski podczas procesu. – Kierowałem się zapotrzebowaniem społecznym, chciałem zwalczać wrogów Polski, entuzjazmowałem się wywiadem jako takim”[14].

Po latach, już w wolnej Polsce wyjaśniał, że nie miał wyboru, albowiem dostał propozycję nie do odrzucenia. Podobno ratował w ten sposób ojca, któremu groziła śmierć z rąk UB.

„Podpisałem zobowiązanie – tłumaczył – ponieważ nie chciałem, żeby dobrali się do mojego ojca, żołnierza AK. W 1950 roku zaczynał się terror. Poinformowałem natychmiast moją rodzinę, że mnie złamali”[15].

Kilka lat później oddano go do dyspozycji Wojskowej Służby Wewnętrznej, dla której miał rozpracowywać środowisko sportowe, a także zapobiegać ucieczkom zawodników za granicę. Złożył wów-

czas przyrzeczenie, że „dobrowolnie zobowiązuje się pomagać organom informacji MON w zwalczaniu wrogów Polski Ludowej”. I faktycznie prowadził działania kontrwywiadowcze w kręgach sportowych, a także realizował „niektóre, fragmentaryczne przedsięwzięcia w stosunku do tajnych współpracowników wywiadu i kontrwywiadu wojskowego przebywających na terenie NRF”.

Według opinii resortu, po

1956 roku Pawłowski kontaktował się ze służbami wyłącznie z własnej inicjatywy i sam też decydował, jakie informacje przekazać. Ostatni kontakt miał miejsce latem 1973 roku, kiedy to opowiedział o koledze szermierzu wyprzedającym swój majątek, co miało sugerować zamiar ucieczki na Zachód.

Po latach poraża tematyka donosów szablisty. Informował on przełożonych, że Irena Kirszenstein (Szewińska) utrzymuje za

granicą kontakty ze środowiskami żydowskimi; donosił na koszykacza Włodzimierza Tramsa, który prowadził hurtowy handel towarami pochodzącymi z przemytu. Podawał również informacje o nielegalnych interesach Władysława Komara i Andrzeja Badeńskiego oraz o tym, że sprawozdawca sportowy Jan Ciszewski miał oszukać w Brukseli jubilera na 200 dolarów. Najwięcej jednak donosów (ze zrozumiałych powodów) doty-

czyło środowiska szermierczego. Proceder ten kontynuował zresztą Pawłowski podczas swojego procesu w 1976 roku, gdy zdradzał metody osiągania dochodów przez swoich kolegów:

„Nie mogę pominąć przy omawianiu znanych mi osób Henryka Nielaby – zawodnika Legii [szpadzisty – S.K.]. Przypominam sobie, że [...] Nielaba, wyjeżdżając za granicę, prowadził hurtową sprzedaż sprzętu szermierczego,

przede wszystkim kling. Ponieważ w początkowym okresie był on magazynierem sprzętu szermierczego [...], wybrakował on kilkakrotnie te same klingi i kilkakrotnie je złomował. [...] W zamian [za] złomowane po kilka razy te same klingi, pobierał on nowe klingi i wywoził na handel. Najczęściej odbiorcą tych kling był w RFN działacz sportowy i były szpadzista RFN – Dieter, który w owym czasie był oficerem kontr-



wywiadu niemieckiego, a obecnie jest szefem specjalnej służby w policji w Düsseldorfie. Poza tym Nielaba wchodził w skład tzw. spółki handlowej, którą prowadził trener kadry narodowej, Mikołaj Pomarnacki [...] Wiem, że za granicę nasi szermierze wywozili po 40 kamizelek elektrycznych [do floretu – S.K.], które sprzedawali po 8–12 dolarów za sztukę. Nielaba w okolicach Łodzi buduje własną willę [...]”[16].

Oskarżał nawet szermierzy ZSRR, którzy również zajmowali się nielegalnym handlem. Twierdził, że podczas wyjazdów zagranicznych handlują oni kawiozem i platyną, natomiast szablista Marek Rakita (Pawłowski pokonał go w finale w Meksyku) miał dodatkowo sprzedawać jeszcze ikony, które „ukradł w cerkwi”

Najważniejsze, że wśród informacji podawanych przez Pawłowskiego znajdowały się również

zarzuty współpracy z obcym wywiadem, co było zupełnie inną kategorią przestępstw niż wykroczenia celne czy skarbowe:

„[...] dochody Badeńskiego nie wynikały tylko z zajmowania się nielegalnym handlem, ale musiał mieć również inne źródła dochodów i nie można wykluczyć jego powiązań z obcym wywiadem. [...] Badeński szastał dolarami tak samo, jak czynił to Władysław Komar [...]. Komar nie

ukrywał się z posiadaniem dużej ilości dolarów i tłumaczył, że jego żona Małgorzata z domu Spychalska oraz teść Marian Spychalski są dobrze nadziani dolarami”[17].

## *W SŁUŻBIE WYWIADU*

Nie bez powodu decydenci polskiego wywiadu upatrzyli sobie Pawłowskiego na współpracow-

nika. Zawodnik szybko awansował w światowej hierarchii szermierczej, co skutkowało licznymi wyjazdami zagranicznymi. Dzięki temu mógł kontaktować się z siecią agentów na terenie RFN, a taka rola bardzo mu zresztą imponowała.

„Pierwsze zadanie – w Stuttgarcie. Mamy tam uśpionego agenta, którego mam odnaleźć i skontaktować się. Jadąc, przez cały czas powtarzam sobie w my-

śli, jak będę postępować. Akompaniamentem jest, przez cały czas, charakterystyczny dźwięk silnika mojej P-70 – enerdowskiej produkcji, poprzedzającej trabanta – która to mydelniczka, dziarsko pyrkając, wiezie mnie po wspaniałych niemieckich szosach”[18].

Pawłowski zawsze miał poczucie własnej wartości i nawet spisując swoje wspomnienia w latach 90. ubiegłego wieku, podkreślał, że odgrywał ważną rolę w

działaniach wywiadu PRL. Czytając jego refleksje, można chwilami odnieść wrażenie, że był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. I że nikt poza nim nie potrafiłby wykonać takiego zadania.

„[...] co mam zrobić, muszę zrobić. W niewielkim podmiejskim osiedlu, gdzieś 25 kilometrów od Dusseldorfu, jest jeszcze jeden uśpiony dotąd agent, którego mam uruchomić. Z naszych danych wiem, że pracuje teraz na bu-

dowie przy raketowych bunkrach armii amerykańskiej. Zaintereso-  
wało to kogo trzeba – i mam się  
właśnie nim porozumieć, umówić,  
rozpoznać możliwości, sprawdzić,  
co się wokół dzieje. I ewentual-  
nie...”[19].

Współpraca z polskim wy-  
wiadem wojskowym trwała do  
1962 roku, a Pawłowski nie okazał  
się przydatnym agentem. Zupełnie  
nie nadawał się do szpiegowskiej  
roboty. Uczciwie zresztą przyzna-



wał, że „bez przerwy klepał jęzorem” i miał skłonności do mitomanii. Ponadto był osobą coraz bardziej znaną na świecie, a to wykluczało jego wykorzystywanie przez wywiad PRL.

Przy okazji potrafił jednak doskonale zdyskontować fakt współpracy ze służbami specjalnymi PRL. W rozmowie z zastępcą komendanta ds. politycznych garnizonu Warszawa, podpułkownikiem Jankiewiczem, oznajmił, że

jego mieszkanie wykorzystują „organa kontrwywiadu wojskowego w celach służbowych”. I ten fakt „zamierzał wykorzystać w celu zamiany lokalu”. Natomiast podczas egzaminów wstępnych na Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim wymusił na jednym z kolegów przekazanie mu ściągki, twierdząc, że jest współpracownikiem służb specjalnych, i grożąc sankcjami z ich strony...

W 1962 roku podpisał zo-

bowiązanie do zachowania w tajemnicy szczegółów współpracy i na tym zakończyła się jego rola agenta. Po latach wydawał się jednak dumny ze swojej agenturalnej kariery, chociaż w epoce III RP deklarował głęboką nienawiść do komunizmu. Psychika ludzka bywa czasami trudna do zrozumienia...

*ARCHIWALNE*

## *NIEDYSKRECJE*

Dokumenty z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej rzucają nowe światło na osobę „szablisty wszech czasów”. Pozwalają wprowadzić pewne korekty w oficjalnym życiorysie Pawłowskiego, albowiem wbrew powszechnie znanym informacjom szermierz był żonaty nie dwa, lecz trzy razy. Pierwszą jego żoną została przedszkolanka Helena Jakubik, z którą

miał córkę. Po rozwodzie ożenił się po raz drugi, a jego wybranką była aktorka Teresa Szmigielówna. Podobno łączyło ich wielkie uczucie, a Pawłowski z powodu Szmigielówny miał nawet zdawać na Wydział Operatorski łódzkiej filmówki.

Ten związek również się rozpadł, zachował się natomiast dokument rzucający interesujące światło na życie prywatne Pawłowskiego po rozwodzie z drugą

żoną. W grudniu 1962 roku Szmi-  
gielówna złożyła bowiem do pro-  
kuratury wojskowej zażalenie na  
zachowanie byłego męża, żądając  
skierowania sprawy na drogę po-  
stępowania sądowego. Oskarżyła  
eksmałżonka o „systematycznie  
znęcanie się nad nią i nad jej  
matką” dorzucając przy okazji po-  
wiadomienie o handlu dolarami  
oraz przestępstwach celnych i  
skarbowych.

„Przemyt rozpoczął od tego

– zeznawała Szmigielówna – że otworzył sobie w Londynie konto na nazwisko ojca [jej] matki [...] Zygmunta Nowakowskiego zamieszkałego w Kanadzie [...], na które wpłacał dolary przemycane osobiście, względnie przez dyplomatów NRF lub przez trenera francuskiego Taillandiera.

Mając otwarte konto, zawarł umowę z firmą angielską Dar Export Limited [pisownia oryginalna – S.K.] Challoner Street

London W. 14, która przesłała mu kilkanaście paczek z zawartością: bluzek »Duke«, spódniczek »Duke«, sukienek włoskich po 140 szt. w każdej paczce, w cenie po 1500 zł, futra nylonowe francuskie – około 30 szt., w cenie około 8000 zł, szale wełniane »Mohe-irowe« [pisownia oryginalna – S.K.] – ponad 500 szt., w cenie po 300 zł, pończochy elastyczne masa perłowa po kilkanaście kg w puszcze, w cenie po 1800 zł za słoik



oraz szereg innych drogich towarów”[20].

Towar przysyłano na adresy kilkunastu osób w kraju, a ich zawartość Pawłowski sprzedawał w sklepach prywatnych. Czerpał z tego procederu ogromne zyski, które powiększał, nie dotrzymując umów z odbiorcami paczek.

„[...] pozwalał sobie na oszukiwanie swoich kontrahentów – kontynuowała Szmigielówna. – Każde wnoszone pretensje zaże-

gnywał, strasząc swoją wyrobioną pozycją w kontrwywiadzie. Twierdził przy tym, że za dużo jest w Polsce ludzi na wysokich stanowiskach, a nawet w wojsku i wojskowym wywiadzie i kontrwywiadzie, których trzyma w rękę, ponieważ razem kombinują, mają nieczyste sumienie, i dlatego jest pewny i zawsze kryty”[21].

Rewelacje Szmigielówny potwierdziły jej matka i siostra, a także jedna z osób odbierających

paczki. Inny ze świadków zeznał, że wiedział o tym, iż szablista bije żonę, albowiem było powszechnie wiadomo, że „Pawłowski to nietykalny oficer kontrwywiadu, obdarzony szczególnymi uprawnieniami przez przełożonych, które wykorzystuje do najbardziej brudnych celów osobistych”[22].

Kolejny ze świadków dodał, że szermierz jest „łobuzem, łotrem i człowiekiem, dla którego wartość ma jedynie pieniądź”. Ponadto bę-

dąc oficerem służby czynnej, miał w ogóle nie znać takich pojęć jak honor i ojczyzna.

Sprawa nie miała jednak dalszego ciągu, Pawłowski był bowiem osobą nietykalną. Postępowanie umorzono, przekazując je na „drogę resortową”, nie wyciągnięto również żadnych konsekwencji karnoskarbowych.

Nie był to jedyny przypadek powiadomienia władz o nieuczciwości Pawłowskiego. Ten

człowiek najwyraźniej miał wręcz chorobliwą skłonność do oszustw finansowych. Potwierdza to dokument z lutego 1973 roku:

„[...] TW Wesołowski w czasie spotkania poinformował mnie – pisał w notatce służbowej podpułkownik Galczak – iż jego kolega, Kiszkurko Stanisław, swego czasu znał się z szermierzem Pawłowskim Jerzym. Przed wyjazdem Pawłowskiego za granicę przekazał mu do sprzedania

aparat fotograficzny »Praktisix«. Pawłowski wykazał podstawowy brak uczciwości, nie oddając mu aparatu ani pieniędzy”[23].

## *AGENT „PAWEŁ”*

Podobno już w 1958 roku Amerykanie proponowali Pawłowskiemu pozostanie w USA, sportowiec miał jednak odmówić. Sześć

lat później, w czasie jego pobytu w Nowym Jorku, zwrócili się do niego z inną ofertą, proponując mu współpracę agenturalną. Do rozstrzygających rozmów doszło podczas turnieju w Padwie, kiedy to szablista ostatecznie wyraził zgodę.

„Omawiamy kontakty, możliwości szybkiego przekazywania informacji. Uzgadniamy, kto będzie moim stałym łącznikiem, sposób wzywania itd. Lund-

stroem [oficer CIA – S.K.] długo i szczegółowo przedstawia mi, co ich najbardziej interesuje, a ja mu mówię, co z tego może być dla mnie wykonalne”[24].

Początkowo wszystko to wyglądało bardzo poważnie i funkcjonariuszom amerykańskiego wywiadu wydawało się, że zwerbowali bardzo ważnego agenta. Pozostawało tylko czekać na dostarczane przez niego materiały.

„Najważniejsze spotkania



mamy odbywać dwa, maksimum trzy razy w roku. Decydujemy, że miastem tych kontaktów będzie Bruksela. W innych przypadkach spotkania odbędą się w wybranych przeze mnie miejscowościach w Niemczech zachodnich. W każdym konkretnym przypadku, po wybraniu miejscowości, powiadomię o tym kartką szyfrową, wysłaną na odpowiedni adres”[25].

Pawłowski deklarował się jako zajadły antykomunista, od-

mówił również pobierania wynagrodzenia za swoje usługi. Miał jedynie otrzymywać zwrot kosztów, za każdym razem kwitując odbiór gotówki.

Wydaje się, że już na samym początku współpracy Pawłowski wykazał się ogromną niefrasobliwością. Jako kryptonim wybrał imię „Paweł” (tak też kwitował odbiór pieniędzy), a pod tym pseudonimem znany był w środowisku sportowym. Przypadek czy

też zupełne poczucie bezkarności?

Amerykanie mogli szermierzowi wyłącznie zwracać koszty, założyli jednak dla niego specjalne konto, na które wpłacali dodatkowe pieniądze. Miał mieć do nich dostęp tylko w przypadku definitywnego wyjazdu z kraju. Przy okazji opłacili pobyt Pawłowskiego i jego żony na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie podczas wakacji agent miał przejść profesjonalne szkolenie.

„Tylko siadać i jechać – wspominał szablista. – Nawet samolot mnie nie przeraża. Mistrzostwa w Paryżu dobiegają końca, nie czekamy już na ceremonię zamknięcia. Iwonka na szczęście nie wypytuje mnie za bardzo, zaprosili nas przyjaciele, a na kieszonkowe mam pieniądze za sprzedaną czeską kamerę Admira, no i trochę z kling szablowych. Jestem, można powiedzieć, potentat finansowy. W sam raz na Côte d’Azur”[26].

Pawłowskiemu bez problemów udało się zwieść swoją żonę, bo pani Iwona najwyraźniej nie podejrzewała, że jej mąż ma kontakty z CIA. A może po prostu chciała wierzyć, że przepada codziennie na dwie godziny, albowiem realizuje zadania dla polskiego wywiadu. Przyjmowała bez słowa jego wyjaśnienia i nie zadawała pytań.

„[...] żona została przygotowana przeze mnie do tego, iż pod-

czas pobytu ze mną w Juan les Pins będę zajęty dodatkowymi sprawami, które będę załatwiał bez jej udziału – zeznawał w śledztwie. – [...] Powiedziałem to żonie w takiej formie, iż musiała odnieść wrażenie, że ja spotykam się z polskimi pracownikami placówki dyplomatycznej”[27].

Podobno jego amerykańscy przełożeni byli zachwyceni umiejętnościami nabytymi przez niego podczas współpracy z polskim wy-

wiadem. Ale do tego rodzaju informacji należy podchodzić z dużą rezerwą, albowiem szermierz już od wielu lat przejawiał cechy skrajnej megalomanii. Podobnie potraktować należy opowieści o jego sukcesach wywiadowczych.

„Omawiamy to, co dotąd udało mi się zrobić. Nadal głównym zadaniem pozostaje zbieranie informacji o jawnych i tajnych przedstawicielstwach Sowietów, o ich powiązaniach i przejawach na-

szego uzależnienia od ZSRR. To dobrze świadczy o ich (Amerykanów) zrozumieniu naszej psychologii, że właśnie to mi zlecili. Mało jest zadań, które wykonywałbym chętniej”[28].

Chcieć coś zrobić, a mieć możliwość zrobienia tego – to jednak są dwie zupełnie różne rzeczy. Amerykanie szybko zauważyli, że Pawłowski nie dysponuje dostępem do poważnych informacji. O wielu kluczowych dla życia kraju



sprawach dowiadywał się od CIA (!), nie zdawał sobie sprawy z istnienia w kierownictwie PZPR frakcji walczących o władzę.

Podobnie było z informacjami typowo wojskowymi – Pawłowski mógł sobie mieć stopień oficerski, ale mundur nosił wyłącznie jako zawodnik Legii. W efekcie dostarczał jedynie plotki z życia towarzyskiego, „kto z kim, kiedy i dlaczego”. Oczywiście informacje o upodobaniach czy sła-

bostkach osób z kręgu władzy są cenne, ale to zupełnie inny kaliber szpiegowskiej roboty.

„[...] ojciec doprowadził do ujawnienia 5 agentów KGB w strukturach natowskich – upierał się syn szablisty, Michał. – Jednym z nich był księgowy w centrali CIA. Kontrolowanie przez KGB wydatków CIA było niedopuszczalnym negliżem agencji i zagrożeniem dla być może wszystkich jej agentów i operacji na

świecie”[29].

Nie wiadomo jednak, skąd syn szermierza czerpał takie informacje. Czy człowiek, który nic nie wiedział o frakcjach puławian i natolińczyków, mógł ujawniać sowieckich szpiegów w strukturach NATO? To raczej niemożliwe. Tym bardziej że syn mistrza zdecydowanie zagalopował się w obronie wizerunku ojca i w innych miejscach poświadczał jawną nieprawdę:

„Mercedes à la Cyrankiewicz był przywieziony z Belgii na handel i kosztował bodajże 300 dolarów. To były lata 70., samochód był z lat 60. Ale mercedes, »mercedes Pawłowskiego«”[30].

Jak pamiętamy, sam mistrz pisał, że nabył ten samochód w 1968 roku (po olimpiadzie w Meksyku) za 1500 dolarów. I z dalszych jego wspomnień wynika, że jeździł nim niemal do chwili swojego aresztowania...

## *PROBLEMY*

Pawłowski miał jednak dla Amerykanów znaczną wartość propagandową. Toteż gdy zdali sobie sprawę z jego niewielkiej przydatności jako szpiega, zaplanowali, że w pewnej chwili nakłonią go do „wybrania wolności”. Wiedzieli, jak wielkie korzyści polityczne przyniosłaby wiadomość, że o azyl polityczny poprosił jeden z najlepszych sportowców bloku wschod-

niego, a przy okazji ulubieniec władz. Ale Pawłowski nie miał ochoty na emigrację.

„Ponieważ zostałem mistrzem olimpijskim w Meksyku – odstąpiłem od zamiaru pozostania za granicą. Po prostu nie chciałem wywołać skandalu w sporcie polskim i zbulwersować całą opinię w Polsce, a także nie chciałem dać w ręce prasy zachodniej możliwości kampanii antypolskiej”[\[31\]](#).

Wydaje się jednak, że wła-

śnie w tym czasie Pawłowski ostatecznie zaczął tracić kontrolę nad otaczającą go rzeczywistością. Uważał się już za wielkiego szpiega, za ważne ogniwo w walce wywiadów. Tak przynajmniej można sądzić, kiedy się czyta informacje na temat jego pomysłów przedstawianych Amerykanom:

„Od dłuższego czasu myślałem o tym, że przydałby mi się w Polsce taki specjalny mały nadajnik, wmontowany w radio sa-

mochodowe. Wiedziałem, że istnieją specjalne modele, które elektronicznie zagęszczają komunikat kilkudziesięciosekundowy – do ułamka sekundy. [...] Powiedziałem Stanleyowi [oficerowi prowadzącemu – S.K.], że dobrze byłoby, gdybym mógł mieć coś takiego na wypadek, gdybym chciał pilnie przesłać jakąś informację”[32].

Tylko jaką informację? O nowej kochance jednego z generałów czy o pró-



bie przemytu podjętej przez kolegę sportowca? Ale Pawłowski najwyraźniej stracił już kontakt z realnym światem i snuł wizje potężnej siatki szpiegowskiej z sobą na jej czele...

Tymczasem trwało już rozpracowywanie jego osoby przez polski kontrwywiad, a w październiku 1972 roku wszczęto Sprawę Operacyjnego Wyjaśnienia pod kryptonimem „Gracz”. I wbrew temu, co później mówiono, od samego początku była ona skiero-

wana przeciwko Pawłowskiemu. Zamierzano wyjaśnić jego kontakty z zachodnimi dziennikarzami i dyplomatami, a także przeświecić finanse szablisty. Sprawa okazała się rozwojowa, a do zdemaskowania szermierza wcale nie była potrzebna jego zdrada w szeregach CIA.

Sportowiec czuł, że wokół niego zaczyna się robić gorąco. Twierdził, iż jego rozmowy są podsłuchiwane, a on sam jest non

stop śledzony. Nie zdecydował się jednak na pozostanie na Zachodzie (choć istniała taka możliwość) i za wszelką cenę chciał kontynuować karierę szermierczą. Choć przekroczył już 40. rok życia, nie rezygnował z marzenia, by w sporcie osiągnąć więcej niż Włoch Mangiarotti.

Po latach twierdził, że Służba Bezpieczeństwa chciała go zabić, aby uniknąć kłopotliwego procesu. Śmierć miała wyglądać

na przypadkową, dlatego przed jego wyjazdem do RFN usunięto dwie śruby w kole jego samochodu, aby w ten sposób spowodować wypadek. A gdy ta akcja się nie powiodła, przygotowano jakoby zamach z użyciem karetki pogotowia wypełnionej cegłami. Pojazd miał niespodziewanie zająć Pawłowskiemu drogę, nie dając mu szans na przeżycie. Mistrz wyszedł jednak z zagrożenia obronną ręką, a nie byłby sobą,

gdyby nie zasugerował, że w pobliżu czaili się funkcjonariusze, których zadaniem było dobiec go, gdyby jakimś cudem przeżył wypadek.

„Niech ten nieuchwytny fehmistrz po prostu zginie w wypadku samochodowym – i ileż kłopotów z głowy! Przede wszystkim nie ma międzynarodowej kompromitacji, nikt w ogóle nie musi się dowiadywać, że ów sławny Pawłowski przeszedł na stronę wrogów

komunizmu. Przeciwnie, cały jego dorobek zostanie zapisany właśnie na chwałę PRL, która takich sportowców wychowała”[33].

Trudno chyba o lepszy przykład megalomanii szermierza. Służby specjalne znają dziesiątki sposobów uśmiercania niewygodnych ludzi bez pozostawiania jakichkolwiek śladów. Pawłowski mógł przecież umrzeć na atak serca albo wylew i nikt nie zwróciłby większej uwagi na przyczynę

jego śmierci. A ze sprowokowaniem takiej sytuacji nie byłoby większych problemów.

Po latach szermierz mógł sobie konfabulować do woli, jednak w 1974 roku czuł wyraźnie, że pętla wokół jego szyi się zaciska. Zapewne z tego powodu nie odniósł większych sukcesów na mistrzostwach świata w Grenoble.

Jeszcze Witek Woyda [...] oferuje mi ostatnią szansę. Na niego też, jak się okazuje, zawsze

mogę liczyć. Tam na sali w Grenoble przychodzi do mnie – nie, żeby mnie pocieszać, ale żeby mnie zmobilizować. Wyrwać z tej ciągłej defensywy, w której jestem już parę lat. To nie jest zgodne z moim charakterem, defensywa to nie dla mnie.

– Paweł, rzuć to wszystko w diabły, jedź na Zachód.

Powinienem go posłuchać. Przynajmniej jego, przyjaciela”[34].



Woydzie, dwukrotnemu mistrzowi olimpijskiemu we florecie, swojemu przyjacielowi, miał okazję zrewanżować się rok później. I trzeba przyznać, że było to bardzo specyficzne podziękowanie.

„Wiadomo mi jest, że Witold Woyda – zeznawał Pawłowski podczas śledztwa – poza sprawami związanymi z nielegalnym handlem sprzętem szermierczym i biżuterią, w tym również kamieniami szlachetnymi, zajmował się

również przemytem narkotyków. W środowisko handlu narkotykami Woyda wszedł w czasie pobytu w USA, gdy zostało mu załatwione stypendium na Uniwersytecie Nowojorskim [...]. Woyda na pewno był dobrym źródłem informacji dla obcego wywiadu ze względu na jego powiązania z polskim środowiskiem żydowskim”[35].

*ZAKŁAD KARNY W*

## *BARCZEWIE*

Przez ponad 10 lat współpracy z CIA Pawłowski miał zainkasować od Amerykanów zaledwie 1850 dolarów. Była to kwota śmiesznie niska nawet jak na standardy PRL, bo szablista na co dzień zarabiał bardzo dobrze, nie wystawiając się na podobne niebezpieczeństwa. Bez względu bowiem na wartość materiałów, jakie dostarczał, w świetle prawa pozo-

stawał szpiegiem i zdrajcą, a więc człowiekiem, któremu groził najwyższy wymiar kary. W tej sytuacji można zadać pytanie, po co Pawłowskiemu była współpraca z Amerykanami? Czy naprawdę był tak zajadłym antykomunistą i wierzył, że jego informacje mają jakąś wartość wywiadowczą? A może potrzebował tylko codziennej dawki adrenaliny? Albo nieustannego zwiększania poczucia swojej ważności? Tego zapewne nigdy już

nie rozstrzygniemy.

Szpiegowska działalność Pawłowskiego skończyła się tak, jak się skończyć musiała. Wiosną 1975 roku kontrwywiad PRL posiadał już twarde dowody na kontakty szermierza z pracownikami obcego wywiadu i jego aresztowanie było jedynie kwestią czasu. Zaczęto go wzywać na przesłuchania, które początkowo odbywały się w przyjaznej atmosferze. Ale to były tylko pozory. I właśnie wtedy

Pawłowski podjął ostateczną decyzję – urządził w swoim domu wystawne imieniny, po czym zgłosił się na Rakowiecką i przyznał do wszystkiego. Przy okazji oznajmił, że bez względu na to, co zrobił, jego miejsce jest w kraju i „woli dwa metry kwadratowe w Polsce niż wolność na Zachodzie”.

Zapewne był to jeden z elementów gry z wymiarem sprawiedliwości, albowiem od chwili aresztowania sportowiec rozpoczął

wzorową współpracę ze śledczymi i starał się maksymalnie złagodzić swój wyrok. I chyba cel swój osiągnął, bo prokuratura nie wniosko-  
wała o karę śmierci dla niego.

Przy okazji wyszło na jaw, że Pawłowski przeoczył wielką szansę na uniknięcie odpowiedzialności karnej. W lipcu 1974 roku uchwalono bowiem amnestię, a wówczas szablista wiedział już, że jest rozpracowywany, i gdyby sam się zgłosił, to zapewne nie zo-

stałby skazany. Jednak ten prawnik z zawodu (!) nie zwrócił na to uwagi, a podczas procesu było już za późno na skorzystanie z amnestii.

Wyrok podano do publicznej wiadomości i wówczas rozpoczęła się propagandowa komedia w prawdziwie komunistycznym stylu. Nazwisko skazanego, jako zdrajcy, musiało bowiem zniknąć z mediów, co okazało się zadaniem dość karkołomnym.



„Akurat zbliżała się olimpiada w Montrealu – wspominał Janusz Atlas – i dla potrzeb statystyki robiono różne zestawienia medalowego łupu z przeszłości. A skoro usunięto nazwisko Pawłowskiego, to w żaden sposób to wszystko się nie zgadzało. Jak by nie liczyć, zdobyliśmy więcej medali, niż wypadałoby to z rachunków”**[36]**.

W zacieraniu śladów po „szabliście wszech czasów” posu-

nięto się nawet do tego, że usunięto jego nazwisko z piątej księgi komiksu *Tytus, Romek i A'tomek*. Pierwotnie tytułowi bohaterowie odwiedzili Muzeum Sportu i podziwiali tam „szablę mistrza Pawłowskiego”, natomiast w kolejnym wydaniu książeczki była to już „szabla mistrza Zabłockiego”...

Upadłemu mistrzowi udało się uchronić przed konfiskatą większość swojego okazałego majątku. Przewornie przepisał go

wcześniej na żonę, i choć – jak twierdził – jego część uległa jednak przypadkowi, to pani Iwonie podobno udało się odkupić od Skarbu Państwa skonfiskowane mienie. Wydaje się więc, że pod względem finansowym szablista jak zwykle wyszedł z opresji obronną ręką.

Wbrew obawom rodziny Pawłowski dość dobrze zaaklimatyzował się w więzieniu. Wyrok odbywał w różnych zakładach kar-

nych, między innymi w Barczewie, gdzie w stanie wojennym poznał osadzonych tam działaczy opozycji. Ci ostatni nie zachowali jednak o nim nadmiernie dobrych wspomnień, bo uważali, że wysługiwał się służbie więziennej...

Tak się bowiem złożyło, że mistrz podjął wtedy walkę o skrócenie wyroku i starał się utrzymywać jak najlepsze stosunki z władzami zakładu karnego. Z tego też powodu poparł wprowadzenie

stanu wojennego, a zrobił to przed kamerami telewizyjnymi, ciepło wypowiadając się o Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego. Całą audycję poprowadził jeden z najbardziej znienawidzonych reżimowych dziennikarzy, Marek Barański, i tego występu nigdy już Pawłowskiemu nie zapomniano...

## *OSTATNIA WALKA*

Uległość została nagrodzona i gdy w maju 1984 roku Pawłowski wystąpił o przerwę w odbywaniu kary, to pół roku później otrzymał na nią zgodę. W tym czasie toczyły się rozmowy z Amerykanami na temat wymiany szpiegów, a szablista miał się znaleźć w grupie agentów wymienianych za Mariana Zacharskiego.

Razem z innymi trafił do Berlina, jednak w decydującym momencie zaskoczył wszystkich,

bo odmówił przejścia do podstawionego autokaru, oświadczając, że chce pozostać w kraju.

„To my wpadliśmy na ten pomysł – wspominał Czesław Kiszczak – i zaproponowali Pawłowskiemu: ty odmówisz pozostania u Amerykanów, my ci tu gwarantujemy darowanie kary i powrót do normalnego życia. Zależało nam bowiem na propagandowej akcji zohydzającej współpracę z obcymi wywiadami, a Pawłowski

do tego znakomicie się nadawał. Bo właściwie był jedynym znanym powszechnie w Polsce z nazwiska szpiegiem amerykańskim”[37].

Po raz kolejny o szabliście zrobiło się głośno, gdy w lutym 1989 roku wziął udział w turnieju szermierczym w Łodzi. Zajął 24. lokatę (na 50 startujących), jednak jego występ wywołał prawdziwą burzę.

Protestowali zawodnicy i działacze, głośno mówiono, że



szablista „swoim postępowaniem zhańbił środowisko polskich sportowców” i nie ma prawa startować w żadnych zawodach. Najostrzej oponował Ryszard Parulski, prezes Polskiego Związku Szermierczego.

„Chciałem startować z radości – tłumaczył szablista – chciałem walczyć, szermierka była moją pasją. Zadzwoniłem do Polskiego Związku Szermierczego, rozmawiał ze mną wiceprezes Adam Lisewski. Zapytałem go,

czy związek ma coś przeciwko temu, żebym wziął udział w zawodach. Lisewski powiedział: nie ma żadnych przeszkód formalnych, startuj. Potem, jak Judasz, wyparł się wszystkiego”**[38]**.

57-letni Pawłowski nie znalazł już klubu, w którym mógłby wznowić regularne treningi, nie dawał jednak o sobie zapomnieć. Na łamach prasy tłumaczył się ze swojego postępowania, a przy okazji atakował swoich oponentów.

Ale niebawem pojawiły się następne problemy, bo w pierwszych latach III RP odtajniono część jego akt procesowych. Wyszły wówczas na światło dzienne zeznania Pawłowskiego przeciwko kolegom sportowcom, co wywołało kolejną falę oburzenia. Władysław Komar publicznie groził, że „ściągnie mu majtki przez głowę”, a Irena Szewińska nie mogła się nadziwić, „skąd wzięło się w tym człowieku tyle podłości”.

„Zasmuciło mnie – deklaro-  
wał Komar na łamach »Przeglądu  
Sportowego« – że dawny przyja-  
ciel i kompan od pokera okazał się  
sprzedajnym konfidentem – i to na  
obie strony [...]. Niedawno życzy-  
łem Jurkowi Pawłowskiemu  
wszystkiego najlepszego z okazji  
świąt. I oto pierwszy raz w życiu  
zdarza mi się taka sytuacja: pu-  
blicznie wycofuję swoje życze-  
nia”**[39]**.

Pawłowski ostatecznie zre-

zygnował. Wycofał się z życia publicznego, zajął się malarstwem (miał talent plastyczny) i działał jako bioenergoterapeuta. Czasami jednak przypominał o sobie, a w swoich wypowiedziach snuł analogie między sobą i Andrzejem Kmicicem. Uważał, że „Kmicic nie był wiarołomcą”, gdyż dochował „wierności przysiędze danej Radziwiłłowi”. Był zatem „człowiekiem prawym”, albowiem „przysięgę składał w dobrej wierze i

musiał się z niej najpierw wywiązać”. Tylko gdzie Pawłowski widział podobieństwo do siebie? Wprawdzie publicznie twierdził, że jego życie było „kmicicowskie”, jednak trudno znaleźć jakieś sensowne analogie. I kto miał być Januszem Radziwiłłem? O tym wiedział chyba tylko sam Pawłowski.

„Wielka szkoda, że nie potrafi zachować umiaru i należytej pokory – pisał o nim Janusz Atlas.

– W wielu wywiadach prasowych, bo powrócił na łamy gazet, przedstawia się jako bojownik o prawdziwie niepodległą Rzeczpospolitą. Szpiegostwo za kilkaset dolarów (z równoczesną owocną służbą w Ludowym Wojsku Polskim) przedstawia jako swoisty wallenrodyzm, wyrozumowaną grę z bolszewią, w której ryzykował głową i naprawdę cudem ją ocalił. Niestety jego rzeczywiście wyrozumowane występy w stanie wojen-

nym dowodzą niezbicie, że nie był spadkobiercą tradycji Wołodyjowskiego. To był tylko mały człowieczek z wyjątkowym talentem do wymachiwania sportową szabelką. Znacznie za mało, aby zostać narodowym bohaterem”[40].

Jerzy Pawłowski zmarł 11 stycznia 2005 roku, w wieku 73 lat. Pochowano go na cmentarzu w warszawskiej Falenicy, choć wielu znacznie mniej zasłużonych sportowców spoczywa przecież na Po-



wązkach. Nie słysząc jednak głosów oburzenia, że „nieuchwytny fechtmistrz” nie leży tam razem z nimi...



**Rozdział 6**  
**Opowieści kapitana**  
**Czechowicza**





**Andrzej Czechowicz z dnia na dzień stał się bohaterem narodowym** – człowiekiem, który poznał najważniejsze sekrety *Radia Wolna Europa*. Po serii audycji radiowych i telewizyjnych uznano, iż nadeszła pora na bezpośredni kontakt agenta ze społeczeństwem. Czechowicz ruszył zatem w dwuletnią triumfalną trasę po kraju, odwiedzając zakłady pracy, domy kultury i szkoły. Jego kariera była największą mistyfikacją w dziejach polskich służb spe-

*cyjnych.*

## *POWRÓT „ASA WYWIADU”*

**C**hociaż na początku 1971 roku miałem niewiele ponad siedem lat, to jednak doskonale pamiętam medialną wrzawę związaną z osobą kapitana Andrzeja Czechowicza. W telewizji co chwila pojawiały się infor-

macje na jego temat, był on też stałym gościem audycji radiowych, a o jego sukcesach obficie pisała również prasa. Kreowano go na bohatera polskiego wywiadu – człowieka, który wyprowadził w pole zachodnie służby i przez wiele lat przekazywał tajne informacje z siedziby Radia Wolna Europa. Oficjalna propaganda zachłystywała się pochwałami na jego temat, porównywano go (całkiem na poważnie) do kapitana Klossa,



było to bowiem niedługo po emisji serialu o agencji J-23.

Czechowicz sam chyba uwierzył w swoją wielkość, przed mikrofonami snuł bowiem analogie do swojego filmowego poprzednika. Skromnie jednak przyznawał, że dzielny kapitan Abwehry miał znacznie ciekawsze przygody.

„[...] kapitan Kloss działał w innych warunkach i w innej epoce – mówił na antenie Pol-

skiego Radia – ale mimo wszystko sprawy te w praktyce wyglądają nieco inaczej. Rzeczywistość może jest nie taka barwna, jest może bardziej prozaiczna, bardziej szara. Działanie w tych warunkach mniej jest błyskotliwe, zadziwiająca wyobraźnię – jest po prostu bardziej rzeczowe, wyrozumowane i konkretne”[1].

W rzeczywistości prawda była jednak znacznie mniej barwna, niż to przedstawiał Cze-

chowicz, a cała medialna wrzawa związana z jego osobą okazała się wyłącznie sprytnym zabiegiem propagandowym. Wywiad PRL przez wiele lat nie odnosił bowiem większych sukcesów i na Rakowieckiej uznano, że konieczny jest „szpieg bohater”, który wykaże opinii publicznej, iż polskie służby działają sprawnie i skutecznie.

Dlatego też na początku 1971 roku odwołano do kraju Andrzeja Czechowicza, agenta uloko-

wanego w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Dla władz PRL nie było ważne, że Czechowicz w Monachium właściwie nic nie osiągnął – liczyło się tylko to, że przez kilka lat tam pracował. I właśnie z powrotu podrzędnego agenta uczyniono wielki medialny show, który przez dłuższy czas był najważniejszym wydarzeniem w kraju.

Czechowicz z dnia na dzień stał się bohaterem narodowym –

człowiekiem, który poznał najważniejsze sekrety Wolnej Europy i jej szefa, Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Nic zatem dziwnego, że po całej serii audycji radiowych i telewizyjnych uznano, iż nadeszła pora na bezpośredni kontakt agenta ze społeczeństwem. Czechowicz ruszył zatem w dwuletnią (!) triumfalną trasę po kraju, odwiedzając zakłady pracy, domy kultury i szkoły. Wszędzie przedstawiano go jako wyjątkowej kate-

gorii asa wywiadu, który przeniknął w głąb wrogich struktur, aby po wykonaniu zadania powrócić nad Wisłę. Przy tej okazji przemilczano oczywiście, że w Monachium Czechowicz faktycznie był tylko researcherem, a z Polski wyjechał niejako oficer wywiadu, ale jako zwykły emigrant szukający szczęścia na Zachodzie. Jego kariera była bowiem największą mistyfikacją w dziejach polskich służb specjalnych.

## *STUDENT HISTORII*

„Czechowicz Andrzej, immatrykulowany 01.10.1956, nr albumu 31072 – zapisano w biografii umieszczonym w pracy poświęconej studentom i absolwentom Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. – Urodzony 17 sierpnia 1937 w Święcianach (województwo wileńskie), rodzice: Zbigniew i Olga z domu Szandruk. W 1956 roku matura

(Liceum Ogólnokształcące) w Grójcu, seminarium prof. dra Ludwika Bazyłowa, praca magisterska: *Buchara i Chiwa w rosyjskim systemie państwowym w latach 1867–1873*. 09.10.1962 otrzymał tytuł magistra”.

Przyszły „as wywiadu” pochodził z osiadłej na Wileńszczyźnie rodziny ziemiańskiej, którą w 1940 roku Sowieci wysiedlili do Kazachstanu. Po zakończeniu II wojny światowej Czechowiczowie



zostali repatriowani do kraju, gdzie Andrzej po maturze rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim. Natomiast z chwilą ukończenia nauki jego późniejsza, oficjalna biografia zdecydowanie odbiegała od rzeczywistego życiorysu.

W swoich wspomnieniach opublikowanych bezpośrednio po powrocie z RFN napisał, że wkrótce po otrzymaniu dyplomu rozpoczął pracę w MSW. Podobno

zdecydował o tym przypadku, wcześniej bowiem nie rozważał takiej możliwości.

„Nad tym, co będę robił po studiach, zacząłem się zastanawiać stosunkowo późno [...]. Rozważałem sam i zastanawiałem się z przyjaciółmi nad swoją przyszłością. Na naszym roku [...] prawie wszyscy marzyli o pracy naukowej. Wysoko notowane było również zatrudnienie w redakcjach czasopism, w radio i TV, a także w

wydawnictwach. Najmniej i bez entuzjazmu mówiono o pracy w szkolnictwie”[2].

Czechowicz miał jakoby spotkać starszego kolegę, również absolwenta Wydziału Historycznego, który namówił go do pracy w MSW (sam był już tam zatrudniony). Przyszły agent uznał, że będzie to znacznie bardziej interesujące zajęcie niż zawód nauczyciela.

„O pracy wywiadu i innych

tajnych służb miałem wyobrażenia dość naiwne, oparte głównie na literackich opowieściach o przygodach tajnych agentów, zdobywających z narażeniem życia dokumenty, od których zależał los bitew i całych wojen. Dużo przygód, igranie z niebezpieczeństwem, ciągle sprawdzanie się w walce – to niewątpliwie działa na wyobraźnię”[3].

Przyszły agent miał pomyślnie przejść obowiązkowe te-

sty i zostać zakwalifikowany do pracy w wywiadzie. Podobno w tym czasie przeszedł też intensywne szkolenie, które w przyszłości miało przynieść zbawienne efekty podczas pracy szpiegowskiej.

„Uczyłem się psychologii i prowadzenia pojazdów mechanicznych, chwytów judo i sporządzania raportów, obsługi zminiaturyzowanych urządzeń elektronicznych i mikrofotografii, wszystkiego pra-

wie jednocześnie w warunkach, w których nie było mowy o żadnej taryfie ulgowej. Na sen i odpoczynek pozostawało mi parę godzin na dobę. Słowem, dobrze dostałem w kość, mówiąc językiem żołnierskim.

Później zrozumiałem, dlaczego nie można było przedłużyć szkolenia i prowadzić go w wolniejszym tempie. Chodziło po prostu o to, aby łatwiej dało się je ukryć w moim życiorysie, wokół

którego koncentrowały się wszystkie przesłuchania, jakim zostałem poddany na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej. I to się udało”[4].

## *W POSZUKIWANIU AZYLU*

Szkoda tylko, że wszystkie te opowieści były zwykłym kłamstwem, gdyż Czechowicz wcale

nie zgłosił się do pracy w MSW i nie został oficerem wywiadu. Rzeczywistość okazała się o wiele bardziej prozaiczna, albowiem zaraz po studiach postanowił wyemigrować na Zachód. Dopiero później dorobiono do tego legendę, twierdząc, że wyjechał, aby wypełniać zadania wywiadowcze.

„Materiały dotyczące agencjonalnej działalności Czechowicza zostały zniszczone – pisał historyk Paweł Machcewicz – a w każdym



razie nie udało się ich do tej pory odnaleźć w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej. Zachowała się natomiast jegoteczka osobowa jako funkcjonariusza MSW założona po powrocie do kraju. Są w niej ślady pozwalające odtworzyć początek współpracy z peerelowskim wywiadem”[5].

Czechowicz nie widział dla siebie perspektyw w gomułkowskiej Polsce, a bieda, jakiej zaznał podczas pobytu w Kazachstanie,

określiła jego postawę życiową. Interesowały go wyłącznie pieniądze i wygodne życie. A jedyna droga do tego prowadziła przez emigrację.

„Mieliśmy znajomą w Londynie – przyznawał po latach. – Powiedziałem więc do matki, żeby poprosiła ją o zaproszenie. W 1963 roku dostałem paszport i wyjechałem pod pretekstem nauki angielskiego. Chciałem zarobić jak najwięcej, aby w końcu wyjść z nę-

dzy”[6].

Rzeczywistość okazała się jednak mniej przyjazna, niż wyobrażał to sobie świeżo upieczony absolwent historii. W Wielkiej Brytanii miał problemy ze znalezieniem pracy, postanowił zatem zalegalizować swój pobyt. Poprosił o azyl polityczny, odmówiono mu go jednak, twierdząc, że wyjechał z PRL najzupełniej legalnie. Nie na wiele zdało się również przypominanie swojego ziemiań-

skiego pochodzenia i opowiadanie o represjach, jakie spadły na jego rodzinę podczas wojny.

Zdesperowany przeniósł się do RFN i trafił do obozu dla uchodźców w Zirndorf. Miejsce to okazało się bardzo odległe od jego wyobrażeń o wygodnym życiu za żelazną kurtyną.

„[...] zostałem przydzielony do pokoju, w którym było 6 czy 7 osób. Warunki były potworne i mimo że byłem przygotowany na

wszystko, poczułem się co najmniej nieswojo. Nie tylko jeden drugiemu kradł koce, bo było zimno (zgłosiłem się w listopadzie), ale w ogóle panowała atmosfera rezygnacji i beznadziejności. Jedzenie było bardzo kiepskie. Raz na dzień dawali jakąś ciepłą strawę, jakąś zupkę i z odpadków mięsnych jakieś niby drugie danie. Następnie pół bochenka Chleba, to było konkretnie pół kilograma, i kawałek kostki margaryny. To

miało wystarczyć na cały dzień [...] A prócz tego ta beznadziejność oczekiwania, myśli i rozterki: udziela azyłu, czy nie udziela”[7].

Czechowicz szybko doszedł do wniosku, że w kraju będzie mu się żyło lepiej. Skontaktował się więc z Polską Misją Wojskową w Berlinie Zachodnim i poprosił o zgodę na powrót do Polski. Twierdził, że jest „gotów ponieść każdą karę” za nielegalne pozostanie za granicą, deklarował, że „może

jeszcze dużo zrobić dla Polski” i prosił o szansę, aby „naprawić zło” wyrządzone socjalistycznej ojczyźnie. Po latach przyznawał, że faktycznie był bardzo rozczarowany warunkami panującymi w obozie, a na jego postawę wpłynęło również nieotrzymanie wizy wjazdowej do USA.

Zgody na przyjazd do Polski nie uzyskał, pozostał zatem na terenie RFN. I właśnie wtedy narodziła się szansa na zmianę sytu-

acji.

„W tym czasie pojawiła się jednak iskierka nadziei na odmiannę losu – wspominał wiele lat później. – W obozie, gdzie mieszkałem, znalazł mnie ukraiński korespondent Radia Wolna Europa. Mówiłem biegle po niemiecku i rosyjsku, więc zaproponował mi, żebym spisywał dla niego relacje innych uciekinierów” [8].

Czechowicz otrzymywał za to całkiem przyzwoite (jak na wa-



runki obozowe) wynagrodzenie, a zadowolony ze współpracy Ukraińiec zaprotegował go do Wolnej Europy (ostatecznie polski uchodźca był absolwentem renomowanej uczelni). Na zaproszenie Nowaka-Jeziorańskiego pojawił się w Monachium, gdzie pozytywnie przeszedł rozmowy kwalifikacyjne. Obiecano mu, że gdy zwolni się jakiś etat, otrzyma tę pracę, na razie miał jednak powrócić do obozowej rzeczywistości. Wobec

tego złożył podanie o przyjęcie go do służby w brytyjskich kompaniach wartowniczych.

„W centrum w Hamm – wspominał – gdzie znajduje się główna komenda Armii Renu, przeszedłem przeszkolenie w musztrze angielskiej i zostałem przewieziony do miejscowości Steyerberg koło Nienburga. Tak rozpoczął się nowy rozdział mojej wygnańczej włóczędzy. Przebyłem go w mundurze brytyjskiego war-

townika, przez dłużeńce się w nie-  
skończoność 10 miesięcy, oczeku-  
jąc na przyjęcie do »Wolnej Eu-  
ropy«”[9].

Czechowicz faktycznie mu-  
siał być bardzo zdesperowany, al-  
bowiem służba w obcych forma-  
cjach militarnych była w PRL  
ciężkim przestępstwem zagrozo-  
nym karą więzienia. Polski „wy-  
gnaniec” najwyraźniej nie wierzył,  
że kiedykolwiek powróci do  
kraju...

# *ROZGŁOŚNIA Z MONACHIUM*

Sekcja polska Radia Wolna Europa powstała w maju 1952 roku, a jej pierwszym dyrektorem został legendarny „Kurier z Warszawy”, Jan Nowak-Jeziorański. Rozgłośnia szybko stała się najpopularniejszą zachodnią stacją radiową w Polsce i prawdziwym utrapieniem dla rządzących w kraju komunistów. Zagłuszanie nie

przynosiło większych rezultatów, toteż wiadomości podawane przez stację błyskawicznie rozchodziły się wśród społeczeństwa. Audycji nadawanych z Monachium regularnie słuchało blisko 40 proc. Polaków (!), łącznie z dygnitarzami partyjnymi i rządowymi. Do jej stałych odbiorców należał również Władysław Gomułka, który bardzo złościł się z powodu kiepskiej jakości dźwięku, zapominając, że stację zagłuszano na jego polece-

nie...

Jan Nowak-Jeziorański uważany był przez komunistów za jednego z najważniejszych wrogów PRL i od lat robiono wiele, by go zdyskredytować w oczach społeczeństwa. Przy okazji wyjątkowo obrzydzano mu życie, nie przebieając specjalnie w środkach. Za najśłabszy punkt dyrektora uznano jego żonę, Jadwigę, która w związku z tym przechodziła ciężkie chwile.

„Jej wytrzymałość nerwowa została z czasem wystawiona na ciężką próbę – przyznawał Nowak-Jeziorański. – Była adresatką różnych anonimowych nocnych telefonów albo wyroków śmierci wydawanych na męża jako hitlerowskiego kolaboranta. Kiedy musiałem poddać się jakiemuś zabiegowi operacyjnemu, dostała formularz zakładu pogrzebowego z życzliwą radą, by wypełnić go zawczasu, bo już wkrótce będzie

wdową. Nowym pomysłem nie było końca. Jakaś anonimowa pobożna paniusia z parafii św. Józefa zaklinała się na Pana Jezusa i Matkę Przenajświętszą, że na własne oczy widziała mnie w jakimś pensjonacie w towarzystwie przystojnej brunetki”[10].

Służby PRL od dawna planowały ulokowanie w Monachium własnego agenta i już w listopadzie 1963 roku zwerbowano spikera rozgłośni, Jerzego Bożekow-



skiego. Wywiad nie ustawał jednak w dalszych poszukiwaniach i gdy na Rakowiecką dotarła informacja, że etat tam może otrzymać Czechowicz, uznano to za znakomitą okazję. Wprawdzie zdawano sobie sprawę z faktu, iż będzie on zajmował mało eksponowane stanowisko, ale zapewne już wówczas zaplanowano akcję propagandową z jego udziałem. I gdy wreszcie Czechowicz dostał upragniony etat, na Rakowieckiej zapadły od-

powiednie decyzje.

„Sam Czechowicz w latach dziewięćdziesiątych przyznał – pisał Paweł Machcewicz – że nakłono go do współpracy jesienią 1965 roku, w kilka miesięcy po rozpoczęciu pracy w RWE. Wywiad PRL miał wykorzystać list wysłany do Polskiej Misji Wojskowej, którego ujawnienie mogło go skompromitować w oczach jego radiowych zwierzchników. Dzisiaj Czechowicz o szantażu już nie

wspomina, choć przyznaje, że pamiętał o liście i zdawał sobie sprawę, że może być użyty przeciwko niemu”[11].

*NA SZPIEGOWSKIEJ  
DRODZE*

W Monachium został zatrudniony w East Europe Research and Analysis Department

(Wschodnioeuropejski Wydział Badań i Analiz), co w praktyce oznaczało, że został researcherem przygotowującym na potrzeby audycji radiowych wycinki z prasy wychodzącej w kraju.

„Dział, w którym pracował Czechowicz – wspominał dziennikarz RWE Aleksander Świeykowski – nie wiem, dlaczego szumnie nazywa się Wydziałem Badań i Analiz RWE. Dla nas był to po prostu research, archiwum. Mie-

ścił się w piwnicznej części naszego, polskiego skrzydła budynku. W kilku pokojach siedziało kilka osób, często żony dziennikarzy. Ich praca polegała na codziennym przeglądaniu prasy polskiej, wszystkich, dosłownie wszystkich wychodzących w Polsce gazet. W latach komunizmu na szczęście nie było tego aż tak dużo jak teraz. Dodatkowo otrzymywali oni zapisy ważniejszych audycji Polskiego Radia, albo ich streszczenia

sporządzane przez dział Monitoringu. [...] Wszystko po to, by dziennikarz piszący komentarz, felieton czy przygotowujący inną formę audycji miał potrzebne mu dane. To nic nadzwyczajnego w normalnie funkcjonującej redakcji”[12].

Jednak gdy kilka lat później Czechowicz powrócił do kraju, propaganda PRL zrobiła z działu researchu „najbardziej tajny” departament rozgłośni znajdujący się

pod bezpośrednią kontrolą CIA. Było to konieczne dla zbudowania legendy Czechowicza, nie wypadało bowiem przyznać, że „as wywiadu” zajmował się wyłącznie gromadzeniem dokumentów, do których każdy Polak miał legalny dostęp. Doskonale o tym wiadziiano na Rakowieckiej, ale zadaniem Czechowicza nie było przecież zdobywanie tajemnic Wolnej Europy. Miał tam przetrwać, aby w odpowiednim momencie zostać

odwołanym do kraju.

Oczywiście zadbano o odpowiedni system kontaktowy, uważano bowiem, że przypadkowo w ręce agenta mogą wpaść naprawdę interesujące dokumenty. Pewnej październikowej nocy 1965 roku w jego mieszkaniu pojawił się nieznanomy osobnik, który zachowując zasady konspiracji (włączone radio i telewizja, puszczona woda w łazience), polecił mu, by stawił się w Wiedniu na



spotkanie z oficerem prowadzącym. Takie spotkania miały się odbywać raz na dwa, trzy miesiące. To właśnie podczas nich Czechowicz otrzymywał instrukcje, a zdobyte materiały przekazywał specjalnemu kurierowi.

Pozostaje jednak pytanie, jakie „tajne dokumenty” mógł przekazywać Czechowicz? Przecież po materiały będące w jego zasięgu nie trzeba było fatygować się do Wiednia czy Monachium.

Aleksander Świewkowski nie miał co do tego żadnych wątpliwości:

„Przecież tam, w researchu znajdowały się fragmenty wycinanek z polskiej prasy. Do ich kopiowania czy fotografowania nie potrzebował żadnych pozwoleń, specjalnych aparatów fotograficznych czy technik szpiegowskich. Przecież te materiały każdy mógł wziąć do domu jako lekturę do poduszki. Rozumiem, że ważne dla wywiadu PRL mogły być pierwsze

przesyłki. Na ich podstawie w kraju decydenci poznali technikę pracy i funkcjonowania rozgłośni. Po co jednak kontynuowali to potem? Nie wiem, czy to w ogóle jest prawdą. Przecież ta informacja ośmiesza do końca wywiad PRL”[13].

Nie przeszkodziło to Czechowiczowi w autokreacji. Po powrocie do kraju opowiadał mrozące krew w żyłach historie o sposobach zdobywania tajemnic mo-

nachijskiej rozgłośni:

„Pracując tam w komórce wywiadowczej – opowiadał w wywiadzie dla »Trybuny Ludu« – musiałem zgodnie z obowiązującymi w niej zasadami posługiwać się odpowiednimi metodami. [...] Raporty nadsyłane przez sieć tzw. korespondentów, przechowywane są w specjalnych kopertach oznaczonych numerami. W innych, zalakowanych kopertach przechowuje się dane o informatorze. Obie

koperty oznaczone są tym samym numerem. Posługując się specjalną techniką otwierania kopert, udało mi się niepostrzeżenie zaglądać do tych tajnych materiałów. Przywiozłem wiele »pamiątek«. Wiele materiałów udało mi się przekazać do kraju w poprzednich latach. Ujawnienie ich było jednak trudne ze względu na moje bezpieczeństwo. Były – jak wiem – wykorzystywane przez moje kierownictwo”[14].

Ta „specjalna technika otwierania kopert” polegać miała na odpowiednich zabiegach przeprowadzanych za pomocą żelazka (!) i ręcznika. Metoda dobra jak każda inna, tylko nie wiadomo właściwie, jakie koperty miał otwierać Czechowicz. Niemniej twierdził on z uporem, że przez sześć lat przekazał do kraju 5 tysięcy dokumentów zawierających ponad 30 tysięcy stron.

„[...] opisywane dzisiaj

przez niego opowieści – tłumaczył Aleksander Świeykowski – o żelazku w biurku, które było mu potrzebne do otwierania kopert zaklejanych taśmą – nie wyobrażam sobie, by w tych kopertach były jakieś istotne informacje – to konfabulacje pana Czechowicza. Wyobrażam sobie, jak po przeczytaniu takich rewelacji pękają ze śmiechu Danusia Krajewska, pani Wantułowa czy inne pracujące w tym dziale po kilkadziesiąt lat

osoby.

Zatem wszelkie bajdurzenia Czechowicza o znaczeniu jego misji jako szpiega w Monachium są bajeczką dla grzecznych dzieci. Generalnie opinie czy wrażenia, jakie pozostawił po sobie w monachijskim zespole Czechowicz, ani przez moment nie wskazywały na to, by prowadził jakąkolwiek podejrzaną działalność”[15].

Zdarzało się jednak czasami, że do agenta docierały wia-



domości ważne dla jego przełożonych w kraju. Były to na ogół informacje o polskich informatorach RWE, chociaż z reguły stanowiły one tylko potwierdzenie wcześniejszych ustaleń SB. Dlatego też z perspektywy lat Jan Nowak-Jeziorański bagatelizował cały problem. Uważał bowiem, że w rozgłośni pracowali znacznie groźniejsi od Czechowicza agenci wywiadu PRL:

„Było ich kilku – mowa o

latach 70. Czechowicz był najmniej szkodliwy ze wszystkich, bo był tak prymitywny i reprezentował tak niski poziom, że bardziej szkodził »bezpiece«, aniżeli nam swymi wystąpieniami. Ale byli inni, którzy byli mistrzami intrygi i rzeczywiście wyrządzali bardzo duże szkody”[16].

## *TRUCIZNY AGENTA*

Najważniejsze dla wywiadu PRL były przekazywane przez agenta informacje o stosunkach wewnętrznych w RWE. Po powrocie Czechowicza do kraju dostrzegli to również specjaliści od państwowej propagandy, robiąc z tego natychmiastowy użytek. Na pierwszy ogień poszedł oczywiście Jan Nowak-Jeziorański.

„[...] nazywa się go, w rozmowie z zaufanym oczywiście, gangsterem, satrapą, stupajką albo

dzierzymordą – opowiadał Czechowicz. – Nie wymyśliłem żadnego z tych określeń. Po prostu słyszałem je niejednokrotnie. Było to wszystko w głębokiej tajemnicy, bo oficjalnie ludzie się go boją. Bo dyrektor potrafi być bezwzględny w postępowaniu z personelem, nie liczy się z nim i wcale tego nie kryje. Potrafi w sposób cyniczny poniżyć czyjąś godność, wyrzucając z pracy, a potem zmuszając do pisania pełnych skruchy

listów. Ludzie się go boją”[17].

Czechowicz poszedł tak daleko w krytyce Jeziorańskiego, że snuł nawet pewne analogie z Nikodemem Dyzmą! Przy okazji podkreślał interesowność dyrektora, twierdząc, że Jeziorański nie zaniedbywał żadnej okazji do zarobienia pieniędzy. Dlatego też często podróżował służbowo, pobierającienne diety w wysokości 100 dolarów, co dla ówczesnych Polaków było sumą wręcz niewyobra-

żalną...

Agent w ponurych barwach odmalował również stosunki panujące w RWE. Według niego było to środowisko ludzi zainteresowanych wyłącznie własną karierą. Dobro ojczystego kraju kompletnie ich nie interesowało, liczyły się tylko pieniądze i wygodne życie.

„[...] są to ludzie absolutnie bezideowi, nie wierzący w nic. Polska, jej sprawy, interesują ich o

tyle, o ile jest to potrzebne do konkretnej audycji. Wszyscy redaktorzy piszą na zadany temat, dysponują zresztą niewielkim marginesem manewru. Na co dzień ich zainteresowania ograniczają się do jak najwygodniejszego ułożenia sobie życia, najwyższych zarobków i najlepszych perspektyw na przyszłość. W co zainwestować trzymane na koncie marki, czy kupić domek, czy nabyć akcje dobrze prosperującego przedsiębiorstwa.

Po prostu – jak najlepiej się ustawić. Nic poza tym. Polska widziana stamtąd jest bardzo odległym krajem, którego rzeczywiste problemy nie interesują ich zupełnie”[18].

Oczywiście nie mogło zabraknąć typowo „kapitalistycznych” elementów pracy zespołowej, czyli rywalizacji o stanowiska, wzajemnego podgryzania się, donosicielstwa i zawiści. Z drugiej strony Czechowicz przyznawał



jednak, że „»Wolna Europa« dobrze płaci”. Zatrudniony na podrzędnym stanowisku (o czym oczywiście nie wspominał) dostawał całkiem poważne pieniądze. Jego miesięczna pensja wynosiła bowiem ponad 1600 marek netto, co stanowiło równowartość dwukrotnej średniej krajowej w RFN. A do tego dochodziły jeszcze dodatkowe świadczenia, bo Czechowicz korzystał ze służbowego mieszkania, za „które płaciłby co

najmniej 500 marek miesięcznie”. Ale nawet to było dla niego kolejnym dowodem na wyjątkowo podłe zamiary Nowaka-Jeziorańskiego i jego mocodawców. Znakomite zarobki mieli oni wykorzystywać do tego, by szczuć jednych podwładnych na drugich, bo każdy z pracowników chciał się na dobrze płatnej posadzie utrzymać.

Czechowicz nigdzie też nie wspomniał, że przez kilka lat pracy w RWE odłożył kilkanaście

tysięcy marek, co nad Wisłą stanowiło prawdziwy majątek. Dorobił się również samochodu, który zabrał ze sobą, kiedy wyjeżdżał z Monachium. A zachodni pojazd był w PRL luksusem, na który niewielu mogło sobie pozwolić...

## *PRYWATNE ŻYCIE SZPIEGA*

„Ze stolicy Bawarii jest

tylko krok do Austrii – wspominał agent – trochę dalej, lecz w gruncie rzeczy też blisko do Szwajcarii. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni siadałem za kierownicą i ruszałem przed siebie. Wyjeżdżałem w piątek po południu, wracałem późnym wieczorem w niedzielę. Odnalazłem parę uroczych miejsc, gdzie było cicho i spokojnie; bardzo ceniłem taki relaks po wyczerpujących dniach”[19].

Agent przyznawał, że naj-

większą przyjemność sprawiało mu łapanie pstrągów w górskich strumieniach oraz grzybobranie. W tamtejszych lasach było bowiem prawdziwe „zatrzęsienie grzybów: rydzów, prawdziwków i maślaków”, w wolnych chwilach zajmował się ich smażeniem, „duszeniem w maśle i marynowaniem”. W efekcie „dla gości była to prawdziwa uczta”.

Nie prowadził samotnego życia, bywał w modnych lokalach

z wyszynkiem, nie miał też oporów przed zawieraniem przygodnych znajomości. Wiedział bowiem, że jego przełożeni z RWE „swoimi kanałami szybko załatwią z policją każdą awanturę spowodowaną przez pracownika rozgłośni”.

Oczywiście były w jego życiu również kobiety. Niedługo po rozpoczęciu pracy w Monachium wdał się w romans z żoną jednego z kolegów z RWE. Podobno inter-

weniowała w tej sprawie centrala z Warszawy, uważając całą historię za poważny błąd w sztuce wywiadowczej. I zapewne przełożeni mieli rację, bo obyczajowa awantura na terenie rozgłośni nie byłaby przykładem profesjonalizmu.

Później w życiu Czechowicza pojawiły się inne partnerki, był przecież młodym człowiekiem mającym określone potrzeby. Jego przyjaciółkami zostawały jednak wyłącznie niemieckie dziewczęta,

bo było to znacznie wygodniejsze ze względów wywiadowczych. Wreszcie na dłuższy czas związał się z mieszkającą w Monachium Szwajcarką, której w swoich pamiętnikach nadał imię Betty.

Poznali się w nocnym lokalu, a ich znajomość szybko przerodziła się w romans. Ostatecznie były to czasy rewolucji obyczajowej i młodzi ludzie nie przejawiali pruderii poprzednich pokoleń.

„Betty była bezinteresowna



– oceniał po latach Czechowicz – umiała się cieszyć, charakteryzował ją radosny pęd do życia, do zabawy dla zabawy, a nie po to, aby mogła pochwalić się bliskim koleżankom, że całą noc przetańczyła w »Ba-ba-lu«, lokalu przy Leopoldstrasse, który uznawany był wówczas za najwytworniejszy”[20].

Spędzili razem urlop w Hiszpanii, przebywali w okolicach Alicante, gdzie Czechowicza spo-

tkąła zabawna przygoda. Betty bowiem przyjaźniła się z zamieszkałą tam wiekową wdową po pewnym hiszpańskim arystokracie. Hrabina była Niemką z urodzenia, a jej pierwszym mężem (jeszcze przed I wojną światową) był Polak, ziemianin z Poznańskiego.

„Jak inne kobiety, dawne żony lub kochanki Polaków, znała parę słów polskich. I jak zwykle w takich przypadkach nie były to wyrazy z języka salonowego. Przeje-

chać blisko dwa tysiące kilometrów samochodem, siedzieć na tarasie willi z widokiem na Morze Śródziemne i słuchać, jak hiszpańska hrabina mówi d... i g..., a także kilka innych słów z tego repertuaru – to jednak coś, czego się nie zapomina”[21].

Urlop był udany, Czechowicz jednak uznał, że powinien rozstać się z Betty. W życiu agenta nie było miejsca na prawdziwe uczucie, a wszelkie poważne

związki groziły nieobliczalnymi konsekwencjami. Wprawdzie jego działalność wywiadowcza była fikcją, ale dekonspiracja mogła zagrozić planom jego mocodawców. Szpieg miał jasno określone zadanie – musiał za wszelką cenę utrzymać się na etacie w RWE, a przecież kobiety bywają czasami bardzo spostrzegawcze i dociekliwe.

„Czułem się z nią i przy niej znakomicie. Właśnie dlatego

był to nasz pierwszy i ostatni urlop. Kiedy zorientowałem się, że bardzo mi zależy na Betty, że coraz trudniej znoszę brak jej towarzystwa, postanowiłem rozstać się z nią. Decyzja, powiedzmy sobie szczerze, nie była ani łatwa, ani prosta, a co najgorsze Betty nie dawała mi żadnych okazji, żebym mógł się pogniewać i w rozdrażnieniu powiedzieć: »Kończymy, kochanie«...»[22].

Po Betty pojawiła się

Gerda, typowa Niemka, przywiązana „do domowego porządku, czystości i mieszczańskich zwyczajów”. Wspólny urlop w Hiszpanii i Portugalii okazał się porażką, partnerka nie mogła zrozumieć upodobania Czechowicza do miejscowych, podrzędnych lokali.

„Pierwsza awantura z Gerdą wybuchła w wiosce, a raczej osiedlu w pobliżu granicy z Hiszpanią. Oburzało ją, że ciągnę do rybackich knajpek. Te gospody słyną ze

znakomitej kuchni i towarzystwa, które w normalnych warunkach można spotkać tylko w filmach o piratach. Przyrządzane tam potrawy ze świeżych ryb, raków morskich i krabów to cały poemat, a podawane wina nie ustępują trunkom w najdroższych restauracjach Paryża. Ich wnętrze nie jest wprawdzie przesycone wonią róż, nie olśniewa blaskiem luster i kryształów, nie zobaczy tam człowiek obwieszonych brylantami

dam, ale na tym właśnie polega urok tych knajpek”[23].

Dla Gerdy były to jednak śmierdzące cebulą i czosnkiem spelunki, w których przesiadywały „obdartusy siorbiące zupę”. Dalej było jeszcze gorzej, bo na portugalskim wybrzeżu praktycznie już nic jej się nie podobało.

„Tyle kilometrów męczyliśmy się w samochodzie – wypominała Czechowiczowi – żeby w tej zapadłej dziurze nie można było



wykąpać się nawet w morzu, żeby mieszkać w nędznym hoteliku, gdzie nie ma wanny i ciepłej wody. Trzeba było, jak robią to wszyscy kulturalni ludzie, polecieć samolotem na Majorkę, a nie siedzieć tutaj między portugalskimi śmierdzielami”[24].

Nic zatem dziwnego, że urlop w Portugalii był ich pierwszym i ostatnim wspólnym wyjazdem. Później Czechowicz związał się ze znacznie starszą od siebie

Niemką, milczy jednak na jej temat w swoich pamiętnikach. Znajomość zakończyła się nagle, gdy przyszedł rozkaz odwołujący agenta do kraju.

## *MEDIALNY SHOW*

„Warszawa ma nową sensację – zanotował 12 marca 1971 roku w swoim dzienniku Mieczys-

sław Rakowski. – Z Monachium powrócił agent MSW («Express Wieczorny» – »As polskiego wywiadu«), kapitan Andrzej Czechowicz, który przez 6 lat pracował w Wolnej Europie. Jest to raczej rzadkie zjawisko, żeby jakieś państwo ujawniało swojego agenta. Odbyła się już konferencja prasowa, na której kapitan sypał Wolną Europę. Z tego, co powiedział, nie wynika jednak, że dotarł do jakichś rewelacji”[25].

Polskie radio wyemitowało sześcioczęściowy program, w którym agent opowiadał o swojej misji, wywiady z nim pokazywano w telewizji zamiast popularnej *Bonany*, a redakcje gazet prześcigały się w udostępnianiu mu swoich łamów. Czechowicz mówił dużo, ale często podawał też informacje, których raczej nie mógł zdobyć w Monachium. Dla wielu obserwatorów stało się jasne, że oficer wypowiada kwestie naka-

zane mu przez SB i przeznaczone wyłącznie dla określonych kręgów odbiorców.

Faktycznie, całą sprawą osobiście kierował nowy szef MSW Franciszek Szlachcic planujący zdyskredytowanie Wolnej Europy w oczach społeczeństwa i odcięcie rozgłośni od krajowych źródeł informacji.

„W okresie swego pobytu w Monachium – mówił Szlachcic na naradzie sekretarzy propagandy

KW PZPR – kapitan Czechowicz przekazał nam około 5 tysięcy oryginalnych raportów z rozmów prowadzonych z obywatelami wyjeżdżającymi za granicę, którzy tam w sposób świadomy, a bardzo często nieświadomy, udzielali informacji korespondentom czy agentom Wolnej Europy. [...] Wśród [tych] około 5 tysięcy raportów znajduje się około 300 dotyczących obywateli polskich, którzy świadomie, względnie lekkomyślnie

nie, ale systematycznie informowali Wolną Europę. W niektórych przypadkach trzeba będzie wszcząć postępowanie sądowe, ale głównie postanowiono przeprowadzić z zainteresowanymi rozmowy przez kierownictwo instytucji i zakładów pracy oraz sekretarzy partyjnych. Wśród informatorów są również znane nazwiska [.. .]”[26].

Były to jednak wyłącznie zapowiedzi, nikogo bowiem nie pociągnięto do odpowiedzialności

karnej. Wydaje się zresztą, że cała sprawa od początku miała wyłącznie prewencyjny charakter i w ten sposób próbowano tylko zastraszyć ludzi współpracujących z monarchijską rozgłośnią. Nazwisk informatorów Czechowicz oczywiście nie przywiózł – były one od lat dobrze znane SB.

Ale propagandowy show trwał w najlepsze, a władze okazywały zadowolenie z jego efektów. I ponownie odwoływano się do po-



staci dzielnego agenta J-23.

„Amerykanie, Anglicy, Niemcy wychowują swoją młodzież na przykładach bohaterów wywiadu czy kontrwywiadu – wyjaśniał Szlachcic. – U nas dobrym eksperymentem, choć niezamierzonym przez MSW, stała się postać kapitana Klossa z serialu telewizyjnego.

Po audycjach Czechowicza wpłynęło dużo listów, których autorzy, chłopcy, a nawet dziew-

częta, deklarują gotowość do pracy w wywiadzie. Moim zdaniem, potwierdza to celowość kształtowania odpowiedniej atmosfery wokół działań wywiadu”[27].

Przy okazji próbowano zdyskredytować rozgłoszenie w oczach społeczeństwa, a największe znaczenie miał bezpośredni atak na Nowaka-Jeziorańskiego. Czechowicz ujawnił, że podczas wojny był on zarządcą dwóch żydowskich kamienic, których wła-

ściciele trafili do getta. Nie dodał tylko, że „Kurier z Warszawy” pracował na tym stanowisku na polecenie władz podziemia, miała to być bowiem przykrywka dla jego działalności konspiracyjnej.

W wypowiedziach Czechowicza nie zabrakło również elementów antysyjonistycznych, wzorowanych na kampanii z 1968 roku. Wolną Europę finansować miała żydowska finansjera do spółki z CIA, a z materiałów roz-

głośni korzystał „osławiony Wiesenthal i jego współpracownicy”. Syjoniści mieli zresztą cieszyć się dużym poparciem wśród części ekipy RWE.

„Jest wreszcie grupa tak zjadle antypolska – mówił agent w wywiadzie dla »Trybuny Ludu« – że tylko wyrachowanie Nowaka, który czuwa, by ludzie ci zbytnio nie narozrabiali, zmusza ich do utrzymywania się w ryzach regulaminu działania placówki, bądź co

bądź »sekcji polskiej«. Jest to grupa uciekinierów i emigrantów z ostatnich trzech lat, wyraźnie związanych z antypolskimi i antyradzieckimi ośrodkami syjonistycznymi. Nie wszyscy zresztą kandydaci z tej emigracji dostali się do »Wolnej Europy«. Bano się, by i te resztki polskości »sekcji polskiej« nie zostały zatarte”[28].

Wydaje się, że władze zdecydowanie przesadziły z nachalną promocją Czechowicza i nieba-

wem wszyscy mieli już dość tego dzielnego agenta i jego rewelacji. Rakowski zauważył, że całą sprawę „od strony propagandowej sknocono” i że „można rzygać, czytając te wypociny”. W efekcie niektórzy działacze partyjni chwaliли się publicznie, że „nie oglądali żadnej audycji telewizyjnej, w której występował” Czechowicz...

„Na temat tego asa jest mnóstwo dowcipów – notował Rakowski. – Na przykład: na jakie

grupy dzieli się ludność Polski? Na inteligentów, półinteligentów, ćwierćinteligentów i na asów wywiadu. [Albo] W telewizji będą teraz dzieciom opowiadać zamiast Kubusia Puchatka, przygody Kapusia Parchatka”[29].

Natomiast w kręgach studenckich popularna stała się piosenka z łatwo wpadającym w ucho refrenem: „Andrzej Czechowicz – Mata Hari z MSW”...

*CZŁOWIEK, KTÓRY  
UWIERZYŁ  
W SWOJĄ WIELKOŚĆ*

Po latach kapitan uważał się za agenta ideowego, za człowieka, który wypełniał szpiegowskie zadania wyłącznie z pobudek patriotycznych. I chyba naprawdę uwierzył, że dobrze przysłużył się ojczyźnie i że był skrzyżowaniem Jamesa Bonda z kapitanem Klosssem i Stierlitzem. Nie przeszkadza-



dzał mu w tym fakt, że zwierzchnicy odstawili go na boczny tor (jako agent był osobą zdekonspirowaną) i wysłali na stanowisko sekretarza ambasady PRL w Ułan Bator. Następnie pełnił funkcję konsula w Rostocku, a w obu przypadkach były to typowe synekury, gdzie kierowano ludźmi, których chciano się pozbyć z kraju.

Po upadku komunizmu Czechowicz przeszedł na emeryturę, wyrażając zresztą żal, że

nowe władze nie chciały skorzystać z jego doświadczenia operacyjnego.

„Jeden z pierwszych ministrów spraw wewnętrznych RP – opowiadał Aleksander Świeykowski – z dużą dozą niechęci w głosie, podczas spotkania z kilkoma pracownikami RP RWE przywołał dość osobliwe według niego wydarzenie. Siedział w swoim ministerialnym gabinecie za biurkiem, przeglądając ministerialne pa-

piery. Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili je otworzył. Przed ministrem stanął niemłody już mężczyzna. Uderzył obcasami, zasalutował i zameldował: »Panie ministrze, major Andrzej Czechowicz melduje swoją gotowość do dalszej współpracy«. [...] Minister, jak opowiedział, był całkowicie zaskoczony. Oczywiście natychmiast wiedział, z kim ma do czynienia. Rozmowy nie podjął. Nakazał mu natychmiast opuścić ga-

binet”[30].

Na emeryturze Czechowicz zachowywał jednak czujność i gdy kilka lat temu pojawiły się artykuły na jego temat, wytoczył „Rzeczpospolitej” proces o zniesławienie, a następnie o naruszenie dóbr osobistych. Sprawy ostatecznie przegrał, co skłoniło go do refleksji, że sąd „podważył jego wiarygodność”, a przecież był „agentem ideowym i nie działał dla pieniędzy”. Przy okazji ogłosił, że to

zemsta za oczernianie Nowaka-Jeziorańskiego i całej RWE. Wydaje się, że były „as wywiadu” uwierzył we własne opowieści dyktowane mu przez SB. Co prawda pewien osławiony mistrz propagandy twierdził przed laty, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą, ale nawet on nie utrzymywał, że autorzy konfabulacji z czasem sami zaczynają w nie wierzyć. Przypadek Andrzeja Czechowicza zdaje się jednak potwierdzać taką

hipotezę...



**Rozdział 7**  
**Szpieg za Spizową**  
**Bramą**







**Szpieg Tomasz Turowski** nie widział nic złego w tym, że regularnie spowiadał się i przystępował do komunii. Tłumaczył, że „sakramenty są tylko dla wierzących”, i nie traktował swego postępowania jako świętokradztwa. Podczas wspólnych modlitw przeprowadzał wewnętrzną refleksję na wzór ćwiczeń z filozofii zen, a kamuflaż ułatwiał mu fakt, że jezuici mają zwyczaj „przyjmować przy modlitwie taką pozycję, jaka najbardziej odpo-

*wiada ich ciałom”.*

## „IGNACY” I INNI

**W**prawdzie jeszcze Józef Stalin uważał, że Watykan nie posiada znaczenia politycznego, gdyż nie dysponuje realną siłą militarną, ale już jego następcy mieli na ten temat odmienne zdanie. I dobrze

wiedzieli, że Stolica Apostolska jest niezwykle ważnym elementem światowej polityki i w żadnym wypadku nie można ignorować jej roli.

Komuniści głosili jednak konieczność brutalnej ateizacji społeczeństwa i bez większych problemów podporządkowali sobie struktury Kościoła prawosławnego. Katolicy dominowali natomiast na terenie Polski, Czechosłowacji i Węgier, co zdetermino-

wało działania służb wywiadowczych. Nasz kraj zawsze uchodził za najbardziej katolickie państwo regionu i na Kremlu zdecydowano, że „kierunek papieski” będzie specjalnością funkcjonariuszy wywiadu PRL.

Wybór Karola Wojtyły na tron papieski zintensyfikował działania szpiegowskie za Spizową Bramą. Razem z nowym papieżem znacznie zwiększył się udział polskich księży i zakonników w struk-

turach państwa kościelnego, co trafnie podsumowano w moskiewskiej centrali:

„Nasi przyjaciele (SB) dysponują silną pozycją operacyjną (agenturą) w Watykanie, co umożliwia im bezpośredni dostęp do papieża i do kongregacji rzymskiej. Oprócz doświadczonych agentów, do których Jan Paweł II jest osobiście dobrze nastawiony i którzy mogą uzyskać audiencję w dowolnym momencie, nasi przyjaciele

pozyskali zasoby agenturalne wśród przywódców katolickiego ruchu studenckiego, którzy są w stałych kontaktach z kołami watykańskimi i mają możliwości operacyjne w Radiu Watykańskim oraz w sekretariacie papieskim”[1].

Władze Polski Ludowej przywiązywały ogromną wagę do stosunków z Kościołem. Wraz z końcem epoki stalinizmu zrezygnowano z prób brutalnej konfron-



tacji (sprawa biskupa Kaczmarka, internowanie prymasa Wyszyńskiego, księży patrioci), jednak nadal bardzo poważnie traktowano operacyjne rozpracowywanie hierarchii kościelnej. Podstawowym celem działalności Służby Bezpieczeństwa na tym odcinku miała być „neutralizacja polityczna hierarchii kościelnej i kleru – doprowadzenie do afirmacji przez duchowieństwo i Kościół systemu społeczno-politycznego PRL –

srowadzenie roli Kościoła do zaspokajania potrzeb religijnych ludzi wierzących”[2].

Bezstronnie trzeba przyznać, że SB osiągnęła znaczne sukcesy, liczba zarejestrowanych duchownych będących współpracownikami tajnych służb była wręcz niewiarygodna. Szacuje się, że u schyłku PRL z bezpieczeństwem współpracowało (w zależności od regionu) od 20 do 40 proc. ogółu kleru. Na usługach wywiadu pozostawali

również wysocy dostojnicy kościelni, tacy jak późniejszy biskup, sufragan gnieźnieński Jerzy Dąbrowski. To właśnie on, jako „Ignacy”, dostarczał materiały z II Soboru Watykańskiego.

„Byliśmy mile zaskoczeni – wspominał oficer SB Włodzimierz Wilski – gdy podczas pobytu na soborze polskich biskupów »Ignacy« z własnej woli przyniósł i zadeklarował dostarczać kolejno następne protokoły z posiedzeń

episkopatu polskiego, odbywanych w Rzymie. Dostarczył materiały prawie ze wszystkich posiedzeń. Były to dokumenty o dużej wartości operacyjnej. W tym okresie »Ignacy« dostarczył też szereg informacji o tematyce watykańskiej”[3].

Za swoje usługi biskup otrzymywał stosowne wynagrodzenie, zachowała się informacja, że w listopadzie 1965 roku odebrał kwotę 70 tysięcy lirów (odpowied-

nik 112 amerykańskich dolarów), co stanowiło równowartość kilkumiesięcznej pensji w kraju.

Jerzy Dąbrowski nie był jedynym informatorem SB z kręgów wysokiej hierarchii kościelnej. Z wywiadem PRL współpracował również biskup włocławski Wiesław Mering (TW „Lucjan”), chociaż „nie była to współpraca szczególnie intensywna”.

„Fundusz operacyjny ze spotkań z duchownymi był rozli-

czany na podstawie oświadczeń oficerów SB – mówi dziennikarz Cezary Gmyz. – To zresztą dość zabawna rzecz: na podstawie dokumentów funduszu operacyjnego możemy zobaczyć, kto był uważany za cenniejsze źródło, a kto za agenta pośledniejszego kalibru. Cenni agenci mogli biesiadować z esbekami przy wódce polonez, rosyjskim kawiorze i cieście od Bliklego, a zwykli – najwyżej przy flaszcze żytniej i pęcie kieł-

basy”[4].

Inaczej sprawa wyglądała w dużych miastach, inaczej natomiast na prowincji, gdzie sytuacje, gdy „lokalny ksiądz i ubek razem jadali obiady czy nawet razem pili wódkę, nie należały do rzadkości”. Warto jednak pamiętać, że rejestracja przez SB nie zawsze oznaczała podjęcie świadomej współpracy.

## *OJCIEC KONRAD HEJMO*

Najgłośniejszym przypadkiem inwigilacji środowisk watykańskich przez wywiad PRL była sprawa ojca Konrada Hejmo. Gdy w czerwcu 2005 roku IPN ujawnił fakt jego współpracy z SB, przez kraj przetoczyła się fala oburzenia. Ojciec Hejmo nie był bowiem zwykłym, szeregowym duchownym. To współzałożyciel miesięcznika „W Drodze”, duszpa-



sterz akademicki, wicedyrektor Delegatury Biura Prasowego Episkopatu Polski w Rzymie, redaktor naczelny pisma „Kronika Rzymska”, dyrektor Ośrodka dla Pielgrzymów Polskich „Corda Cordi” w Rzymie. I ten człowiek okazał się wieloletnim współpracownikiem SB.

Związki ojca Hejmy z tajnymi służbami sięgały połowy lat 70., kiedy to zaczął regularnie spotykać się z funkcjonariuszami bez-

pieki. Początkowo miało to związek z wydawanym przez dominikanina miesięcznikiem, kontakty te umożliwiły jednak wywiadowi pozyskanie wielu cennych informacji. Zakonnik okazał się bowiem wyjątkowym gadułą, który uwielbiał dużo mówić o ludziach ze swojego otoczenia.

„Chętnie rozmawiał na interesujące SB tematy – pisał w raporcie major Wacław Głowacki – przekazywał ciekawe informacje,

choć o treści raczej ogólnej. Chętnie godzi się na dalsze rozmowy, obiecał skontaktować się ze mną podczas pobytu w Warszawie, nie uczynił tego jednak. W rozmowie jest wylewny, mówi obszernie, chętniej na tematy problemowe niż poszczególnych zakonników”[5].

Przy okazji tych spotkań zakonnik otrzymywał prezenty, chociaż trzeba przyznać, że nie były one specjalnie wyrafinowane. Dostał „butelkę winiaku luksusowo-

wego za 300 zł, następnie koniaku za 840 zł, a w końcu panoramę Warszawy w metaloplastyce za 1300 zł”[6]. Nie udało się jednak znaleźć na Hejmę kompromitujących materiałów, wprowadzie dominikanin sprawiał wrażenie osobnika niezbyt rozgarniętego, ale nie naruszał norm obyczajowych. Inna sprawa, że ojciec Hejmo wcale nie zamierzał zrywać kontaktów ze służbami, zdarzało się nawet, iż sam inicjował spotkania.

Naruszał w ten sposób zalecenia episkopatu, który wielokrotnie wypowiadał się przeciwko nieoficjalnym kontaktom kapłanów z funkcjonariuszami państwa. Ale dla zakonnika ważniejsza okazała się możliwość porozmawiania o sprawach zakonu i otaczających go ludzi niż polecenia przełożonych.

„Pierwszą uderzającą rzeczą [...] jest – łagodnie rzecz ujmując – mówił Cezary Gmyz – brak roztropności i gadulstwo [...]

Nie wiem sam, która interpretacja jest gorsza dla ojca Konrada – ta, w której jest groźnym agentem, czy ta, w której jest po prostu kompletnym idiotą. Ja skłaniam się ku drugiej odpowiedzi, że mamy do czynienia z idiotą i gadałą. Zresztą wszyscy, którzy znają ojca Hejmę, wiedzą, że jak już raz zacznie gadać, to wpada w rodzaj umysłowej biegunki”[7].

Decydujące dla współpracy zakonnika ze służbami PRL oka-

zało się przeniesienie go w 1979 roku do Rzymu. To właśnie wówczas jego osobą zajęło się dwóch oficerów: Edward Kotowski („Piętro”, rezydent wywiadu PRL w Watykanie) oraz Andrzej Madejczyk („Lakar”). Ich raporty jednoznacznie określają rolę ojca Konrada w procesie zbierania informacji na temat Stolicy Apostolskiej.

„Rozmowa odbyła się w wyjątkowo dobrej atmosferze – pisał w raporcie »Piętro«. – [...] bez

najmniejszego oporu i skrępowania relacjonował znane mu fakty i nie unikał podawania nazwisk i szczegółów. (Odniosłem wrażenie, że klimat tej rozmowy był lepszy niż z niektórymi źródłami, z którymi pracuje się dłużej. Stwierdziłem, że nabrał do mnie dużo zaufania. Warto sprawę tę kontynuować na dotychczasowej zasadzie)”[8].

Wprawdzie zakonnik uwielbiał plotkować i wiele jego wypowiedzi nosiło charakter pomówień,



to jednak tego rodzaju sprawy również interesowały SB. Tym bardziej że ze słowotoku Hejmy można było wyłowić istotne informacje na temat hierarchów Kościoła czy polityki Watykanu wobec wschodniej Europy.

Porażająca wydaje się łatwowierność dominikanina. „Piętro” nigdy nie odkrył przed Hejmą swojej prawdziwej tożsamości (spotykał się z nim jako II sekretarz ambasady polskiej w Rzymie),

natomiast „Lakar” (oficjalnie zatrudniony w banku w Kolonii) wmówił zakonnikowi, że jest rezydentem wywiadu RFN! I ojciec Hejmo uwierzył w te rewelacje, zgadzając się na współpracę...

Dochodziło do kuriozalnych wręcz sytuacji, albowiem Madejczyk za zgodą dominikanina nagrywał ich rozmowy.

„Magnetofon stał na stole – opisywał Gmyz – mało tego – każde nagranie zaczyna się od

próby mikrofonu: ojciec Hejmo mówi: »Raz, dwa, trzy, mówi Konrad«. Traktowanie takiej działalności jako tajnej misji superagenta SB byłoby absurdem”[9].

Faktem jednak pozostała gorliwa współpraca zakonnika z polskim wywiadem. Warto również pamiętać, że ojciec Hejmo otrzymywał za swoje usługi wynagrodzenie, wprowadzie rzekomo od wywiadu RFN, a w rzeczywistości z kasy SB.

Motyw finansowy był chyba zresztą jednym z najważniejszych powodów jego współpracy z „Lakarem”. Zakonnik po przybyciu do Rzymu pełnił wiele funkcji, ale nie otrzymywał za to odpowiedniej zapłaty. Już w 1983 roku miał poważne długi i ratowały go pieniądze od „Lakara”, do 1988 roku otrzymał blisko 20 tysięcy marek zachodnioniemieckich. Zachowały się stosowne pokwitowania, a Hejmo podpisywał

odpowiednie dokumenty, nie czytając ich i „zwracając tylko uwagę na sumę”...

Zapewne Hejmo nigdy nie zorientował się, z kim współpracuje. Możliwe, że uważał, iż dostarczając informacji zachodnioniemieckiemu wywiadowi, walczy w ten sposób z komunistami, nie zmienia to jednak faktu, że jego działalność była wyjątkowo szkodliwa. A przy okazji nie świadczy pozytywnie o jego inteligencji.

Natomiast inni agenci SB w Watykanie nie mieli złudzeń, dla kogo pracują. Ksiądz Józef Penkowski został zwerbowany na własną prośbę (!), okazał się zresztą „agentem niemal doskonałym”. Nie rzucał się w oczy, był postacią dalszego planu, co potwierdza teorię, że najskuteczniejszymi informatorami są ludzie, których nikt nie posądzałby o szpiegowską robotę.

„Najcenniejsza agentura to

byli właśnie tacy ludzie jak Penkowski – tłumaczył Gmyz – na których nikt nigdy nie zwracał uwagi. Urzędnicy średniego, a czasem nawet niższego szczebla, którzy mają dostęp do poufnych dokumentów, do kalendarzy spotkań, mogą fotografować przygotowane dopiero do wygłoszenia przemówienia papieskie. [...] Penkowski całe życie noszący połatanaą sutannę i przetarty sweterek jest tego najlepszym przykładem. Po cichu

robił swoją robotę, a karierę watykańską skończył bardzo wysoko. Nie został wprowadzicie biskupem, ale stanął na czele Muzeów Watykańskich, a na piersi nosił order *Pro Ecclesia et Pontificae*, czyli »za papieża i Kościół« – najwyższe odznaczenie watykańskie. Tymczasem, tak naprawdę, właściwie całe życie zajmował się walką z Kościołem i przeciwko papieżowi. Był to człowiek, który wyrządził niewyobrażalne szkody.



Najpierw w Polsce, denuncjując przybywających do nas potajemnie czeskich werbistów, którzy nie mogąc się kształcić w Czechosłowacji, przybywali do polskich seminariów, a po donosie Penkowskiego zostali wydalen i potem zamknięci w czeskich więzieniach. [...] Penkowski trafił potem do Szwajcarii, gdzie szpiegował m.in. ojca Innocentego Bocheńskiego, a potem dopiero trafił do Rzymu”[10].

Największym jednak sukcesem wywiadu PRL było umieszczenie agenta wśród rzymskich jezuitów. Wprowadzenie do elitarnego zakonu własnego człowieka, i to w bezpośrednie otoczenie Jana Pawła II, słusznie uważano za majstersztyk szpiegowskiej roboty.

*EDWARD KOTOWSKI*

Funkcjonariusze wywiadu często trafiali do służby w najdziwniejszy sposób. Wspomniany już wcześniej Edward Kotowski („Piętro”) był z zawodu historykiem sztuki, posiadał autentyczny doktorat Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1967 roku został dyrektorem muzeum na zamku w Lidzbarku Warmińskim i dwa lata później odkrył tam cenne polichromie z czasów biskupa Ignacego Krasickiego. Fakt

ten zaważył na całym jego późniejszym życiu.

„Znajdowały się one pod warstwą farby położoną zresztą całkiem współcześnie – wyjaśniał Cezary Gmyz. – Odkrycie Kotowskiego stało się głośne na całą Polskę, a jednocześnie przyczyniło się do jego kłopotów. Okazało się bowiem, że istnienie fresków nie było tajemnicą dla ówczesnego lokalnego kacyka – wojewódzkiego konserwatora zabytków Lucjana

Czubiela. Co więcej – to Czubieli właśnie kazał je zatynkować”[11].

Polska Ludowa była jednak krajem rządzącym się swoimi prawami, po odkryciu polichromii wybuchła afera, w efekcie której pracę stracił nie Czubieli, ale Kotowski. Ważniejsze okazały się układy konserwatora z lokalnymi władzami i dyrektor muzeum został zwolniony.

„[...] otrzymałem rodzaj »wilczego biletu« – wspominał

Kotowski – bo gdziekolwiek pyta-  
łem o możliwość zatrudnienia, to  
dawano mi do zrozumienia, że jest  
to niemożliwe ze względu na kon-  
flikt z władzami. Szczególnie ak-  
tywnie zaangażował się w zwal-  
czanie mojej osoby Wydział Pro-  
pagandy KW PZPR [...] Doszło do  
tego, [że] gdy już wyczerpałem  
starania o zatrudnienie mnie w  
charakterze nauczyciela, pracow-  
nika kulturalno-oświatowego czy  
w ogóle pracownika umysłowego i

zwróciłem się do mojego przyjaciela Bogusława Gizy, dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego, aby zatrudnił mnie w charakterze robotnika, to wprost powiedział, że sekretarz Cz. Kisły mu tego zabronił [Czesław Kisły, sekretarz ds. propagandy KP PZPR w Lidzbarku Warmińskim – S.K.] pod groźbą zwolnienia jego samego, gdy pójdzie mi na rękę. Oznaczało to, że władze olsztyńskie podjęły decyzję o pozbyciu się mnie ze swo-

jego terenu. Ponieważ miałem dwoje małych dzieci i mieszkanie, z którego nie mogłem zrezygnować, więc uparłem się, że muszę tu zostać i przyjąć jakąkolwiek pracę. Ktoś mi doradził, aby pójść do KP MO, bo tam może być jakiś wolny etat”[12].

Kotowski okazał się wyjątkowo cennym nabytkiem, Milicja Obywatelska odczuwała bowiem „braki na odcinku pracowników z wyższym wykształceniem”. Nieba-



wem Kotowski ukończył szkołę oficerską w Legionowie (z najlepszą lokatą), po czym trafił do Departamentu IV zajmującego się rozpracowywaniem działalności Kościołów i związków wyznaniowych. Przy okazji pracował również nad swoją pracą doktorską (obronił ją w 1974 roku), co było znakomitą przykrywką do działalności w resorcie. Autentyczny doktorant z historii sztuki stanowił w MO prawdziwą sensację.

„Bardzo szybko rozwinął skrzydła – opowiada Gmyz. – Okazał się funkcjonariuszem bardzo kreatywnym i utalentowanym. Zaczął od rzeczy małych – od prowadzenia lokalnej agentury wśród duchownych. Błyskawicznie znajdował z nimi wspólny język, a księża byli szczęśliwi, że mają tak wykształconego i inteligentnego partnera do rozmów”[13].

Kotowski odnosił sukces za sukcesem, niebawem kontrolował

już agenturę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i Akademii Teologii Katolickiej. Jako człowiek wykształcony i obracający się od lat wśród kleru, doskonale znał zasady obowiązujące w tym środowisku. Wiedział, do kogo zwracać się „ekscelencjo”, a do kogo „eminencjo”, jakiego słownictwa używać w towarzystwie księży. A to było niezwykle ważne, gdyż wzbudzało do niego zaufanie.

„W Lublinie Kotowski także mógł pojawiać się dzięki swojej przykrywce historyka sztuki – kontynuuje Gmyz – konsultował się z kadrą naukową stosownego wydziału na uczelni, przyjeżdżał do biblioteki, na konferencje. Kotowski był naprawdę utalentowanym oficerem. Miał cechę w tej profesji bezcenną – szybko wzbudzał zaufanie i bez trudu »zaprzyjaźniał się« ze swoimi źródłami. Był dobrym kompa-

nem do dyskusji o sztuce, do przyjacielskich pogawędek i wreszcie do kieliszka. Kiedy miałem okazję z nim porozmawiać osobiście, to kilkakrotnie wspominał, a właściwie narzekał, że w jego profesji trzeba mieć nie tylko fenomenalną pamięć, ale także bardzo wytrzymałą wątrobę. Niektórzy z prowadzonych przez niego księży lubili mocno popijać”[14].

Sukcesy Kotowskiego zostały szybko dostrzeżone przez

przełożonych, a znakomite kontakty z ludźmi Kościoła spowodowały jego przeniesienie do Watykanu. Przed wyjazdem przeszedł intensywne szkolenie indywidualne i zdał egzamin państwowy z języka włoskiego.

Nad Tybrem kierował rezydenturą wywiadu PRL. Jako pierwszy z polskich agentów na poważnie zajął się „białym wywiadem”, dziedziną, na którą jego poprzednicy w ogóle nie zwracali uwagi.

„[...] w pewnej księgarni watykańskiej – wspominał po latach – ujrzałem *Annuario Pontificio* (rocznik papieski) i okazało się, że można go nabyć za sumę, jeżeli się nie mylę, 50 tysięcy lirów włoskich. Oczywiście, po wstępnym przewertowaniu, natychmiast go kupiłem. Okazało się, że ta corocznie aktualizowana publikacja, co wynika z jej charakteru, licząca ponad 2 tysiące stron drobnego druku, w sposób nie-

zmiernie skrupulatny i metodyczny obrazowała sytuację Kościoła rzymskokatolickiego na całym świecie, będąc jednocześnie doskonałym przewodnikiem po dykasteriach Kurii Rzymskiej. Były tam informacje dotyczące struktury i zakresu działania wszystkich instytucji watykańskich, połączone z wykazem wszystkich ich pracowników, łącznie z numerami ich telefonów i adresami ich prywatnych mieszkań.



W tym opracowaniu znajdowały się również kompletne dane, dotyczące dyplomatycznych przedstawicielstw watykańskich na świecie, a także dotyczących przedstawicielstw innych państw, akredytowanych przy Watykanie”[15].

Oczywiście Kotowski nabywał kolejne wydania *Annuario Pontificio*, to była dla niego wyjątkowa pomoc w szpiegowskiej robocie. I nie mógł zrozumieć, dlaczego Watykan nie ukrywa da-

nych osobowych, tak jak miało to miejsce w przypadku polskiego Kościoła.

„Stanowiło to niezwykle ułatwienie mojej pracy – przyznawał. – W porównaniu z tym, co było, gdy chodziło o zdobycie podobnych informacji o strukturach i działalności Kościoła w Polsce, to sytuacja w tym zakresie na terenie Rzymu była wręcz sielankowa”[\[16\]](#).

Szybko też doszedł do

wniosku, że podstawą jego działalności powinna stać się dokładna analiza oficjalnych publikacji watykańskich. W ten bowiem sposób mógł określić i to „bardzo precyzyjnie, najważniejsze cele i kierunki działalności strategicznej i taktycznej Stolicy Apostolskiej”.

Nie zaprzestał jednak standardowych metod działania. Inwigilacji duchownych sprzyjały spotkania w gronie korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Rzy-

mie, które odwiedzali często pracownicy kurii papieskiej. A Kotowski okazał się wyjątkowo pomocny dla polskich księży i zakonników.

„[...] prawdziwy tytuł doktora historii sztuki i pewna klasa intelektualna, którą posiadał – tłumaczy Cezary Gmyz – pozwoliły mu na rozproszenie podejrzeń. Kotowski znał języki, prezentował się dobrze i, co najważniejsze, był bardzo przydatny dla polskich du-

chownych przebywających w Watykanie. On z kolei starał się być bardzo pomocny, wielu osobom mocno ułatwiał załatwienie najróżniejszych spraw i w ten sposób wkładał się w ich łaski. Załatwiał przedłużenia paszportu, pomagał obejść jakieś biurokratyczne bariery”[17].

Podczas pobytu w Rzymie Kotowski nie mógł też narzekać na finanse. Otrzymywał oficjalną pensję dyplomaty, do której do-

chodził jeszcze niejawni etat w SB. Dysponował również znacznym funduszem operacyjnym, a jego stołeczne mieszkanie wykorzystywał resort, z czego oficer także czerpał dochody.

Kotowski „szybko stał się takim naturalnym elementem pejzażu w Watykanie i znał dobrze większość tamtejszej polskiej kolonii”. Regularnie spotykał się z jej przedstawicielami, dobrze poznał księdza Adama Bonieckiego,

redaktora naczelnego polskiej edycji „L’Osservatore Romano”. Bońcki nie został wprowadzicie współpracownikiem SB, powszechnie zresztą znana była jego antykomunistyczna postawa, ale czasami jednak „za dużo mówił”. A takie sytuacje Kotowski potrafił znakomicie wykorzystać.

Interesował się zresztą nie tylko sprawami kościelnymi, wspominał, że odegrał pewną rolę przy transferze Zbigniewa Bońka

do Juventusu Turyn. Nie jest to wykluczone – w czasach PRL legalny wyjazd piłkarzy za granicę był bowiem sprawą polityczną.

„[...] pewien mój znajomy, pracownik włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w czasie naszej okazjonalnej rozmowy, wspomniał, że prezes klubu Roma – Viola, i jego syn, wysoko oceniają zdolności piłkarskie Zbigniewa Bońka i chcieliby, aby grał w ich klubie, ale nie wiedzą, jak dopro-



wadzić do rozmów w tej sprawie. Zaoferowałem moją pomoc i stosownym kanałem rezydentury przekazałem informację w tej sprawie do kraju. Nawiązano rozmowy. Sprawa się jednak nie sfinalizowała z uwagi na wysoką cenę, jaką podyktował PZPN. Jednak rozgłos, jaki powstał w związku z tymi rozmowami, spowodował to, że Zbigniewem Bońkiem zainteresował się klub z Turynu, który zgodził się wyłożyć

bardzo wysoką sumę (ponad 3 miliony dolarów) i transfer powiódł się. Jestem przekonany, że Zbigniew Boniek nie wie nic o mojej roli w jego sprawie”**[18]**.

Kotowski nigdy nie został oficjalnie zdekonspirowany. Po czterech latach pobytu w Rzymie w ramach normalnej wymiany personelu odwołano go do Warszawy. Wywiad nigdy bowiem nie przedłużał kadencji swoich funkcjonariuszy, zawsze mieli sprawiać wra-

żenie normalnych dyplomatów.

W kraju powrócił do pracy w IV Departamencie, oficjalnie był zatrudniony w Urzędzie do spraw Wyznań. Z tego powodu często podróżował do Włoch, był również organizatorem pierwszej pielgrzymki kapelanów wojskowych do Katynia. Zajmował się także przygotowywaniem konkordatu ze Stolicą Apostolską, doszło nawet do tego, że jego osobę brano pod uwagę jako pierwszego pol-

skiego ambasadora przy Watykanie. Jednak po upadku komunizmu w Polsce sprawa nie doszła do skutku, Kotowski stracił pracę w Urzędzie do spraw Wyznań, nie miał też szans na pozytywną weryfikację jako oficer SB.

„[...] wydaje mi się, że w tej akurat sprawie – mówi Gmyz – musiało być zawarte jakieś nieformalne porozumienie między Kościołem a solidarnościowym rządem, zapewne tylko ustne. Zasta-

nawiam się tylko, kiedy? Może tuż przed Okrągłym Stołem, może zaraz po nim. Ale warto zwrócić uwagę, że właściwie cała agentura z rezydentury watykańskiej została wyrzucona z pracy. Wszyscy oficerowie, którzy byli zaangażowani w pracę wywiadowczą przeciw Stolicy Apostolskiej, czy to pracujący w MSZ, czy w MSW, stracili posady. [...] 17 stycznia 1990 roku centrala wysłała do rezydentury watykańskiej szyfrogram poleca-

jący zwolnić całą agenturę, wszystkie osobowe źródła informacji z wyjątkiem dwóch cudzoziemców, po czym zwinięto całą siatkę oficerów zajmujących się Watykanem”[19].

Kotowski w stopniu podpułkownika przeszedł na emeryturę (miał wówczas 49 lat) i zajął się handlem – bez większego powodzenia. Ostatecznie wraz z żoną przeprowadził się na Podlasie, do Dąbrowy Białostockiej, gdzie po-

święcił się malarstwu. Był dobrym specjalistą od historii sztuki, ale talentu plastycznego jednak nie posiada.

„[Żyje] zupełnie inaczej, niż wyobrażamy sobie emeryturę funkcjonariuszy peerelowskiego reżimu – relacjonuje Gmyz. – Mieszka w małym mieszkanku w bloku – 35 metrów kwadratowych. Przyjechałem do niego zimą, w styczniu czy lutym. Pamiętam, że było wtedy bardzo zimno. Przyjął

mnie pyzami. Poznałem także jego żonę. Mieszkanie obwieszane jest od podłogi po sufit obrazami autorstwa samego Kotowskiego, który – powiedzmy to sobie szczerze – nie jest wybitnym malarzem”[20].

Dawny agent skarżył się, że gdy ujawniono jego przeszłość na łamach prasy, to „po latach spokoju sąsiedzi patrzą na niego wilkiem”. Dlatego też spisał swoje wspomnienia, chcąc wykazać, że



nic złego nie zrobił polskiemu Kościołowi. Chętnie też udziela konsultacji dziennikarzom interesującym się sprawami infiltracji Kościoła przez SB. Najwyraźniej „Piętro” nadal chce czuć się ważny i potrzebny...

## *STUDENT Z KRAKOWA*

Kotowski mógł być szefem

rezydentury wywiadu w Watykanie, ale nawet on nie znał najlepiej zakonspirowanego agenta. Jezuita Tomasz Turowski był bowiem „nielegałem”, czyli szpiegiem działającym poza oficjalnymi strukturami wywiadu. On i jemu podobni stanowili absolutną elitę zawodu, byli to ludzie zwerbowani we wczesnej młodości, którzy przez całe lata pozostawali w uśpieniu, wtapiając się w otaczające ich środowisko.

„W wywiadzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej »nielegałów« w różnych okresach czasu było od jedenastu do czternastu. Działali w USA, Wielkiej Brytanii, we Francji, w Niemczech, Szwecji, Szwajcarii, Austrii i w Watykanie. Ich centrala mieściła się w oddaleniu od głównych budynków MSW przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Szkolenia odbywały się w mieszkaniach operacyjnych, a cykliczne indywidualne odprawy w

tajnym ośrodku w Magdalence”[21].

Tomasz Turowski idealnie nadawał się do takiej służby. Pochodził z dobrej krakowskiej rodziny, jego ojciec był prawnikiem, członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej, uczestnikiem wojny z bolszewikami w 1920 roku. Następnie pełnił obowiązki sędziego w Równem na Wołyniu, a później sędziego w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. Podczas II wojny

światowej działał w szeregach AK, walczył w Powstaniu Warszawskim, a w czasach PRL był „adwokatem, członkiem okręgowej rady adwokackiej w Krakowie”[22]. Turowscy przyjaźnili się z bliskimi Karola Wojtyły, obracali się zresztą w tych samych kręgach towarzyskich, co przyszły papież.

„W Krakowie moja rodzina była dobrze zakotwiczona – przyznawał agent – moja ciotka Irena Turowska była przez pewien czas

dyrektorem działu Jagiellonki, biblioteki UJ. Znała tutejsze środowisko intelektualno-naukowe, znała także rodzinę Ledóchowskich i kręgi krakowskiej kurii biskupiej”[23].

Turowski studiował rusycystykę w Krakowie, aktywnie też uczestniczył w pracach tamtejszego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Nie przeszkodziło mu to jednak we wzięciu udziału w zamieszkach studenckich w marcu

1968 roku, z tego powodu był też przesłuchiwany przez SB. Istnieją podejrzenia, że właśnie wówczas został współpracownikiem bezpieczeństwa, a gdy wykazał się dużym talentem wywiadowczym, to uznano, że może być z niego całkiem dobry oficer.

W gronie znajomych uchodził za „młodego człowieka o duszy artysty”. Opublikował dwa tomyki poetyckie, jego wiersze drukowano w „Studencie”, „Życiu Li-

terackim”, „Poezji”, współpracował też z Piwnicą pod Baranami. Nie ukończył jednak nauki na Uniwersytecie Jagiellońskim, podobno musiał ją przerwać z powodu zaangażowania w studenckie protesty. Edukację dokończył w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, niewykluczone zresztą, że zmiana uczelni została zaplanowana przez prowadzących go oficerów SB. Miało to uwiarygodnić Turowskiego w oczach otoczenia.



Sam przyznawał po latach, że do pierwszej próby werbunku doszło pod koniec 1969 roku po wieczorze autorskim Stanisława Wałacha. Ten był partyzant AL i szef krakowskiej SB (!) zaproponował spotkanie, do którego ostatecznie doszło trzy miesiące później.

„[...] zaprosił mnie do mieszkania kilkaset metrów od placu Wolności – wspominał Turowski. – Poszedłem. Dla mnie

było jasne, że nie jestem w prawdziwym mieszkaniu. Miało wystrój typowo mieszczański. Trzy pokoje z kuchnią. Panował tam idealny porządek na półkach, idealny porządek w kuchni, prawie aseptyczny.

I Wałach mówi do mnie tak: »Doszedłem do wniosku, że pan mógłby służyć Polsce, mógłby pan naprawdę coś dobrego dla Polski zrobić. Zastanawiam się, czy pan nie nadawałby się do pracy w

wywiadzie«. Odpowiedziałem, że ja się też w tej chwili nad tym zastanawiam”[24].

Turowski dostał 24 godziny na podjęcie decyzji, a gdy wyraził zgodę, to usłyszał, że warunkiem przyjęcia do służby jest ukończenie studiów na WSP. Przez następne dwa lata nikt się z nim nie kontaktował, aż wreszcie zgłosił się do niego pułkownik Jan Jakowiec. Poinformował, że niebawem rozpocznie się indywidualne szko-

lenie i od tej pory nie będzie już możliwości wycofania. Ale Turowski nie zamierzał zrezygnować z pracy w wywiadzie.

## *DYLEMATY*

Najlepszym źródłem do poznania psychiki Turowskiego jest wydana w 2013 roku książka Agnieszki Kublik i Wojciecha

Czuchnowskiego *Kret w Watykanie*. Dziennikarze Agory przeprowadzili z nim szereg rozmów, czego efektem jest obszerny wywiad rzeka, w którym agent opowiada o swoim życiu. Podaje dużą liczbę intrygujących informacji, często trudnych do zweryfikowania, o wielu jednak sprawach nie chce rozmawiać, zasłaniając się tajemnicą służby. Z lektury wyłania się intrygujący obraz człowieka, który przez niemal całe życie uda-

wał kogoś innego, niż był w rzeczywistości.

Nie wydaje się zresztą, aby kiedykolwiek przeżywał specjalne rozterki duchowe. Po latach tłumaczył swoją decyzję lojalnością wobec państwa polskiego, uważał bowiem, że „dobre rakiety z atomowymi głowicami, należące do sprawiedliwych i dobrych krajów, były wycelowane w jego kraj”. To pozwalało mu na pracę z czystym sumieniem, gdyż obowiązkiem

każdego Polaka była walka z tym zagrożeniem. Przy okazji umniejszał jednak fakt, że z jego działalności korzystało również KGB.

„Jeśli chodzi o służby specjalne polskie, to XIV wydział I departamentu MSW, wywiad nielegalny, był oazą suwerenności. Rosjanie nie mieli do tego zasobu ludzkiego żadnego dostępu. Oczywiście byłoby naiwnością powiedzieć, że nie używali zdobytych przez nas informacji, ale nie było

żadnych bezpośrednich ingerencji”[25].

To była oczywista nieprawda, gdyż żaden z wywiadów państw demokracji ludowej nie był niezależny. Służby PRL, NRD czy Bułgarii miały tylko tyle samodzielności, na ile pozwalała moskiewska centrala.

„[XIV departament] był pod ścisłą kontrolą sowiecką – oburzał się były przyjaciel Turowskiego, Piotr Jegliński. – W ogóle



śmieszny mnie to, co ten biedny człowiek roi, gdy mówi, że Sowieci nie wiedzieli o tym departamencie. A przecież to oni go założyli na przełomie 1944 i 1945 roku. On był kopia sowieckiego departamentu nielegalnego. To był pomysł Dzierżyńskiego. Jeden z najlepszych jego pomysłów – pod inną tożsamość podstawiano agentów i dorabiano im legendę”[26].

Turowski, opowiadając o swojej służbie, czasami zdradzał

również objawy typowo esbeckiej amnezji. Gdy wspominał przysięgę, którą składał jako funkcjonariusz wywiadu, to twierdził, że „socjalistyczne elementy w tej przysiędze nie istniały”, natomiast „były elementy dotyczące lojalności i służby państwu polskiemu”. Najwyraźniej zapomniał o kilku interesujących fragmentach roty ślubowania.

„[...] pracowali w peerelowskim MSW i byli esbekami –

mówi o oficerach wywiadu Cezary Gmyz. – Mieli służbowe legitymacje esbeckie, składali taką samą przysięgę jak inni esbecy, w której wprost występowała nazwa »Służba Bezpieczeństwa« – tam były całe takie formułki, że przysięgają jako oficerowie SB – bronić socjalizmu i tak dalej. Taką przysięgę składał również Tomasz Turowski”[27].

Nowy nabytek wywiadu nie należał do ludzi kwestionujących

polecenia przełożonych. Bez słowa przyjął decyzję, że po odbyciu szkolenia indywidualnego zostanie skierowany do zakonu jezuitów. Zaplanowano bowiem dla niego tzw. „przewidywaną ścieżkę kariery”, a absolwent rusycystyki idealnie nadawał się na szpiega w szeregach elitarnego zgromadzenia. Sprawę ułatwiał również fakt, że Turowski był wówczas człowiekiem niewierzącym.

## *WŚRÓD JEZUITÓW*

Wywiad PRL doskonale orientował się w sytuacji zgromadzenia Towarzystwa Jezusowego w Rzymie. Wiedziano, że jezuici odczuwają poważne braki w asystencji słowiańskiej nastawionej na pracę na terenie ZSRR. Wprawdzie do Włoch przyjeżdżali kandydaci pochodzący z sowieckich republik, ale często podejrzewano ich o współpracę z KGB. W tej sy-

tuacji powołanie zakonne Turowskiego, rusycysty z zawodu, stanowiło okazję, z której jezuici nie mogli nie skorzystać.

Tym bardziej że agent umiejętnie budował własny życiorys. Po studiach przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował w Ośrodku Dokumentacji i Studiów Społecznych. Wydawano tam kwartalnik „Chrześcijanin w Świecie”, na jego łamach Turowski zajmował się tematyką rosyjską. Po

pewnym czasie nadeszła pora na wstąpienie do zakonu.

„[...] zgłosił się najpierw na furte zakonną w Krakowie – relacjonował Gmyz – ale nie został przyjęty. Zdziwienie wywołał fakt, że absolwent rusycystyki, w dość nietypowym wieku – bo zwykle zgłaszali się młodsi kandydaci – ot, tak puka i mówi, że chce do zakonu, a potem do Rzymu. Kraków, czyli południowa prowincja jezuitów, nie przyjął Turowskiego, ale

ten, niezrażony, kilka miesięcy później zgłasza się na furkę w Warszawie, przy Rakowieckiej, czyli do jezuickiej prowincji północnej. Tam zostaje przyjęty przez jednego z ojców, który też najpierw dopytuje się, jak to się stało, że Turowski nagle poczuł powołanie, ale przyszły as wywiadu PRL, ma już do sprzedania ulepszoną historijkę. Otóż twierdzi, że jego postanowienie jest bardzo mocne, ale boi się, że w związku z tym, że



jest absolwentem rusycystyki, będzie go nachodziła SB. Prosi więc tylko, by wysłano go do nowicjatu w dowolne miejsce za granicą”[28].

Mistyfikacja w pełni się udała. Turowski na kilka dni trafił do nowicjatu w Kaliszu, po czym skierowano go do Włoch. Był do tego doskonale przygotowany, przezornie zaopatrzył się w (autentyczne!!!) listy polecające od metropolity krakowskiego Karola

Wojtyły.

„Poszedłem do niego – wspominał po latach – i powiedziałem, że jadę na kurs języka do Włoch, nie mam jakichś specjalnych warunków finansowych i gdyby można prosić o wsparcie na miejscu, to proszę. I Wojtyła napisał otwartym tekstem, że przyjedzie człowiek i żeby okazać mu wsparcie”[\[29\]](#).

Turowski odbył studia językowe, po czym wstąpił do nowi-

cjatu w Ciampino na przedmie-  
ściach Rzymu. Przez rok nie utrzy-  
mywał żadnych kontaktów z cen-  
tralą, zresztą pierwsze lata działal-  
ności agenta nielegalnego są tzw.  
okresem zamrożenia.

„Stworzenie oficera niele-  
gała to proces kilkunastoletni –  
tłumaczył szpieg. – Nie chodzi o  
to, żeby on zdobył jedną informa-  
cję i wpadł, ale o to, żeby jeśli głę-  
boko wejdzie w środowisko, zdo-  
był takich informacji sto. To jest

kupiecka kalkulacja. No dobrze, przekazał, wykonał ruch, który został zauważony, bo nie można nigdy wykluczyć, i na tym się zabawa kończy. Cała ciężka praca, przygotowanie do niczego”[30].

Turowski nie miał natomiast większych problemów podczas samego nowicjatu, chociaż w przypadku jezuitów jest to proces wyjątkowo skomplikowany i trudny. Ale oficerowie SB, którzy go wyselekcjonowali, byli fachow-

cami i dobrze wiedzieli, kogo werbuja.

„[...] miałem jasny punkt odniesienia – wyjaśniał agent szpieg – [...] XIV wydział, nielegalny, to była formuła – nie obawiałbym się użyć tego słowa – zakonna. Tam byli ludzie przekonani, że po pierwsze są w elicie, po drugie lojalnie wykonują swoje zadania, po trzecie służą państwu, które może w tej chwili się nie podobać, ale jest jedynym państwem,

przynajmniej w pojęciu tych, którzy tam służą. W związku z tym, jeżeli człowiek jest oficerem, składa przysięgę, to wtedy realizuje zadanie. Więc ja realizowałem zadanie”[31].

Nie widział też nic złego w tym, że regularnie spowiadał się i przystępował do komunii. Tłumaczył, że przecież „sakramenty są tylko dla wierzących”, i nie traktował swego postępowania jako świętokradztwa. Podczas wspól-

nych modlitw przeprowadzał wewnętrzną refleksję na wzór ćwiczeń z filozofii zen, a kamuflaż ułatwiał mu fakt, że jezuici mają zwyczaj „przyjmować przy modlitwie taką pozycję, jaka najbardziej odpowiada ich ciałom”.

I pomimo że okłamywał członków zakonu, to nigdy nie uważał się za zdrajcę. Tłumaczył, iż przyszedł do zakonu jako oficer wywiadu, człowiek niewierzący, wobec czego nie mógł zdradzić

tych, których rozpracowywał.

„[...] zdrajcą był na przykład Adam Włoch – mówił Turowski wiele lat później – ksiądz zatrudniony w Radiu Watykańskim i pracujący w środowisku Papieża, zdrajcą był »Russo« [polski jezuita o. Stanisław Szłowieniec – S.K.], który był papieskim tłumaczem z rosyjskiego i był przy wszystkich najważniejszych spotkaniach, zdrajcą był ojciec Hejmo, bo oni zakwestionowali wartości, z któ-



rymi się kiedyś identyfikowali. [...] Oni przyjmowali ten sakrament, będąc w sytuacji grzechu śmiertelnego, bo donosili, więc teoretycznie też od czasu do czasu musieli się spowiadać, to byli rzeczywiście zdrajcami. Moja sytuacja była łatwiejsza”[32].

## *W WATYKANIE*

Nowicjat jezuicki trwa dwa lata, po 12 miesiącach Turowski dostał jednak zgodę na odwiedzenie rodziny w kraju. Nawiązał wówczas kontakt z centralą, a po powrocie do Włoch w sierpniu 1976 roku przeniósł się do Frascati pod Rzymem, gdzie miał odbyć następny etap edukacji zakonnej.

„Budynek stoi na skarpie – wspominał po latach – i ma cudowny widok na Rzym. Czasami patrzyłem z okna mojego pokoju i

myślałem sobie, że to jest jak scena kuszenia z *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa: masz tu Rzym na wyciągnięcie ręki”[33].

W październiku Turowski rozpoczął studia filozoficzne na Uniwersytecie Gregoriańskim, gdyż „każdy jezuita musi zrobić co najmniej dwa fakultety religijne – nie mówiąc o świeckich, co też jest pożądane”. Przy okazji poznawał odpowiednich ludzi, to była elitarna uczelnia papieska, a jej

absolwenci obejmowali najważniejsze watykańskie stanowiska. Po raz pierwszy spotkał się też z kurierem z Warszawy, „nielegalowie” pozostawali bowiem poza zwyczajowymi metodami kontaktów służb wywiadowczych. Na zakończenie nowicjatu złożył pierwsze śluby zakonne, z perspektywy czasu uważał jednak, że do niczego go nie zobowiązywały.

„[...] mówi się o mnie »eks-jezuita«. To tak, jakby powiedzieć

o kleryku »eksbiskup«. Żeby zostać jezuitą, oprócz tych pierwszych ślubów, trzeba przejść pełną formację filozoficzną, która trwa minimum trzy lata, a na poziomie magisterskim przynajmniej cztery, plus formację teologiczną, która trwa minimum trzy lata lub pięć i potem następuje rok refleksji, medytacji dodatkowych, no i święceń następują dopiero po tym wszystkim, a potem złożenie tzw. czwartego ślubu posłuszeństwa pa-

pieżowi, oprócz trzech zwyczajowych: ubóstwa, posłuszeństwa i czystości”[34].

Nie wszyscy mają jednak podobne zdanie na ten temat. Kapelan „Solidarności” jezuita, ojciec Aleksander Jacyniak, twierdzi, że Turowski kłamał, mówiąc, iż nigdy nie był członkiem zakonu.

„Obiektywnie sprawy mają się inaczej – wyjaśniał ojciec Jacyniak. – Pan Tomasz Turowski mija się z prawdą, mówiąc, że nie był

jezuitą. Mija się z prawdą, mówiąc, że nie złożył ślubów, gdy tymczasem złożył śluby wieczyste już po dwuletnim nowicjacie i te śluby odnawiał co pół roku”[35].

Bez względu na to, czy Turowski był pełnoprawnym członkiem zakonu, czy nie, to trzeba przyznać, że jego szpiegowska kariera rozwijała się pomyślnie. Został zatrudniony w sekcji polskiej Radia Watykańskiego, zadecydowały o tym listy polecające oraz

znajomości z krakowskich czasów. Bardzo pomocne okazały się również kontakty z redakcją „Chrześcijanina w Świecie”, na łamach kwartalnika publikowało bowiem kilku prominentnych jezuitów. Nikt też Turowskiego nie podejrzewał o pracę dla wywiadu PRL, był tak znakomicie zakonspirowany, że zaczęła go nawet rozpracowywać polska rezydentura w Rzymie...

„Szybko nawiązuje szerokie



kontakty wśród polskiego duchowieństwa w Watykanie – relacjonował Cezary Gmyz. – Ta kolonia nie jest jeszcze wtedy wielka – mówimy o czasach sprzed wyboru Karola Wojtyły na papieża. Staje się osobą, która obraca się głównie między Collegium del Gesù przy głównym kościele jezuickim, gdzie jest pochowany Ignacy Loyola, Fiumicino a innymi jezuickimi ośrodkami rozrzuconymi po całym Rzymie. Oczywiście nie

kontaktuje się z ambasadą PRL, gdzie mieściła się rzymska rezydentura wywiadu”[36].

Meldunki do Warszawy zaczął nadsyłać w 1976 roku. Podobno zlecono mu nawiązanie kontaktów ze środowiskiem kapelanów NATO (rekrutowali się z grona jezuitów), co miało mu umożliwić zdobywanie ważnych informacji. Wszystkie te plany runęły jednak w październiku 1978 roku, gdy na papieża został wy-

brany Karol Wojtyła. Decydenci z warszawskiej centrali wywiadu nagle zrozumieli, jak ważnego szpiega ulokowali w Watykanie.

Po dwóch tygodniach pojawił się kurier, który przywiózł nowe instrukcje. Turowski miał zacząć interesować się polityką watykańską i za wszelką cenę wejść w najbliższe otoczenie papieża Polaka. Powinien „starać się mieć jak najszerszą informację”.

„W centrali zapada ważna

dla mnie decyzja – opowiadał Turowski. – Dostaję polecenie, które, przyznam, bardzo mi odpowiada, a którego bym się nigdy nie spodziewał. Otóż polecono mi dane dotyczące zagrożeń i luk w bezpieczeństwie Jana Pawła II przekazywać bezpośrednio do odpowiedzialnych za nie w Watykanie, czyli do służb watykańskich, konkretnie do ojca Roberto Tucciego, którego już dobrze znałem, dzięki temu, że był dyrektorem Radia Watykań-

skiego”[37].

## *W POBLIŻU JANA PAWŁA II*

Po latach szpieg twierdził, że otrzymał rozkaz, aby za wszelką cenę chronić papieża przed zamachem. Brzmi to dość nieprawdopodobnie, ale Turowski upierał się przy tych rewelacjach. Podczas kolejnego pobytu w Pol-

sce miał usłyszeć odpowiednie instrukcje od swojego przełożonego, pułkownika Sylwestra Flaka:

„[...] nam zależy na bezpieczeństwie Papieża. Zależy nam dlatego, że gdyby mu coś się stało, to pierwsze podejrzenie by było: o, to te wredne komuchy z Polski, bo któż inny by miał w tym interes, zrobiły wszystko, żeby tej osobie coś się stało. Otóż nie jesteśmy tym zainteresowani, a to z tego powodu, że mamy w tej chwili pod-

minowaną sytuację społeczną w Polsce”[38].

Trudno mieć pełne zaufanie do relacji agenta, ale trzeba przyznać, że wywody Flaka wydają się całkiem logiczne.

„To nie jest kwestia jakiejś specjalnej miłości – kontynuował pułkownik – tylko kalkulacji politycznej. Gdyby się coś temu człowiekowi stało, konsekwencje dla spokoju społecznego w Polsce byłyby straszne, groziłoby to nawet

jakimś niekontrolowanym wybuchem i tym, że ewentualna pomoc naszych sojuszników okazałaby się konieczna”[39].

Dziwne natomiast wydaje się zachowanie Turowskiego – zawsze uważał, że „oficer wywiadu ma takie plany, jakie ma centrala”, a teraz twierdził, że odmówiłby zbierania informacji, które mogłyby posłużyć do zamachu na Ojca Świętego. I powoływał się na lojalność jezuitę wobec papieża,



choć jednocześnie upierał się, że właściwie nigdy nie był zakonnikiem.

Mało wiarygodna wydaje się również jego relacja o kontaktach z ojcem Robertem Tuccim, człowiekiem nadzorującym watykańską ochronę.

„[...] często korzystałem z posiłków w domu pisarza, gdzie zaglądali radiowcy. Na te same posiłki przychodził ojciec Tucci, a więc starałem się być blisko niego

przy stole i opowiadać moje wrażenia. Mówiłem na przykład, że wchodzę do Watykanu przez Bramę Świętej Anny, przechodzę przez dolne drzwi wieży Świętego Mikołaja, idąc krętymi schodami na poziom mniej więcej pięćdziesięciu metrów, i co zauważam? Że na tym odcinku prawie stu metrów schodów, który prowadzi do górnego wyjścia z wieży, otwierającego się na zewnętrzny dziedziniec banku, obok, po lewej stronie, są

drzwi do windy prowadzącej bezpośrednio do apartamentów Papieża. Nie ma strażnika, nie ma nic. Dopiero na dziedzińcu jest budka strażnika z żandarmem watykańskim, jedynym, który teoretycznie ma zapewnić bezpieczeństwo dwóch strategicznie ważnych dla państwa watykańskiego punktów”[40].

Podobno ojciec Tucci chętnie słuchał uwag Turowskiego, wprowadzając modyfikacje w

ochronie papieża. Zadowolił się też prostym wyjaśnieniem, że agent dlatego interesuje się bezpieczeństwem Ojca Świętego, gdyż jest to obowiązek Polaka i jezuity.

A chociaż członków Towarzystwa Jezusowego obowiązywały śluby ubóstwa, to ojciec Tucci miał odwdzięczyć się materialnie Turowskiemu:

„[...] pewnego dnia zaprosił mnie do swojej rezydencji w wieży

San Giovanni, na terenie Watykanu. I nagle mówi: »Ty bardzo wiele robisz«. Ja na to: »Staram się«. I ojciec Tucci wstaje od biurka, odchyła obraz, otwiera sejf schowany za obrazem, wyjmuje dużą paczkę pieniędzy i mówi: »Jesteś zakonnikiem, klerykiem, wiem, że masz żyć w ubóstwie, ale jest zasada, że jak przełożony daje ci coś i mówi, na co masz to wykorzystać, to masz to wykorzystywać«. I mówi: »Tych pieniędzy nie

wolno ci włożyć do wspólnej kasy zakonnej, kup sobie przyzwoite buty, jakiś garnitur dobry, nawet jak chcesz, jedź na wakacje«”[41].

Szpieg zawsze podkreślał, że rozpracowywał nie papieża, tylko państwo Watykan. Jednak pewien zachowany dokument wskazuje na coś zupełnie innego, zaprzecza też twierdzeniu, że agent starał się chronić Jana Pawła II przed niebezpieczeństwem:

„Źródło nr 10862 [Turow-

ski – S.K.] podało: Według wypowiedzi brygadiera Ferdinando de Luca z 1-szego Reparto Celere di Roma stan komisariatu Polizia di Sicurezza przy Watykanie zostanie powiększony o 10 policjantów i 7 podoficerów. Część z nich będzie wywodzić się z DIGOS [antyterrorysty – S.K.]. Akceptację kandydatów prowadzi prałat Manduzzi”[42].

Notatka ta nosi datę 15 lutego 1980 roku, było to na kilkana-

ście miesięcy przed zamachem na Jana Pawła II na placu św. Piotra...

## *RAPORTY*

„[...] wchodząc w system wywiadowczy – wspominał Turowski – uważałem, że służę państwu takiemu, jakie jest, bo innego wtedy nie było. Dla mnie idea służenia państwu była nadrzędna. I to



samo było w Kościele. Spotkałem swoje zwierciadlane odbicie wśród monsignorów [dostojników – S.K.], w kurii watykańskiej również, czyli ludzi przekonanych do idei Kościoła jako takiego, Kościoła instytucji, ludzi niewierzących absolutnie, którzy zajmowali wysokie stanowiska, ale którzy byli przekonani, że dobrze czynią, służąc instytucji Kościoła”[43].

Zachowało się około 200 dokumentów sporządzonych na

podstawie raportów Turowskiego. Rusycysta z Krakowa okazał się niezwykle utalentowanym szpiegiem i wkrótce był po imieniu z wieloma miejscowymi prominentami, miał też dobre kontakty z bezpośrednim otoczeniem papieża. Prowadził polską wersję dziennika watykańskiego, co zapewniało mu dostęp do coraz większej liczby dokumentów.

Raporty Turowskiego dotyczyły niemal wszystkich aspektów

funkcjonowania Watykanu: polityki zagranicznej, sytuacji wewnętrznej, spraw kadrowych. Szczególne znaczenie miały jednak raporty Turowskiego na temat polskiego Kościoła oraz kontaktów Stolicy Apostolskiej z wiernymi w ZSRR.

„[...] administrację kościelną i Watykan traktowałem jako struktury państwowe – tłumaczył – które [...] są nie mniej grzeszne niż w każdym innym

świeckim państwie. Zresztą to wi-  
dać dziś po wyciekach tajnych do-  
kumentów watykańskich i ich tre-  
ści, a ówczasnie na przykładzie  
wielkiego skandalu z mediolań-  
skim Banco Ambrosiano i Ban-  
kiem Watykańskim, IOR (Istituto  
per le Opere di Religione), który  
się skończył zabójstwami, samo-  
bójstwami i ogromnymi naduży-  
ciami.

Rozgraniczałem więc te  
dwa obszary, sacrum i profanum. I

o ile mogłem, starałem się nie włączyć w obszar sacrum”[44].

Czy jednak na pewno? Turowski był oficerem wywiadu PRL, profesjonalistą i „ani wtedy, ani teraz” nie przeżywał żadnych rozterek duchowych. Działając w kościelnych strukturach, nie mógł oddzielić religii od polityki, nie przejmował się też faktem, że z powodu jego działalności ginęli ludzie.

„Miałem w ręku jego raport

– mówił Piotr Jegliński – na temat rozmowy Ojca Świętego z generałem jezuitów na temat rozpowszechniania literatury religijnej na Związek Sowiecki, w którym były wymienione nazwiska osób żyjących w Związku Sowieckim. Chciałbym wiedzieć, co się stało z tymi ludźmi. Jaką cenę zapłacili za jego donos?”[45].

Nie był to jednostkowy przypadek, zdarzyło się również, że zdekonspirował działającego

potajemnie w Kirgistanie jezuitę, ojca Szulca, który został zatrzymany przez KGB. Nie wiadomo, jakie były jego dalsze losy.

Turowski musiał domyślać się efektów swoich raportów na temat wiernych w ZSRR, wiedział bowiem, że trafiają one z Warszawy do Moskwy, a stamtąd do Berlina, Pragi czy Budapesztu. Potwierdzał to były szef UOP i Agencji Wywiadu, Zbigniew Siemiątkowski:

„Istnieją dokumenty poświadczające, że na wszystkich forach międzynarodówki wywiadów krajów socjalistycznych, bo coś takiego było [...] Watykan oceniano jako polską specjalność. I istnieją dokumenty, że ten urobek operacyjny z Watykanu był dostarczany do tych stolic krajów socjalistycznych, które go w danym momencie najbardziej potrzebowały”[46].

Szpieg był konsekwentny do samego końca. Ostatni jego do-



nos na filologa radzieckiego Awierincewa pochodzi z marca 1988 roku...

Dużą rolę w działalności Turowskiego w Watykanie odgrywały jego osobiste kontakty. Jako dziennikarz Radia Watykańskiego i zaufany członek zakonu bywał zapraszany na prywatne śniadania do papieża, znał praktycznie każdego tamtejszego Polaka.

„Według informacji źródła 10862 – czytamy w notatce SB z

marca 1981 roku – osoby z polskiego otoczenia papieża m.in. ks. ks. J. Paetz i Słaboń twierdzą, że papież w poufnej rozmowie z L. Wałęsą zwrócił jego uwagę na:

– konieczność ugody z władzami, jednak za cenę maximum ustępstw władz,

– potrzebę rozbudowy programu ideowego NSZZ »Solidarność« w oparciu o katolicką naukę społeczną z jednoczesnym ograniczaniem lewicowych idei KSS

KOR w »Solidarności«”[47].

Zdobywanie informacji nie było dla niego sprawą specjalnie trudną, wydaje się bowiem, że gadulstwo stanowiło dominującą cechę watykańskich duchownych. Nawet tych najbliższych papieżowi:

„Źródło nr 10862 podało:

[...] Według informacji ks. Stanisława Dziwisza, podczas poufnej rozmowy papieża z [prezydentem] Carterem, J.P. II opowie-

dział się za koniecznością utrzymania pokoju, ale zachował pozycję konfrontacji z komunizmem. Natomiast wypowiedział się przeciwko polityce popierania integryzmu muzułmańskiego, szczególnie w funkcji antyradzieckiej, obliczonej na zaktywizowanie w ZSRR grup muzułmańskich. Podkreślił konieczność uwzględnienia interesów chrześcijan bliskowschodnich”[48].

## *PARYŻ*

Szpiegowska aktywność Turowskiego nie ograniczała się wyłącznie do Watykanu. Jesienią 1980 roku został skierowany na studia do Francji, co warszawska centrala przyjęła bez większych emocji. W Polsce trwał karnawał „Solidarności”, a pobyt agenta w ośrodku jezuickim Meudon pod Paryżem otwierał przed nim nowe możliwości. Było to bowiem wy-

jątkowe miejsce.

„[...] W Ośrodku Studiów Rosyjskich w Meudon – wyjaśniał Turowski – uczyli się studenci z Georgetown, elitarnego uniwersytetu amerykańskiego, zresztą prowadzonego przez jezuitów. Georgetown to taka kuźnia kadr dyplomacji amerykańskiej. Byli tam też studenci z akademii wojskowej w Saint-Cyr, która z kolei szkoliła większość attache wojskowych Francji na całym świecie. No i byli

tam studenci brytyjscy, oficerowie MI 5 i MI 6”[49].

Jednocześnie zajął się rozpracowywaniem polskiej emigracji skupionej wokół Piotra Jeglińskiego i jego wydawnictwa Editions Spotkania. Działalność tej grupy była bowiem wyjątkowo niebezpieczna dla komunistów.

„Dzięki rekomendacji »Tygodnika Powszechnego« – potwierdza Cezary Gmyz – Turowski zaprzyjaźnił się z Jeglińskim,

człowiekiem, za którym w owym czasie uganiały się służby całego bloku wschodniego [...]. Jegliński miał wtedy wyrok śmierci u komunistycznych służb. Bardzo chcieli go dopaść – Stasi, KGB, polska esbecja. Był uważany za jednego z najważniejszych wrogów komuny. Drukował na Zachodzie i szmuglował do Polski literaturę opozycyjną. Zawsze miał smykałkę do biznesu, stworzył bardzo prężny ośrodek”[50].



Editions Spotkania wyrosły na poważną konkurencję dla „Kultury” Jerzego Giedroycia, były też nastawione znacznie bardziej antykomunistycznie. Jegliński i jego współpracownicy często podróżowali do Rzymu, gdzie byli przyjmowani przez papieża i jego otoczenie. A to znacznie ułatwiało Turowskiemu działania.

„[Podobno] jego głównym zadaniem było śledzić NATO poprzez kapelanów – ironizował

Piotr Jegliński. – Jest to śmieszne. Cóż on tam mógł śledzić w Centre Russe w Meudon. Mógł najwyżej poznać paru pomniejszych zachodnich agentów. Jego głównym celem było śledzenie opozycji, czyli naszego środowiska. Był zwykłym kapusiem. Przecież te raporty są żałosne, pisane w duchu dialektyki marksistowskiej. Zresztą sam przeczytałem, jak jeszcze niedawno określał się jako markso-log”[51].

Po latach Turowski ma oczywiście na ten temat inne zdanie. I dó tego twierdzi, że to nie Jegliński miał zostać rozpracowany, ale jego współpracownik, Rafał Gan-Ganowicz. Podobno takie polecenie dostał podczas kolejnego pobytu w kraju:

„[...] tam pojawił się człowiek – informowano agenta – co do którego mamy poważne obawy. To dobry fachowiec od sabotażu, oficer, który ma na koncie wiele

misji jako najemnik i dziesiątki, a może setki zlikwidowanych ludzi. I przy tej narastającej fali rozgoryczenia [w Polsce wprowadzono już stan wojenny – S.K.] i agresji bojowej, że od działalności poprzez publikacje podziemne, od pracy przy powielaczach, może w Polsce dojść do aktów przemocy”[52].

Rafał Gan-Ganowicz faktycznie miał za sobą lata służby w charakterze najemnika w Afryce. Uchodził też za zajadłego antyko-

munistę, ale w latach 80. porzucił już czynną służbę (miał 50 lat) i pracował jako technik we włoskiej wytwórni kawy. Do Editons Spotkania wciągnął go Jegliński, a zarzuty, że obaj planowali zamachy terrorystyczne w kraju, brzmiały niepoważnie.

Turowski twierdził jednak coś zupełnie odmiennego i nawet zrelacjonował wizytę z Gan-Ganowiczem w pewnej willi pod Paryżem, gdzie razem przestrzeliwali

broń przeznaczoną dla polskiej opozycji. Trudno w to uwierzyć, ale szpieg całkiem poważnie opisywał, że paryscy opozycjoniści zamierzali obalić komunizm w Polsce za pomocą „parabellum 9 mm ze śrutem zamiast pocisków”...

„[...] to broń przydatna w kontakcie prawie bezpośrednim – twierdził Turowski. – Ona jest skuteczna przy strzale z czterech, pięciu metrów od celu, może

ciężko zranić, oślepić”[53].

Faktycznie, pistolety na śrut zawsze były podstawowym wyposażeniem partyzantki miejskiej i zapewne miały też posłużyć do rozbijania kolumn ZOMO.

## *KONTROWERSJE*

Mimo że miał przebywać we Francji, Turowski właściwie

cały czas krążył pomiędzy Paryżem a Watykanem. Wiele kontrowersji wzbudziła też jego obecność we Włoszech podczas zamachu na Jana Pawła II. Szpieg kategorycznie jednak temu zaprzeczał, twierdząc, że był wówczas nad Sekwaną.

Jest raport bodaj z maja 1981 roku – mówił Piotr Jegliński – wysłany do Warszawy przed zamachem na temat wizyty Ojca Świętego w Polsce. Wizyta miała



mieć miejsce krótko potem, ale z powodu zamachu do niej nie doszło. I jest dokument, który mówi o głównych tezach wystąpień Ojca Świętego, więc to wskazuje, że Turrowski musiał być w Rzymie. [...] Parę razy, kiedy formalnie był w Paryżu, widywałem go w Rzymie. Na przykład w »L'Osservatore Romano« u księdza Adama Bonieckiego [...]"[54].

Gdy była okazja, to przyjeżdżał również do Polski, gdzie

nie tylko składał raporty swym przełożonym w Magdalence, ale znalazł też czas, aby pojechać do Gdańska na spotkanie z Aleksandrem Hallem i Bogdanem Lisem. Obaj opozycjoniści ukrywali się przed SB, a Turowski występował wobec nich jako paryski jezuita i gorliwy antykomunista. Zapewne było to dalsze legendowanie, czyli tworzenie biografii wiarygodnej dla przeciwników PRL.

„[...] zrobił na mnie wraże-

nie bardzo inteligentnego człowieka – wspominał Aleksander Hall. – Pamiętam, że zwróciło moją uwagę, że zachowywał się mało księżowsko, bardzo był zainteresowany polityką”[55].

Rzeczywiście, obiegowe opinie na temat zakonników nie pasowały do agenta. Praktycznie przez cały czas chodził po cywilnemu, rzadko nawet zakładał kolo-ratkę. Zresztą zawsze ubierał się w podobny sposób, także wówczas,

gdy pracował dla Radia Watykańskiego.

„Nigdy w życiu nie wystąpiłem w sutannie – przyznawał. – Nosilem normalne koszule, na ogół czarne, z koloratką lub bez. Koloratki używałem tylko w miejscach służbowych, to znaczy na terenie Radia Watykańskiego czy podczas spotkań z hierarchami wysokiego szczebla, bo wypadało. Przyznaję, że budziło to w niektórych przypadkach zgrzytanie zę-

bów ze strony hierarchów, i były sugestie, żeby wkładać sutannę. [...] Przypomnę, że Ignacy Loyola sformułował to tak, że jezuita powinien zachowywać zewnętrzne formy takie jak średniej klasy człowiek swojej epoki, i koniec. A średniej klasy człowiek swojej epoki wtedy, w latach siedemdziesiątych, chodził w garniturze”[56].

W Meudon Turowskiemu zdarzały się także inne wykroczenia przeciwko regule zakonnej.

Prowadził bujne życie towarzyskie i zwracał dużą uwagę na płęć piękną, nie brakowało tam bowiem urodziwych studentek.

„Ta ostatnia słabość ściągnęła zresztą na Turowskiego kłopoty – potwierdzał Cezary Gmyz. – W pewnym momencie, nie wiedząc czemu, wpadł w panikę. Był wówczas związany właśnie z jedną ze studentek, córką wpływowego francuskiego polityka Michela Rocard, późniejszego premiera

Francji. Prawdopodobnie Turowski stał się – poprzez ten romans – obiektem zainteresowania francuskiego kontrwywiadu”[57].

Skończyło się na tym, że szpieg niespodziewanie opuścił Meudon i przyjechał do Polski. Przełożonym z zakonu oznajmił, iż wybiera życie świeckie, gdyż zakochał się i chce się ożenić. Ale wcale nie miał na myśli swojej francuskiej dziewczyny.

„Poznałem w Meudon stu-

dentkę, Hiszpankę – wspominał – wtedy stypendystkę Polytechnic of Central London. Pomagała mi w organizowaniu kursów rosyjskiego. Potem, jak już skończyło się stypendium, a chciała kontynuować kurs, zaczęła pracować jako bibliotekarka w bibliotece słowiańskiej, Bibliothèque Slave. Czułem do niej daleko idącą sympatię, która może nie była jeszcze czymś, co można nazwać miłością, ale czymś, co ku temu zmierzało,



była to już forma głębokiego przywiązania”[58].

Pomiędzy bajki należy jednak włożyć jego stwierdzenie, że porzucił jezuitów bez zgody centrali SB w Warszawie. Był bowiem zbyt zdyscyplinowanym agentem, aby pozwolić sobie na podobną niesubordynację. Wszystko to wygląda na odpowiednio zaplanowaną akcję, oficer wywiadu nie poślubiłby zresztą obywatelki państwa należącego do NATO bez

aprobaty przełożonych.

„[...] Turowski i panna de Dios biorą ślub w kościele wizytek – kontynuował Gmyz – a potem goście jadą na wesele. Na tym weselu obecny jest Janusz Krupski, kontakt Editions Spotkania w Polsce. I oto Krupski zaczyna ze zdumieniem przyglądać się przedziwnemu towarzystwu, które na weselu się pojawiło. Impreza odbywa się w Zajeździe Napoleońskim przy ulicy Grochowskiej w War-

szawie. Zdaniem Krupskiego, który dzielił się potem z Jeglińskim swymi wątpliwościami, przynajmniej kilku z gości ani trochę nie przypominało brodatych opozycjonistów, bardziej pasowali natomiast na oficerów SB”[59].

Tylko czyje, tak naprawdę, polecenia Turowski wówczas wypełniał? Wyłącznie polskiego wywiadu? Czy także sowieckiego, a może, chociaż brzmi to nieprawdopodobnie, również amerykań-

skiego? W świetle późniejszych wydarzeń wcale nie jest to wykluczone. I nie wiadomo, czy był wówczas podwójnym, czy może nawet potrójnym agentem...

## *PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI*

Opuszczenie zakonu i małżeństwo nie przerwały szpiegowskiej kariery agenta. Nadal krążył

pomiędzy „Francją, Rzymem a Polską i rozpracowywał dawnych znajomych”. Przy okazji penetrował środowisko związane ze Stronictwem Demokratycznym, coraz częściej wyjeżdżał też do Związku Sowieckiego. Oficjalnie używał wówczas legitymacji prasowej „Rzeczpospolitej”, chociaż nigdy nie współpracował z tą redakcją. Nic właściwie nie wiadomo o tych podróżach, a tłumaczenia Turowskiego, że wypełniał tam w tajem-

nicy przed KGB zadania na rzecz polskiego wywiadu, brzmiały wyjątkowo infantylnie.

Przed obradami Okrągłego Stołu dostarczył bezpiece informacje na temat otoczenia Tadeusza Mazowieckiego, relacjonował kulisy utworzenia pierwszego niekomunistycznego rządu. Nadszedł wreszcie rok 1990 i weryfikacja oficerów SB, którą agent przeszedł pozytywnie! Do dzisiaj nie znamy przyczyn takiego obrotu sprawy –

czyżby faktycznie miał także innych mocodawców?

„W III RP Turowski odnalazł się znakomicie przyznawał Gmyz. – W latach dziewięćdziesiątych trafia do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Według moich źródeł został ściągnięty do resortu przez Bronisława Gremka, którego poznał poprzez swoich francuskich przyjaciół. W MSZ Turowski pełnił kolejno dość rozmaite, dość eksponowane funk-

cje, jak dyrektor departamentu. Często wyjeżdża za granicę, nadal ma świetne kontakty w kręgach kościelnych, pozostaje łącznikiem pomiędzy MSZ a Watykanem, między Kościołem a patriarchatem moskiewskim”[60].

Dawny szpieg znał praktycznie wszystkich, zarówno tych z prawej, jak i z lewej strony sceny politycznej. I ze wszystkimi miał dobre stosunki, co niebawem zaowocowało skierowaniem go na



placówkę do Moskwy. Brany był pod uwagę przy obsadzie stanowiska ambasadora przy Watykanie (!!!), ostatecznie trafił jednak na Kubę. I tam, pełniąc funkcję ambasadora RP, już na pewno współpracował ze służbami USA. Gdy zakończył kadencję, minister Anna Fotyga przyznała mu rangę ambasadora tytularnego, najwyższy możliwy do zdobycia tytuł dla polskiego dyplomaty. Trzy lata później Turowski powrócił do pracy w

MSZ i znów trafił do Moskwy. To właśnie on przygotowywał tragiczną wizytę w Katyniu prezydenta Lecha Kaczyńskiego, w chwili katastrofy był wraz z innymi oficjelami na lotnisku Siewiernyj...

Smoleńska tragedia stanowiła ważną cezurę w życiu Tomasa Turowskiego. Były jezuita zaczął mieć problemy lustracyjne, okazało się, że w swoim oświadczeniu zataił fakt pracy w charak-

terze oficera wywiadu. Przegrał pierwszy proces, ale „w drugiej instancji sąd ogłosił, że Turowski nie tylko nie był kłamcą lustracyjnym, ale także, że cały proces w ogóle nigdy nie powinien się zacząć”.

Nie znamy przyczyn orzeczenia sądu, uzasadnienie pozostało tajne. Podobno uznano, że Turowski „działał w stanie wyższej konieczności” i ujawniając się, zagroziłby bezpieczeństwu

agentury, do której należał. W efekcie, do dzisiaj właściwie nie wiemy, komu tak naprawdę służył Tomasz Turowski i czy rzeczywiście w swoim życiu „miał wielu panów”. Chyba że poważnie potraktujemy opinię, iż prawdziwy profesjonalista zawsze znajdzie zatrudnienie, bez względu na panujący ustrój i aktualnie obowiązujące sojusze polityczne...



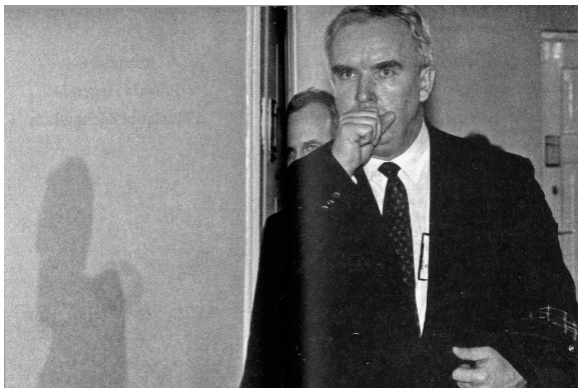
**Rozdział 8**

**Prawda i legenda**

**o Marianie Zachar-**

**skim**





**Marian Zacharski otrzymywał dokumentacje rozwiązań, które miały znaleźć się na wyposażeniu**



*niu armii USA do 2000 roku. Zdarzało się nawet, że kiedy Warszawa prosiła o plany konkretnych systemów, okazywało się, że zostały już one wycofane z użytku jako przestarzałe. Natomiast najnowsze technologie sprawiały wiele problemów polskim uczonym. „Nawet najwybitniejsi specjaliści poproszeni o zapoznanie się i ocenę pozyskanej dokumentacji, nie dali sobie z tym rady”.*

## *MŁODOŚĆ AGENTA*

**U**chodził za najskuteczniejszego agenta wywiadu PRL i faktycznie odniósł wręcz nieprawdopodobne sukcesy. Jednak jego osoba do dzisiaj wzbudza kontrowersje, chociaż ich powodem są wydarzenia, które za-

szły już po upadku komunizmu. Marian Zacharski, jako funkcjonariusz UOP, wziął wówczas czynny udział w aferze „Olina” (oskarżeniu premiera Józefa Oleksego o działalność szpiegowską na rzecz Rosji). Za zaangażowanie w tę akcję zapłacił dymisją, zmieniło się też postrzeganie go przez społeczeństwo.

Przy okazji wyciągnięto wiele innych „grzechów pana Mariana, zarówno finansowych, jak i

operacyjnych, pojawiły się pogłoski o nielegalnych interesach, swoje dołożyli również dawni koledzy zazdrośni o jego sukcesy. W efekcie dzisiaj trudno jest odróżnić prawdę od fałszu, sam Zacharski zaś od wielu lat pozostaje na emigracji. I chociaż długo i wiernie służył władzom komunistycznej Polski, to dzisiaj największą antypatię odczuwają do niego postkomuniści.

Marian Zacharski urodził

się w sierpniu 1951 roku w Gdyni. Pochodził z inteligenckiej rodziny, a jego ojciec, absolwent Politechniki Gdańskiej, miał za sobą chlubną przeszłość wojenną. Był członkiem AK, walczył w Powstaniu Warszawskim, a po wojnie osiadł na Wybrzeżu. Pomimo swojej okupacyjnej działalności zrobił niezłą karierę zawodową – Zacharscy byli bardzo dobrze sytuowani, stać ich było nawet na własny dom w Sopocie.

Marian nie mógł narzekać na warunki materialne, w jakich dorastał – w zgrzebnej epoce Gomułki pobierał prywatne lekcje tenisa, a jego pierwszą rakieta był angielski slazenger. A przecież były to czasy, w których tenis był uważany za burżuazyjny przeżytek niegodny socjalistycznego społeczeństwa.

Po latach Zacharski podkreślał rolę rodziców w kształtowaniu swojego światopoglądu. To wła-

śnie od nich miał wziąć przekonanie, że Polska jest jedna, a ustrój nie jest najważniejszą sprawą.

„Z domu wyniosłem szacunek dla ojczyzny. Moi rodzice, a także ich przyjaciele przeszli przez wojenną gehennę. Wycierpieli niejedno, raz z ręki obcych, raz z ręki swoich. Ale nigdy nie usłyszałem z ich ust słów potępienia, pogardy czy złości. Przeciwnie, uczyli nas, że Polska jest jedna. Mówili, że różne państwa przechodzą przez

zakręty historii, ale swój kraj należy szanować i, jak trzeba, walczyć o niego. Budować, dbać o jego dobro, bo to nasz kraj. Innego nie mamy i nie chcemy. Mój ojciec, kiedy mówił: »Polska«, nie dodawał przymiotników. Nigdy nie mówił »Polska Ludowa« czy »Polska Sanacyjna«. Tylko »Polska«”[1].

Przyszły agent trafił do elitarnego liceum w Gdyni, w którym uczył się razem z dziećmi „kapita-



nów żeglugi wielkiej, architektów, lekarzy, profesorów wyższych uczelni”. Wprawdzie trafiali tam również potomkowie „zupełnie zwykłych ludzi”, ale pozostawali w mniejszości. W szkole panowała znakomita atmosfera, uczniowie stanowili zgrany klub towarzyski.

„Rodzice wysłali mnie do Anglii – wspominał – żebym doskonalił angielski i poczuł, że jestem obywatelem świata. Spędziłem tam sześć tygodni, najpierw w

Leicester, a potem w Londynie”[2].

## *KONTROWERSJI CZĘŚĆ PIERWSZA*

Marian nie poszedł w ślady ojca i nie zajął się naukami technicznymi. W październiku 1970 roku rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszaw-

skiego, a dwa miesiące później doszło do tragicznych wydarzeń na Wybrzeżu, które zakończyły epokę Władysława Gomułki. Rzeź na ulicach Trójmiasta nie zraziła go do panującego ustroju – postrzegał ją raczej jako punkt zwrotny i początek przechodzenia od „starego” do „nowego”.

„Rozpoczyna się era Edwarda Gierka. Gierek otwiera Polskę na świat, przewietrza. Czuję wokół siebie przyływ opty-

mizmu, nowego oblicza kraju. Wydaje się wówczas, że mamy szansę wyrwać się z zakłętego kręgu i zacząć budować nową Polskę. Chcę w tym uczestniczyć”[3].

W rzeczywistości prawo niespecjalnie go interesowało, a kiedy wybierał kierunek studiów, rozważał także handel zagraniczny i dziennikarstwo. Chciał podróżować i poznawać świat, uznał wszakże, iż studia prawnicze będą dobrym wstępem do realizacji tych

planów.

Ostatecznie trafił jednak do handlu zagranicznego, a pomogły mu w tym kontakty jego ojca. Zaraz po ukończeniu nauki rozpoczął pracę w Centrali Handlu Zagranicznego Metalexport, przy czym nie jest wykluczone, że decydująca okazała się całkiem inna protekcja.

Od pewnego czasu stał się bowiem obiektem zainteresowania wywiadu PRL.

„Kilka zdań na tematy

ogólne i on przedstawia mi się jako oficer wywiadu – wspominał swoje pierwsze spotkanie z funkcjonariuszem MSW. – Mówi, że jestem idealnym kandydatem do pracy. Perfekcyjny angielski, szeroka wiedza, umiejętność nawiązywania kontaktów. Jeszcze niedowierzanie, nie jestem pewien, czy dobrze słyszę. Ale tak jest: on składa mi propozycję podjęcia dodatkowych obowiązków na rzecz polskiego wywiadu cywilnego

działającego w ramach struktur Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Czuję się poniekąd jak bohater książek, którymi się zaczytywałem”[4].

Zacharski nie namyślał się długo, zawsze bowiem marzył o czymś podobnym. Oferta współpracy z wywiadem wyjątkowo mu imponowała, poczuł, że w jego życiu zaczyna się nowy rozdział.

„Zawsze lubiłem wyzwania – tłumaczył po latach – uważałem,

że taka propozycja jest czymś fascynującym dla młodego człowieka. Zdecydowałem się na tę pracę z powodu patriotyzmu, jak również adrenaliny” [5].

Metalexport był typowym produktem socjalistycznej gospodarki. Centrale handlu zagranicznego posiadały prawo prowadzenia obrotu gospodarczego w dewizach, co oznaczało, że były pośrednikami w kontaktach krajowych firm z zagranicą. Z tych powodów było



to idealne miejsce do działalności agentury PRL, toteż w każdej centrali na niejawnych etatach pracowali agenci wywiadu. I właśnie jednym z nich miał się stać Zacharski.

Problemem pozostaje natomiast określenie jego statusu. Pan Marian zawsze podawał się za oficera wywiadu, tłumacząc, że odbył indywidualne szkolenie. Potwierdzał to Czesław Kiszczak, twierdząc, że Zacharski „był kadrowym

oficerem wywiadu i pracował pod przykryciem jako handlowiec”[6]. W rzeczywistości było chyba nieco inaczej.

„[...] Zacharski to był jednak szpieg amator – wyjaśniał historyk IPN, Władysław Bułhak. – [...] We wspomnieniach pisze, że był oficerem wywiadu wysłanym do USA, a to nieprawda. Po prostu młody pracownik handlu zagranicznego Marian Zacharski został zwerbowany przez wywiad MSW

jako tzw. kontakt operacyjny, czyli w pewnym sensie »agent krajo-wiec«. Jakieś przeszkolenie przeszedł, ale nie takie jak zawodowi oficerowie wywiadu”[7].

Nie umniejsza to jednak jego osiągnięć jako agenta. Dziwnym trafem łupem tego „amatora” miało paść znacznie więcej zdobyczy niż wszystkich kadrowych szpiegów razem wziętych.

## *NA SZEROKIE WODY*

„Zaczęła rodzić się koncepcja utworzenia firmy i sprzedaży naszych obrabiarek w Stanach – wspominał Zacharski. – Dobrym przykładem był Toolmex – już działający w USA oddział Metalexportu zajmujący się sprzedażą narzędzi. Mieścił się w Natick w stanie Massachusetts i w owym czasie już osiągał bardzo dobre wyniki sprzedaży. Zresztą Metale-

xport pracował wtedy przez swoje firmy już w wielu krajach europejskich: Belgia, Włochy, Skandynawia. Także Kanada. Ale USA to wyzwanie dla firmy, a dla mnie szansa na zupełnie nową jakość mojej pracy”[8].

Zapewne nie bez powodu 24-letni (!) Zacharski został wydelegowany w podróż rozpoznawczą do USA. Owszem, mógł być zdolnym pracownikiem, ale w firmie było przecież wielu ludzi o znacz-

nie większym doświadczeniu handlowym. Perfekcyjna znajomość angielskiego również nie miała tutaj większego znaczenia, istnieją przecież zawodowi tłumacze.

Niedługo później Zacharski ponownie pojawił się za oceanem, tym razem na dłużej. Niedawno poślubiona żona, Barbara, zdążyła się już przyzwyczaić do jego ciągłej nieobecności.

„Chcieliśmy być razem w każdej możliwej chwili. Ale nie

było ich tak wiele, moja praca wiązała się z ciągłymi wyjazdami zagranicznymi [...], jeździłem nie tylko po całej Europie Zachodniej, ale również do Azji i do Ameryki. Moje życie było niezwykle intensywne”[9].

W kolejną podróż wyruszył już jako przedstawiciel Polamco (Polish-American Machinery Corporation), spółki córki Metalexportu. Poszukiwał siedziby dla firmy, a przy okazji poznawał kraj.

„Poruszam się swobodnie. Nikt mnie o nic nie pyta. Najwyraźniej wszyscy wychodzą z założenia, że skoro tu jestem, to mogę być. W końcu w Ameryce tylko Indianie są naprawdę u siebie. Reszta przybyła z różnych zakątków świata”[10].

W październiku 1976 roku wraz z żoną i córką przeniósł się na stałe do USA. Został szefem sprzedaży na Zachodnie Wybrzeże i zamieszkał w Playa del Rey, nad-



morskiej dzielnicy Los Angeles.

„Nieduże, ładnie położone osiedle, odległe o 5 minut jazdy od oceanu. Na jego terenie basen dla dzieci, basen dla dorosłych, korty tenisowe i klub. Kameralne, trzy-piętrowe bloki”[11].

## *ZAMROŻENIE*

Pierwsze dwa lata były

okresem bezczynności wywiadowczej. Zacharski mógł się tylko pilnie rozglądać po nowym otoczeniu, poznawać i zapamiętywać ludzi. Wiedział, że czas szpiegowskiej roboty niebawem nadejdzie, bo nie bez powodu mieszkał u wrót słynnej Doliny Krzemowej. Na brak pracy zresztą nie narzekał, ponieważ dla każdej firmy wchodzenie na nowy rynek jest okresem najtrudniejszym.

„Start firmy w Los Angeles

był naprawdę udany. Ale wymagało to ode mnie pełnego poświęcenia. W Stanach w interesach obowiązuje wiele zasad, najważniejsze są oczywiście te niepisane. A jedną z nich jest tzw. pierwsze wrażenie. Masz trzy minuty od poznania nowego człowieka i albo będzie twoim kontrahentem, albo nie. Trzeba od pierwszej chwili, od podania sobie ręki zainteresować sobą, sprawić, by chcieli rozmawiać i słuchać. Nie reprezentowa-

łem firmy giganta, światowego potentata, któremu się nie odmawia. Przyjechałem z Polski, gdzie obowiązywała gospodarka socjalistyczna. Nikt nas nie uczył, jak pracować na rynku tak odmiennym od naszego”[12].

Zacharski rzeczywiście musiał mieć talent biznesowy, bo już niebawem sam wytwarzał 60 proc. obrotu firmy. Nawiązywał wiele nowych znajomości, poznawał też oryginalnych ludzi.

„Miałem już szerokie grono klientów. Wśród nich zdarzali się ludzie bardzo osobliwi. Jeden z nich przyjeżdżał do mnie dwa razy do roku. Wysiadał z najnowszego rolls-royce'a »Silver Shadow« w stroju, delikatnie ujmując, robotycznym. Nigdy nie widziałem go ogolonego, zawsze miał na sobie minimum pięciodniowy nierówny zarost, w ręku styropianowy kubek z kawą [...]. Podchodził do różnych obrabiarek, pytał o kilka szczegó-

łów technicznych i wskazywał palcem te, które chce kupić. Zawsze było ich kilka”[13].

Nietypowy klient miał również oryginalne obyczaje płatnicze. Płacił od ręki gotówką, nawet kwoty oscylujące w granicach 100 tysięcy dolarów. A były to czasy, gdy „wyjęcie w supermarkecie banknotu studolarowego wywoływało u kasjerki panikę i prowadziło do nieuniknionego spotkania z kierownikiem sklepu”.

## *SZPIEDZY I TECHNOLOGIE*

Agenci pokroju Zachar-  
skiego byli wysyłani w szpiegow-  
skie misje w ściśle określonym  
celu. Ich działalność nie służyła  
wzmocnieniu obronności kraju, li-  
czyły się tylko finanse. Kradzież  
zachodnich technologii miała  
zwiększać zyski polskiego prze-  
mysłu zbrojeniowego, planowano  
bowiem produkcję nowocześniejszej  
broni na eksport.

„[...] jedną z najbardziej opłacalnych gałęzi eksportu jest sprzęt i urządzenia wojskowe – przyznawał były szef wywiadu, generał Władysław Pożoga. – Polska zawsze sporo zarabiała na handlu bronią. Rozumowaliśmy następująco: skoro potrafimy zarabiać, sprzedając, co tu dużo mówić, sprzęt nie pierwszej jakości, to gdy zdobędziemy najnowsze technologie, możemy zadziwić świat. Nasi naukowcy, o których było przecież



głośno, dostawszy gotowe plany, opracują je i podbiją rynki, zarabiając miliardy”[14].

Kradzież obcych technologii od dawna była wpisana w działalność agenturalną, a szpiegostwo przemysłowe funkcjonowało niezależnie od uwarunkowań politycznych. Walka toczyła się o zbyt duże pieniądze, by przejmować się etyką czy prawami patentowymi. Nie dotyczyło to zresztą wyłącznie sfery militarnej, bo jeśli bliżej

przyjrzymy się osiągnięciom technicznym Polski Ludowej, to okaże się, że wiele rozwiązań pojawiło się w wyniku działalności służb specjalnych.

„[...] kradzież technologii wojskowych nie była głównym zadaniem wywiadu PRL – mówił Piotr Łysakowski z IPN. – Receptura aspiryny, proszku »Ixi«, pralka »Frانيا«, a także technologia produkcji układów scalonych, łożysk czy całych silników samo-

chodowych, to największe osiągnięcia wywiadu. Najpierw szpie-dzy przywozili projekty, receptury czy produkty, a końcowym efektem ich działań była masowa produkcja towarów powszechnego użytku. Gospodarka PRL mogła funkcjonować głównie dzięki ukradzionym na Zachodzie technologiom”[15].

Wydaje się, że początkowo w warszawskiej centrali z działalnością Zacharskiego nie wiązano

większych nadziei. Wprawdzie osiedlenie u wrót Doliny Krzemowej wskazywało, że ukierunkowano go na szpiegostwo technologii militarnych, ale pan Marian miał się raczej skoncentrować na rozpracowywaniu miejscowego środowiska naukowego. Jego zadaniem było przekazywanie informacji na temat pozycji zawodowej, rodzinnej, a szczególnie problemów finansowych poszczególnych osób. I przy okazji poszukiwanie

ciekawostek o zabarwieniu obyczajowym, które w przyszłości mogłyby posłużyć jako element szantażu.

## *TENIS I DRINKI*

Zacharski potwierdził swoje predyspozycje do pracy wywiadowczej, a to, że nie przeszedł pełnego przeszkolenia, było jed-

nym z powodów jego sukcesów.

„Okazał się jednak samorodnym talentem – przyznawał Władysław Bułhak. – Mówiąc »amator«, nie dyskredytuję go, broń Boże, bo właśnie tacy amatorzy jak Zacharski byli w wywiadzie PRL najskuteczniejsi. Być może dlatego, że »zawodowcy« byli właśnie zawodowcami. Większość z nich przez lata obsadzała różne zagraniczne placówki PRL i była znana zachodnim kontrwy-

wiadom. Wpadka groziła odstawieniem do kraju i przerwaniem strumyka dolarowych diet. Stąd ostrożność i niechęć do ryzyka”[16].

Pan Marian nie mógł raczej narzekać na jakość swojego życia w Kalifornii. Był to świat nieporównywalny do tego, który pozostawił w Polsce. Eleganckie mieszkanie na zamkniętym osiedlu nad Pacyfikiem, przyjazny klimat, zarobki, które pozwalały na zupełną

beztroskę. A kiedy Barbara spodziewająca się właśnie drugiego dziecka postanowiła odżywiać się niemal wyłącznie pomarańczami, to w USA nie było z tym żadnych problemów, podczas gdy w Polsce byłoby to niemożliwe.

„Wieczory w Kalifornii są najprzyjemniejszą porą dnia. Ciepło, lekki wietrzyk. Wymarzone warunki na spotkania na świeżym powietrzu. Ludzi nie było dużo, a co najważniejsze, klimat tych spo-



tkań nigdy nie był sztywny. Ktoś przychodził, wychodził, dzieci biegały za piłką, psy za dziećmi, gwar, śmiech. Mężczyźni mogli odreagować cały tydzień ciężkiej pracy, kobiety dni spędzane tylko w domu. Dla nich była to okazja do wyjścia. Ubierały się niezwykle starannie, by przez tych kilka godzin poczuć się kimś więcej niż tylko żoną i matką”[17].

Zacharscy szybko zaaklimatyzowali się wśród miejscowej

społeczności. Prowadzili ożywione życie towarzyskie, a pan Marian planował, że w ten sposób nawiąże interesujące kontakty. Na osiedlu był klub, gdzie spędzano czas wieczorami, i tam też Zacharscy poznali małżeństwo Heffronów.

„Mieli synka w wieku Małgosi, Seana, co szybko zbliżyło nasze rodziny do siebie, z czasem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Spotykaliśmy się wieczorami, jedliśmy wspólne kolacje, w weekendy

siedzieliśmy razem przy basenie, gdzie dzieci bawiły się w wodzie. Michael grywał w tenisa i gdy dowiedział się, że ja też, już mnie pilnował, bym mu towarzyszył na korcie. Zawsze lubiłem tenisa, nie-  
źle grałem, a teraz był dla mnie dobrą formą odreagowania napięć wynoszonych z pracy. Kiedyś Michael wspomniał, że nasz wspólny sąsiad, Bill Bell, jest »szychą« w przemyśle aeronautycznym. »Geniusz, mówię ci geniusz«. Dobrze

zapamiętałem tę informację”[18].

To była okazja, na jaką Zacharski czekał. Przełożył biznesowe spotkania i pojawił się na kolejnej imprezie w klubie. Poznanie Billa nie było trudne, bo okazał się on człowiekiem wyjątkowo towarzyskim. Sytuację ułatwiało również to, że Bell grywał w tenisa, a ponadto miał pozytywny stosunek do polskiej wódki.

## *WILLIAM BELL*

Od niepamiętnych czasów powody, dla których decydowano się na współpracę z obcym wywiadem, pozostawały niezmiennie. Pieniądze, ideologia, szantaż lub poczucie niedowartościowania. W przypadku Billa Bella w grę wchodziły przede wszystkim pieniądze, bo miał on duże problemy finansowe.

„[...] zmęczona twarz i pod-

krążone, lekko nieprzytomne oczy człowieka, który myślami jest zupełnie gdzie indziej – opisywał go Zacharski. – Jasna, sportowa koszulka miała odjąć mu lat, ale tylko podkreślała jego ciężką sylwetkę sześćdziesięciolatka, który zbyt wiele czasu spędza za biurkiem”[19].

Zacharski szybko zorientował się, że w przypadku Bella „pewne słowa nigdy nie mogą zostać wypowiedziane”. Był to czło-

wiek, który wolał myśleć, że sprzedaje tajemnice „polskiemu przemysłowi”, a nie obcemu wywiadowi. Czy był do tego stopnia naiwny, czy też wybrał metodę samooszukiwania? Tego już nigdy się nie dowiemy.

William Bell zbliżał się do 60. roku życia, z czego blisko 30 lat przepracował w Hughes Aircraft – jednej z najważniejszych firm amerykańskiego przemysłu lotniczego i zbrojeniowego. Miał

za sobą burzliwe życie prywatne, a ostatnie lata były dla niego szczególnie trudne.

„Rozwiódł się z żoną po 29 latach małżeństwa i musiał płacić alimenty w wysokości 200 dolarów tygodniowo – pisano kilka lat później na łamach »Security Awareness Bulletin«. – Debet na koncie zmusił go do ogłoszenia bankructwa w czerwcu 1976 roku. W poprzednim roku rodzina Bella przeżyła straszną tragedię, kiedy



to 19-letni syn Bella zginął w wypadku na kempingu w Meksyku. Dodatkowo po powrocie do Los Angeles Bell zaczął się czuć jak outsider. W firmie doszło bowiem do głosu młode pokolenie, a on po powrocie z Europy został zamknięty w cichym gabinecie”[20] (tłum. Marta Czerwieniec).

Wprawdzie ten „cichy gabinet” oznaczał nominację na stanowisko dyrektorskie, ale Bell poczuł się odstawiony na boczny tor.

Uważał też, że zarabia zbyt mało, szczególnie w sytuacji gdy po kilkuletnim pobycie w Europie miał problemy z urzędem skarbowym. Zignorował bowiem przepisy o podwójnym opodatkowaniu dochodów uzyskiwanych poza granicami kraju, w efekcie czego miał do spłacenia 16 tysięcy dolarów zaległych podatków (plus odsetki). Do tego chciał imponować nowej, dużo młodszej żonie, a wszystko to razem sprawiło, że stał się ła-

twym celem dla polskiego wywiadu.

„Zacharski z żoną wprowadzili się do kompleksu apartamentów i zacząłem z nim codziennie grywać w tenisa – wspominał Bell. – Powoli stał się moim najlepszym przyjacielem. Był w podobnym wieku do mojego najstarszego [nieżyjącego już wtedy] syna, który był blisko z matką, a dystansował się ode mnie od czasu naszego rozwodu”[\[21\]](#). Zacharski po

mistrzowski rozegrał całą sprawę. Na początek zaproponował pośrednictwo przy sprzedaży obrabiarek dla Hughes Aircraft – Bell miał się dowiedzieć, jakich modeli firma potrzebuje. Następnie Bill przekazał Zacharskiemu prywatny numer telefonu jednego z dyrektorów, umawiając go jednocześnie na rozmowę. Każda przysługa była sowi- cie wynagradzana, a Bell szybko przyzwyczał się do kolejnych za- strzyków gotówki.

„W przypadku Billa od początku sytuacja była jasna – wspominał Zacharski – potrzebował pieniędzy. Zdradzał wszystkie objawy dyskomfortu życia wywołanego brakiem pieniędzy. [...] Ale jednocześnie widziałem, że jest wrażliwym facetem. Z takimi trzeba było ostrożnie. [...] W sytuacji skrajnej mogą im puścić nerwy. Do tego Bill był typem naukowca, którego fascynowała praca. W Hughes Aircraft był ce-

niony, ale nie aż tak, jak potrzebowaliśmy. Zresztą gdyby naprawdę doceniali jego talent i możliwości, skierowaliby go do projektów indywidualnych i – co tu kryć – zdecydowanie lepiej płacili”[22].

Zacharski uznał, że pora na wizytę w kraju i na konsultację z przełożonymi z MSW. Kierownictwo polskiego wywiadu szybko zaakceptowało jego zamiary, uznając Bella za kontakt operacyjny (pseudonim „Lambda”). Wyglądało na

to, że pan Marian trafił na prawdziwy skarb – na informatora, o jakim marzył każdy szpieg.

Początkowo Bell przekazywał informacje jawne, ale praktycznie w ogóle niedostępne. Do Warszawy powędrowała kopia *Radar Handbook* – podręcznika radarowego wydanego z okazji rocznicy działalności Hughes Aircraft. Zacharski otrzymał również książkę telefoniczną firmy oraz regularny dostęp do jej wewnętrz-

nych biuletynów. A była to istna kopalnia wiadomości. Prawdziwy przełom nastąpił jednak wtedy, gdy Bell dostarczył mu dokumentację systemu kierowania ogniem, nad którym aktualnie pracował. Został za to sowicie wynagrodzony, a to sprawiło, że odrzucił ostatnie skrupuły.

„Zaczął mi dostarczać kolejne materiały z taką częstotliwością, że musiałem harować jak w kamieniołomach – opowiadał



wiele lat później Zacharski w jednym z wywiadów. – Kwity płynęły dosłownie drzwiami i oknami. A przecież jako szef filii Polamco na Wybrzeżu Zachodnim i tak miałem dużo roboty”[23].

Faktycznie, po pierwszych sukcesach handlowych przyszły trudne chwile. Polskie obrabiarki były stosunkowo tanie, ale poważny problem stanowiła ich awaryjność. Ujawniły się typowe bolączki socjalistycznej gospodarki,

czyli niedbałe wykonanie i przestarzałe rozwiązania techniczne. Szczególnie zawodne okazały się szafy sterownicze wyposażone w porcelanowe bezpieczniki. Zacharowski musiał poświęcać wiele czasu na łagodzenie niezadowolenia klientów, a przy okazji udało mu się również wywalczyć znaczne ustępstwa ze strony producentów. Pomimo wzrostu kosztów polskie maszyny miały być w USA wyposażane w miejscowy osprzęt elek-

tryczny, co znacznie zredukowało liczbę reklamacji. Przy okazji pan Marian zdobył kontrakt, który w przyszłości mógł zaowocować sukcesami na jego drugim, niejawnym etacie. W polskie obrabiarki miał zostać wyposażony tajny ośrodek badań nuklearnych w Nevadzie. Nic zatem dziwnego, że kilka lat później amerykańscy dziennikarze uznali to za wyjątkowy skandal.

„Nie było żadnej kompro-

mitacji – zaprzeczał rzecznik amerykańskiego Departamentu Energetyki. – Za 250 tysięcy dostaliśmy maszyny, które mogły nas kosztować miliony”[24].

W biznesie liczą się przecież głównie pieniądze, a Amerykanie zawsze potrafili dobrze liczyć koszty...

## *SZPIEGOSTWO I FINANSE*

Niebawem los zdecydował o jeszcze bliższej współpracy Bella z Zacharskim. Dotychczas obaj panowie wynajmowali mieszkania w kompleksie Cross Creek Village w Playa del Rey, którego właściciele zaoferowali najemcom przymusowy wykup mieszkań, proponując zresztą dogodne warunki kredytu. Problem był tylko jeden – Bell z powodu ogłoszonego bankructwa i zadłużenia wobec urzędu skarbowego pozostawał

poza systemem kredytowym. Nie dysponował również kwotą 77 tysięcy dolarów w gotówce, a to oznaczało, że będzie musiał opuścić swój lokal i trudno będzie mu znaleźć coś o podobnym standardzie.

To była okazja, jakiej Zacharski nie mógł przegapić. Błyskawicznie poleciał do Warszawy i pod jego naciskiem centrala wywiadu zgodziła się sfinansować zakup dotychczasowego mieszkania

Bella. Fizyk miał otrzymywać pieniądze stopniowo, w miarę dostarczania kolejnych dokumentów. Przy okazji Zacharski załatwił dalszy pobyt w Playa del Rey dla siebie i swojej rodziny. Jego mieszkanie wykupił Metalexport.

Uszczęśliwiony Bell wynosił teraz z firmy wręcz nieprawdopodobne ilości dokumentów. Nie miał problemów z ich pozyskiwaniem, bo wśród starych pracowników Hughes Aircraft panowała za-

sada dzielenia się swoimi osiągnięciami. W zdobywaniu materiałów pomagała Billowi również jego inteligencja i fenomenalna pamięć, był bowiem „w stanie rozrysować system, o którym kumpel opowiedział mu przy obiedzie”.

Zacharski otrzymywał od Bella dokumentacje rozwiązań, które miały znaleźć się na wyposażeniu armii USA do 2000 roku. Zdarzało się nawet, że kiedy Warszawa prosiła o plany konkretnych



systemów, okazywało się, że zostały już one wycofane z użytku jako przestarzałe. Natomiast najnowsze technologie sprawiały wiele problemów polskim specjalistom.

„Daliśmy więc uczonym w żołnierskich mundurach najnowsze światowe osiągnięcia w dziedzinie obronności – wspominał generał Pożoga. – Niestety, spotkał nas zawód. Nawet najwybitniejsi specjaliści poproszeni o zapoznanie się i

ocenę pozyskanej dokumentacji, nie dali sobie z tym rady. Nie pozostało nam nic innego, jak poprosić o pomoc”[25].

„Prośbę” skierowano oczywiście do Sowietów, przekazując im jednocześnie materiały zdobyte przez Zacharskiego. Przy okazji tradycyjnie zawyżono koszty uzyskania dokumentacji, bo podobno polski wywiad z reguły dobrze zarabiał na handlu z „wielkim bratem”. Oczywiście pod warunkiem,

że miał mu do zaoferowania naprawdę interesującą zdobycz.

Współpraca z Bellem rozwijała się z dnia na dzień, toteż wkrótce powstał problem ze sprawnym transportem materiałów do rezydentury wywiadu w Chicago. Doszło nawet do absurdalnej sytuacji, że Zacharski osobiście przewiózł w dwóch walizkach ponad 30 kilogramów szpiegowskich dokumentów. Wnosił je do samolotu na oczach obserwujących go

agentów FBI, a przecież nie posiadał paszportu dyplomatycznego, co w przypadku rewizji musiałyby skutkować wieloletnim więzieniem.

Wydaje się zresztą, że to, co wcześniej było atutem agenta, teraz obracało się przeciwko niemu. Pan Marian nie przeszedł jednak regularnego szkolenia i czasami zachowywał się mało profesjonalnie. Wiedział, że podobnie jak wszyscy cudzoziemcy z za że-

laznej kurtyny obserwowany jest przez FBI, a mimo to potrafił się zachowywać ryzykownie i prowokująco. A na coś takiego wykwalifikowany szpieg nigdy nie może sobie pozwolić.

„Prowokował obserwację FBI – oceniał były oficer wywiadu Vincent Severski (Włodzimierz Sokołowski). – Sam mówił, że któregoś razu podszedł do agentów FBI siedzących w aucie i im coś nagadał. On był przez FBI prowa-

dzony »po japońsku«, jak to się mówi w naszym slangu. To znaczy, że obserwacja jeździła za nim zderzak w zderzak. Niewinny człowiek idzie w takiej sytuacji do seryfa i mówi: »Jacyś faceci za mną jeżdżą, proszę mi pomóc, bo nie wiem, co mogą mi zrobić«. Tak trzeba było robić”[26].

Zadziwić może również zachowanie Bella, który podobno nadal wierzył, że dostarcza dokumentację na potrzeby „polskiego

przemysłu”. A przecież ten człowiek zetknął się już w swoim życiu z działalnością wywiadowczą.

„Bell miał 57 lat i 25 lat doświadczenia w pracy dla obronności kraju, kiedy poznał Zacharskiego – przypominano na łamach »Security Awareness Bulletin«. – Przeszedł przeszkolenie o zagrożeniu ze strony obcych wywiadów, ale nie dostrzegł tego w prawdziwym życiu. Nie przyszło mu do głowy, że kolega od tenisa (który

przypominał mu starszego syna) mógłby nie być tym, za którego się podawał”[27] (tłum. Marta Czerwieniec).

Niebawem usprawniono system przekazywania dokumentacji. Zrezygnowano ze żmudnego kopiowania, zastępując je fotografowaniem, a Bella przejęli dwaj oficerowie z Warszawy, którzy mieli cyklicznie spotykać się z nim na terenie Austrii. Wybór tego miejsca nie był przypadkowy, tam-



tejsze służby przymykały bowiem oczy na wszystko, co nie dotyczyło bezpośrednio spraw obronności ich kraju.

Do pierwszego spotkania doszło w Innsbrucku i wtedy też ustalono zasady wynagradzania Bella. Bez względu na ilość dostarczonych materiałów miał on otrzymywać 3 tysiące dolarów miesięcznie i raz do roku dalsze 60 tysięcy w złotych monetach. Było to ponad trzy razy więcej, niż zara-

biał w Hughes Aircraft. Łącznie zainkasował od służb PRL 170 tysięcy dolarów, z czego 110 tysięcy w gotówce.

## *KONTROWERSJI CIĄG DALSZY*

Lista materiałów, które zdobył Zacharski, jest imponująca. Do Polski miała trafić dokumenta-

cja oprzyrządowania radarowego dla samolotów budowanych w technice *stealth* (niewidzialne dla radarów przeciwnika), a także plany rakiety przeciwlotniczej Hawk, myśliwca F-15, bombowca B-1 oraz sonarów dla atomowych okrętów podwodnych. Zacharski dostarczył również amerykańską analizę sowieckiego myśliwca Mig-25, który wpadł w ręce NATO. Agentowi przypisuje się również udział w kradzieży i prze-

transportowaniu do Polski najnowszego czołgu armii USA, M1 Abrams. I chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, to taki pojazd ponoć faktycznie w całości trafił nad Wisłę.

„[czołg] płynął do Turcji, która jest krajem NATO, z dokumentami, że jest przeznaczony dla ośrodka badawczo-naukowego wojsk pancernych – wyjaśniał Czesław Kiszczak. – Po drodze statek zawinął do Janiny w Grecji,

która też jest krajem NATO, [tam] wyładowywano jakieś towary i przy okazji, »omyłkowo«, ten czołg. Tam też załadowano [go] na statek płynący przez Warnę. Jak już jest w Warnie, to tak, jakby był w Polsce”[28].

Podobno koszt tej operacji wyniósł milion dolarów, co nie wydaje się zbyt wygórowaną sumą. Ale czy brał w tym udział Zacharski i czy w ogóle była to prawda, tego niestety już nie wia-

domo...

Na pewno jednak Zacharski nie miał nic wspólnego ze zdobyciem planów systemu antyrakietowego Patriot, co czasami również mu się przypisuje.

„Była jeszcze jedna osoba, która miała jeszcze większe osiągnięcia, a o niej się nie pisze – mówił generał Gromosław Czempieński. – Zacharskiemu przypisuje się błędnie część osiągnięć zupełnie innego oficera. Ale skoro Za-

charski został już bohaterem, to na jego konto zaliczyło się wszystkie zdobycze. Tamten drugi miał spokój, chociaż Amerykanie doskonale znali jego osiągnięcia w USA”[29].

I rzeczywiście – plany systemu Patriot wykradł inny agent polskiego wywiadu, podpułkownik Zdzisław Przychodzień. Ten człowiek miał chyba jeszcze mniej skrupułów niż Zacharski, albowiem wykorzystał w tym celu za-

kochaną w nim Ruby Schuler, zatrudnioną w kalifornijskiej firmie Systems Controls. A sam oczywiście zniknął zaraz po otrzymaniu interesującej go dokumentacji.

Przy okazji warto dodać, że Przychodzień wykradł plany projektu, którego autorem był inny Polak, Zdzisław Starostecki. Okazało się więc, że na obu biegunach afery byli Polacy – zarówno konstruktor, jak i szpieg, co oczywiście wzbudziło podejrzenia FBI. Z



czasem jednak wyjaśniono wszystkie wątpliwości co do osoby Starosteckiego, a on sam został oczyszczony z zarzutów.

Ciekawym wątkiem szpiegowskiej kariery Zacharskiego są pewne podejrzenia wyrażane przez jego kolegów po fachu. Od pewnego czasu pojawiają się bowiem głosy, że FBI przez dłuższy czas z rozmysłem tolerowało szpiegowski proceder w Hughes Aircraft. Amerykańskie służby miały kon-

trolować przecieki, podsuwać Bellowi odpowiedni materiał i dbać o to, aby wybrana dokumentacja docierała przez Warszawę do Moskwy.

Jest wielu zwolenników tej teorii w naszym środowisku wśród oficerów, ale też wśród znawców polityki rozbrojeniowej – mówił Severski. – Nie zdziwiłbym się. To by się komponowało z programem inspirowania i dezinformowania Rosjan w sprawach zbrojowych,

który Amerykanie prowadzili. Wojny gwiazdne, broń neutronowa. [...] Chodziło o to, żeby wciągnąć Rosjan w kosztowny wyścig zbrojeń, który skończył się upadkiem ZSRR. Oczywiście w tym nie byłoby żadnej winy Zacharskiego. Podparciem takiej hipotezy jest to, że Amerykanie w sprawie Zacharskiego zachowywali się dość dziwnie. [...]

FBI dość szybko objęło go »opieką«. Długo pozwalali sobie

na jego działalność. [...] Dla FBI wyłapanie, z kim kontaktuje się Zacharski, to nie byłby duży problem”[30].

Bez względu na to, jak było naprawdę, szpiegowska przygoda Zacharskiego w USA dobiegła końca pod koniec czerwca 1981 roku. Miał właśnie odlecieć do Chicago, aby objąć stanowisko prezesa Polamco, gdy do jego domu wtargnęło FBI. Został aresztowany i oskarżony o szpiegostwo.

## *DOŻYWOCIE*

Podobno Zacharskiego wydał kapitan Jerzy Koryciński z MSW, który od dawna był na żołdzie amerykańskim (później zbiegł na Zachód). Pracował w jednym pokoju z oficerem prowadzącym pana Mariana, wiedział o nim bardzo dużo i swoją wiedzę przekazał Amerykanom. Nie wiadomo jednak, kiedy to zrobił, dlatego też nie można ustalić, jak długo FBI

obserwowało Zacharskiego i Bella.

Na pierwszy ogień poszedł Amerykanin, który szybko załamał się i w zamian za obietnicę złagodzenia wyroku poszedł na współpracę. Swoją lojalność posunął do tego stopnia, że wydał szpiegowski sprzęt otrzymany od Zacharskiego, a na spotkanie z polskim agentem udał się zaopatrzony w specjalne urządzenie nagrywające. To wystarczyło do aresztowania Polaka.

To była prawdziwa sensacja

dnia – o sprawie poinformowały ogólnokrajowe media, a specjalne artykuły pojawiły się na łamach „Timea” i „Newsweeka”. I chociaż dowody winy Zacharskiego były niezbyt przekonujące (nagranie Bella było nie najlepszej jakości, a pan Marian okazał się tego dnia wyjątkowo małomówny), to nie ulegało wątpliwości, że zapadną wyroki skazujące. Miał to być zresztą wielki medialny show, w którym musiały zostać orzeczone

surowe kary.

„Mój adwokat Edward Staudum powiedział, iż żadnych dowodów winy w tej sprawie nie ma, bo być nie może – wspominał Zacharski. – Jest tylko zeznanie Williama Holdena Bella. I zapyta przysięgłych o wiarygodność zeznań człowieka, który w życiu zdradził wszystkich: swoją ojczyznę, firmę, w której pracował, pierwszą żonę i nawet drugą żonę. A teraz także przyjaciela, którego oskarża o



szpiegostwo”[31].

Nie miało to jednak większego znaczenia – proces trwał miesiąc, po czym przysięgli jednomyślnie orzekli, że Marian Zacharski był winny szpiegostwa przeciwko USA. Po kolejnym miesiącu (!), dzień po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, Bell został skazany na osiem lat więzienia, natomiast Zacharski otrzymał karę dożywocia.

William Bell nie odsiedział

wyroku w całości, został zwolniony po czterech latach i zmarł niedługo później, bo w 1986 roku. Według niesprawdzonych informacji był kompletnie rozbity psychicznie i zapisał się na śmierć.

## WYMIANA

„[...] nie do końca jest prawdą, o czym zapewnia Czesław

Kiszczak, że swoje uwolnienie zawdzięczam usilnym staraniom strony polskiej – mówił z goryczą Zacharski. – Jestem przekonany, że gdyby to zależało wyłącznie od Warszawy, siedziałbym w amerykańskim więzieniu jeszcze długo. Do mojego uwolnienia, czyli wymiany na 25 zachodnich szpiegów na berlińskim moście Glienicke, doprowadził wybitny enerdowski adwokat, Wolfgang Vogel, oraz szef wywiadu Stasi – Markus

Wolf. Jestem im za to dozgonnie wdzięczny”[32].

Zacharski wspominał również, że kiedy jego żona i matka trafiły do Wojciecha Jaruzelskiego i powiedziały mu, że dzieci płaczą z tęsknoty za ojcem, generał poradził, aby „kupić im czekoladę”. Inna sprawa, że wymiana szpiegów nigdy nie jest prostą operacją, a FBI uważało, że wolność Zacharskiego ma swoją cenę. Doszło nawet do tego, że w więzieniu zło-

żono mu bardzo nietypową propozycję.

„Amerykanów interesowało najbardziej, co udało mu się wykraść – mówił Czesław Kiszczak. – I za tę informację gotowi byli na wszystko – łącznie z wypuszczeniem go na wolność, z nowym życiorysem, nową twarzą i milionem dolarów w kieszeni”[\[33\]](#).

FBI faktycznie złożyło Zacharskiemu pewną propozycję, ale wcale nie chodziło o ustalenie, co

agent przekazał do Warszawy. Pan Marian miał bowiem dla Amerykanów wyłącznie wartość propagandową (i to dużą). Jego proces odbił się szerokim echem na świecie, a w Polsce trwał stan wojenny. I w tej sytuacji informacja, że superszpieg PRL zdecydował się na pozostanie w USA, miałyby dla Amerykanów dużą wartość. Zacharski jednak odmówił.

Na marginesie można dodać, że dość ciekawą postacią był

wspomniany przez agenta adwokat Wolfgang Vogel. Jego wschodnioberlińska kancelaria specjalizowała się bowiem w prowadzeniu delikatnych spraw dotyczących wielkiej polityki.

„Mecenas [...] jest w świecie wysokiej dyplomacji kimś doskonale znanym, będąc jednocześnie jedną z najbardziej tajemniczych postaci zimnej wojny – wyjaśniał Zacharski. – W czasie gdy Wschód i Zachód podążały od jed-

nego konfliktu do drugiego, profesor Wolfgang Vogel, nie bawiąc się w politykę, potrafił stać się mężem zaufania obydwu stron. [...] Nieoficjalnie mówi się, iż potrafi umiejętnie pociągać za sznurki zarówno w Waszyngtonie, Bonn, jak i w Berlinie. Jest zaufanym i kanclerzy RFN, i Ericha Honeckera w NRD. Od wielu lat stał się cenionym pośrednikiem, kimś, bez pomocy kogo trudno się obejść w sprawach wymagających naj-



większej dyskrecji. A takimi są wymiany ludzi pomiędzy światem podzielonym żelazną kurtyną”[34].

Marian Zacharski wraz z trójką innych szpiegów bloku wschodniego został wymieniony na moście Glienicke w czerwcu 1985 roku. Na jego powrót do kraju „złożyły się” służby całego bloku wschodniego – to właśnie wtedy Jerzy Pawłowski odmówił przejścia na Zachód.

## *EMERYTURA AGENTA*

Zacharskiego powitano w kraju z honorami, ale nie bardzo wiadano, co dalej z nim zrobić. Wprawdzie jeszcze podczas pobytu w więzieniu dostał stopień kapitana, stając się oficerem wywiadu, ale nie było konkretnych planów dotyczących jego dalszej kariery. Wreszcie znaleziono wyjście – jako dobry handlowiec i zasłużony agent otrzymał nominację

na dyrektora generalnego Pe-weksu. Przy okazji prowadził szkolenia dla adeptów wywiadu w Kiejkutach.

Na nowym stanowisku Zacharski rozwinął skrzydła, a jego firma zanotowała dobre wyniki finansowe. To właśnie za jego kadencji w sklepach Peweksu pojawiła się japońska elektronika (Sony, Sanyo, Panasonic, Technics) w dość przystępnych cenach, co zadecydowało o wysokich obro-

tach firmy.

W 1990 roku Zacharski został pozytywnie zweryfikowany i w stopniu pułkownika trafił do UOP. Był zamieszany w skandal związany z firmą Inter-Arms, który przyczynił się do upadku rządu Waldemara Pawlaka, mianowano go również dyrektorem Zarządu Wywiadu UOP. Ten ostatni awans spotkał się jednak z protestami niektórych polityków (także amerykańskich), wobec czego Za-

charski po kilku tygodniach złożył dymisję. Jego karierę ostatecznie zahamowała słynna sprawa „Olina”, po której zrezygnował z pracy w wywiadzie. Na emeryturę odszedł w stopniu generalskim, a nominację otrzymał w ostatnim dniu prezydentury Lecha Wałęsy.

Wyjechał z kraju i do dzisiaj żyje na emigracji. Współpracuje z miesięcznikiem „Historia Do Rzeczy” regularnie również wydaje książki. Napisał dwie opo-

wieści o swoich losach, a następnie zajął się historią wywiadu II Rzeczypospolitej. Okazał się niezwykle zdolnym pisarzem, toteż gdy czytam jego książki, zawsze zastanawiam się, czy ma większy talent literacki, szpiegowski, czy handlowy...



## **Rozdział 9**

# **Życie prywatne pułkownika Kuklińskiego**









970

**„W czasie spaceru Ryszard Kuliński powiedział mi, że kiedyś otrzymał propozycję wyjazdu na placówkę dyplomatyczną. W związku z tym mieli go wezwać gdzieś na rozmowę. W trakcie tej rozmowy, jak wynikało z wypowiedzi Ryszarda, pokazano mu film, na którym uwidoczniiony był on i Barbara, jak biegają nago po lesie. To właśnie miało zadecydować o tym, że nie wysłano go na placówkę dyploma-**

*tyczną”.*  
*Urszula M.*

## *W RODZINIE KUKLIŃSKICH*

**K**ariera wojskowa Ryszarda Kuklińskiego rozpoczęła się we Wrocławiu, gdzie trafił pod koniec II wojny światowej. Jako kilkunastoletni chłopak wstąpił do Oficerskiej Szkoły Piechoty, z której został relegowany

tuż przed końcem nauki, podobno za opowiadanie dowcipów o kolektywizacji wsi. Po kilku miesiącach otrzymał jednak promocję na stopień chorążego.

Prezentował wówczas „słuszną ideologicznie postawę” i był gorliwym aktywistą PPR, a później PZPR. W 1953 roku mianowano go na stanowisko szefa sztabu batalionu w Brygadzie Przeciwdesantowej w Kołobrzegu, gdzie najwyraźniej sprawdzał się

w służbie, bo szybko awansował. W efekcie skierowano go na studia do Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie, a po ich ukończeniu otrzymał awans na stopień majora i przydział służbowy do Sztabu Generalnego.

Jeszcze przed wyjazdem do Kołobrzegu zawarł związek małżeński, a jego wybranką została młodsza o dwa lata Joanna Christ, nazywana przez niego Hanną. Niebawem też urodziło się im dwóch

synów – Waldemar i Bogusław (Bogdan).

Kuklińscy zamieszkali w Warszawie w służbowym mieszkaniu przy ulicy Jana Olbrachta. W małżeństwie nie układało się najlepiej, bo Ryszard był typem pracoholika, a ponadto miał skłonności do zdradzania żony.

„[...] był miłym, sympatycznym człowiekiem – opowiadała Krystyna J., mężatka, pracownica Sztabu Generalnego – podo-



bał się kobietom. Po około roku jego pracy w naszym oddziale nawiązała się między nami bliższa znajomość. Spotykaliśmy się w kawiarniach na kawie lub wyjeżdżaliśmy jego samochodem poza miasto. Przed wyjazdem jego do Wietnamu w latach 1968–1969 Ryszard Kukliński wyjeżdżał ze mną do lasu samochodem, który wtedy posiadał, to jest wartburgiem. Spotykaliśmy się przeciętnie dwa–trzy razy w miesiącu”[\[1\]](#).

Oboje dbali o zachowanie pozorów i nie pozwalali sobie na poufałość w miejscu pracy. A okazji nie brakowało, często bowiem zostawali razem po godzinach. Inna sprawa, że w tych czasach Kuklińskiego najbardziej interesowała kariera zawodowa.

„Był niepozornym, drobnym, łysiejącym blondynem – wspominał Czesław Kiszczak. – Nigdy nie odzywał się nie pytany, niczym się nie wyróżniał. Idealny

agent.

Byłem z nim na »ty«, studiowaliśmy razem na kursie w Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie. Był cichy, uczynny, skromny, pracowity, służbisty, ładnie malował mapy. Ściągał buty i w skarpetkach chodził po olbrzymich mapach leżących na podłodze. Robił je dla siebie i kilkunastu kolegów. Miał też fenomenalną pamięć.

Jak teraz na to patrzę, to

widzę, że był aż nadto służbisty. Pamiętam, jak kiedyś zjawił się u mnie w biurze z teczką (przypiętą łańcuszkiem do ręki) tajnych dokumentów. Podsunął mi dokument otwarty na stronie, którą miałem przeczytać i pokwitować fakt zapoznania się z nim. Ciekawiło mnie, co jest na innych stronach, usiłowałem namówić Kuklińskiego na kawę, kieliszek koniaku... Nawet nie usiadł”[2].

Problemy rodziny Kukliń-

skich nie ograniczały się do pracobolizmu czy zdrad Ryszarda. Kłopoty sprawiali obaj synowie – starszy z chłopców, Waldemar, student prawa, był typem introwertyka. Blisko związany z matką, pozwalał sobie na różne demonstracje pod adresem ojca i bywało, że mieszkając z nim pod jednym dachem, miesiącami nie odzywał się do niego. Natomiast Bogdan był ulubieńcem pułkownika, chociaż stwarzał duże problemy wycho-

wawcze.

„Chodziliśmy razem do warszawskiego liceum imienia Gottwalda – wspominała Grażyna Szaniawska. – Był od nas dwa lata starszy. Dołączył do naszej klasy w połowie liceum, po tym jak musiał powtarzać rok. Nauka nie bardzo mu szła. Był po uszy zakochany w Grażynie, córce generała Hermaszewskiego, którego młodszy brat Mirosław był kosmonautą. Przez całe liceum byli nieroz-

łączną parą. Gdy okazało się, że Bogdan nie przejdzie do trzeciej [klasy], Grażyna zaniedbała naukę i też musiała repetować”[3].

Bogdan nie dostał się na medycynę, a ojciec wyreklamował go od zasadniczej służby wojskowej. Przez rok pracował w jakimś laboratorium, aby zdobyć punkty preferencyjne, jednak kolejny egzamin również zakończył się porażką. Ojciec chyba nie chciał mu pomóc w zdobyciu indeksu Akade-

mii Medycznej, nie doszli także do porozumienia w sprawie ewentualnej nauki Bogdana w Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. W efekcie chłopak nigdzie nie pracował na stałe, zajmując się „składaniem i sprzedawaniem starych polniemieckich motocykli” A do tego „hodował króliki i Bóg wie, co jeszcze” robił.

Kiedy rozpadł się jego związek z Grażyną Hermaszewską, związał się z Izabellą Zawadzką.



To właśnie ona miała zostać synową pułkownika i matką jego jedyne go wnuka.

## *WIETNAM*

„CIA najwięcej naszych ludzi zwerbowała w Wietnamie – twierdził generał Władysław Pożoga. – Kukliński był w Wietnamie, zrobił błyskawiczną karierę,

zajmował odpowiedzialne stanowisko, był łakomym kąskiem dla służb specjalnych i chociażby z tego powodu należała mu się kontrwywiadowcza ochrona. Mieliśmy sporo informacji o amerykańskich staraniach w stosunku do naszych oficerów pracujących w Wietnamie. Amerykanie dobrze płacili. Za samą zgodę na współpracę można było dostać kilka tysięcy dolarów. To powinno być sygnałem dla kontrwywiadu”[4].

W czerwcu 1967 roku Kulkliński trafił do Wietnamu, gdzie pracował w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru. Mieszkał w Sajgonie w hotelu Catinat, w którym zakwaterowani byli również Amerykanie. Prowadził normalne życie towarzyskie, spotykał się z oficerami US Army, brał udział w organizowanych przez nich spotkaniach. Niektórzy z nich (w tym urodziwa pracownica ambasady panna Levandowsky)

świetnie mówili po polsku i bez wątpienia byli kadrowymi pracownikami wywiadu. Podejrzenia o zwerbowanie Kuklińskiego nie znajdują jednak potwierdzenia w późniejszych relacjach pułkownika i funkcjonariuszy CIA. Wydaje się zresztą, że w tym czasie Kukliński miał zupełnie inne zainteresowania.

„Od początku zauważyłem – twierdził pułkownik Henryk Radomski – że Kukliński ma wyjąt-

kowe inklinacje do nawiązywania kontaktu z kobietami. Powszechnie mówiło się, że Kukliński »ma wszystko za darmo i nie musi płacić«. Chodziło tu o osobiste jego kontakty z naszą pracownicą, która pracowała w charakterze maszynistki”[5].

Wątpliwe również, aby Ryszard brał udział w innym procederze, który cieszył się dużą popularnością w środowisku polskiej kolonii w Sajgonie. Jak przystało

na prawdziwych Polaków, nasi rodacy szybko dostrzegali ekonomiczne możliwości pobytu w Wietnamie.

„Przede wszystkim nasi tam handlowali – wyjaśniał Kiszczak – a każda wpadka groziła międzynarodowym skandalem [...]. W Polsce takie nadużycia ostro karano, Amerykanie w to grali i umożliwiali naszym oficerom interesy. Przykładowo, między Wietnamem i Laosem były

ogromne różnice w kursie dolara. Podobnie było z cenami towarów”[6].

Nawet jeżeli pułkownik nie brał udziału w handlu, to i tak nieźle zarobił na pobycie w Indochinach. Diety płacono bowiem w dolarach, a oficerowie niewiele wydawali. A to już oznaczało poważne oszczędności.

„Kukliński pobierał diety w tej samej wysokości co i ja – zeznawała radca w MSW Krystyna

Garbowicz. – Uważam, że dysponował on za cały czas pobytu w Sajgonie kwotą około 2 tysięcy dolarów, a może i mniej. Wiem, że zakupił samochód opel rekord za 1800 dolarów. Taki sam samochód nabyłam ja, Wawrzyniak, Kukliński i jeszcze ktoś z członków naszej delegacji.

Nadmieniam, że w podaną przeze mnie kwotę zarobionych pieniędzy przez Kuklińskiego 2000 dolarów USA wliczam należ-



ność przekazaną z tytułu zamiany klasy pierwszej na turystyczną, w wysokości 400 dolarów”[7].

Warto zapamiętać powyższą relację i podane w niej kwoty...

## *POD ŻAGLAMI*

Jeszcze podczas służby w Kołobrzegu Kuklińskiego zafascynowało żeglarstwo. Udało mu się

nabyć zdewastowany kadłub ponemieckiego kutra, który wyremontował i przebudował na jacht. Pływał nim do czasu przeniesienia do Warszawy, ostatecznie sprzedał jednostkę do Szwecji za niezłe pieniądze.

Pasję żeglarską kontynuował również w późniejszych latach – pływał na jeziorach mazurskich, zawsze jednak ciągnęło go na morze. Po powrocie z Wietnamu został komandorem wojsko-

wego klubu żeglarskiego Atol. Wraz z innymi oficerami wypływał na jachcie Legia w rejsy po Bałtyku i Morzu Północnym, zawsze jako kapitan jednostki.

Prawdopodobnie wyprawy te finansował polski wywiad, a załoga wykonywała zadania szpiegowskie. Zgodnie bowiem z obowiązującą doktryną wojenną Układu Warszawskiego w przypadku konfliktu zbrojnego polska armia miała być użyta na północ-

nym teatrze działań. A to oznaczało konieczność dokładnego poznania wybrzeży RFN i Danii.

„Podczas kilkudniowego postoju w Hamburgu – wspominał uczestnik rejsu, późniejszy generał Mieczysław Dachowski – załoga pod pretekstem turystycznych wycieczek wyszukiwała i opisywała miejsca najbardziej przydatne do prowadzenia operacji militarnych w rejonie Hamburga. Z pokładu jachtu za pomocą precyzyjnej

echosondy dokonano dokładnych pomiarów głębokości przepraw wodnych na Łabie. Dodatkowo zdokumentowano rejon Helgolandu i znajdującego się tam ośrodka radarowego NATO”[8].

Na części zachowanych zdjęć z rejsu w tle widoczne są zarysy instalacji wojskowych i strategicznego mostu na Łabie. Dla wywiadu każda informacja była cenna, a członkowie załogi byli doświadczonymi oficerami. Oczy-

wiście w książeczkach żeglarskich nie mieli wpisanych stopni wojskowych ani zawodu.

Zorganizowano kilka takich wypraw, a centrala w Warszawie była bardzo zadowolona z dostarczonych materiałów. W 1975 roku zakazano jednak tych rejsów, bo podobno obawiano się, że zachodnie służby zorientowały się w szpiegowskim procederze. Kuklińskiemu udało się jednak wypłynąć jeszcze kilka razy, tym razem już

zupełnie prywatnie.

Paradoksalne, że pułkownik, wykonując zadania szpiegowskie dla polskiego wywiadu, nawiązał kontakt z CIA. I wykorzystywał następne rejsy do odbywania kolejnych spotkań z Amerykanami...

*KOBIETY W ŻYCIU  
PUŁKOWNIKA*

Po powrocie z Wietnamu Kukliński wznowił romans z Krystyną J., a związek ten trwał na poprzednio obowiązujących zasadach przez kilka następnych lat. Spotkania stawały się jednak coraz rzadsze, aż wreszcie około 1973 roku pani Krystyna uznała, że związek już się wypalił. Była w stanie tolerować żonę Ryszarda, ale inne panie już niekoniecznie.

„Przyczyną tego stanu rzeczy były moje zastrzeżenia do puł-



kownika Kuklińskiego – zezna-  
wała w 1982 roku. – Po prostu po-  
dejrzewiałam, że utrzymuje bliskie  
kontakty towarzyskie również z in-  
nymi kobietami”[9].

Bywając w jego gabinecie,  
słyszała, jak dzwoniły do niego  
inne kobiety, a rozmowy te nie  
sprawiały wrażenia przypadko-  
wych. Poza tym zauważyła, że w  
jego życiu pojawiła się stała part-  
nerka, Barbara J. Kiedyś miała na-  
wet okazję ją poznać, co przypie-

czętowało jej decyzję. Mimo to „jeszcze dwa–trzy razy uległa pułkownikowi Kuklińskiemu”.

Krystyna zachowała dobre wspomnienia z romansu z Kuklińskim. Uważała, że w „stosunkach z kobietami był śmiały” i zachowywał się „jak normalny mężczyzna”, co zapewne oznaczało, że związek dał jej dużo satysfakcji. Przy okazji zauważyła, że często narzekał, iż „żona choruje na choroby kobiece i reumatyzm”, co

miało być jedną z przyczyn nieudanego małżeństwa.

Wnikliwi badacze doliczyli się kilkunastu (raczej bliżej dwudziestu niż dziesięciu) nieformalnych związków pułkownika z kobietami. Dla większości historyków jest to dowód, że oficer budował w ten sposób legendę lekkoducha, co miało odwrócić uwagę otoczenia od jego kontaktów z CIA. Kobieciaryz mógł przecież bywać w różnych miejscach o dziwnych po-

rach i nikomu nie przyszłoby do głowy, że w tym czasie wysyła meldunki lub przekazuje materiały szpiegowskie. Identyczną opinię o Kuklińskim mieli również ci, którzy w przyszłości mieli go znienawidzić z całego serca.

„Uchodził za niezłego kogucika – mówił generał Kiszczak. – Stale wywoził do lasu sekretarki, maszynistki, inne atrakcyjne kobiety. Nie afiszował się z tym, ale pozwalał wszystkim dostrzec, że

jest z tych, co to lubią na boku. Tyle tylko, że on z tymi kobietami nie spał. No, może na początku, żeby romans obiecująco zacząć. Później brał taką na wycieczkę samochodem, wchodzili do lasu i kiedy ona była przekonana, że za chwilę wciągnie ją w krzaki, przeproszał, zniknął na chwilę, niby za potrzebą, a po powrocie nagle zaczynało mu się spieszyć do domu”**[10]**.

Faktycznie, Kukliński miał

swoje ulubione miejsca w okolicach Warszawy. Odwiedzał je w damskim towarzystwie, co z perspektywy czasu mogło sugerować, że traktował kobiety instrumentalnie, a wyjazdy z nimi za miasto były dobrą przykrywką dla jego kontaktów z CIA.

„Te panienki były mu potrzebne tylko dla ubezpieczenia wyjazdów do skrytek – kontynuował Kiszczak. – Wystarczyło tylko się szybko i niepostrzeżenie

schylić, podnieść wydrażony kamień (ulubiony sposób Amerykanów na kontakt), który znajdował się w umówionym miejscu”[11].

Nie wszystkie jednak panie pułkownikowi ulegały. Wprawdzie podobał się płci pięknej, ale zdarzało mu się również ponosić porażki. Najczęściej bywało tak w przypadku kobiet będących w nieformalnych związkach, gdyż mężatki były raczej mało odporne na jego urok.

„Pułkownik Kukliński w osobistych kontaktach ze mną – zeznawała Hanna W. – dążył do nawiązania stosunków charakteru intymnego i w tym zakresie stawiał mi niedwuznaczne propozycje, a nawet próbował doprowadzić do zbliżenia intymnego i to działo się w moim mieszkaniu. Faktycznie jednak do stosunków osobistych między nami nie doszło i to tylko z mej przyczyny. Miałam i mam narzeczonego i w związku z



tym nie byłam zainteresowana osobą Kuklińskiego”[12].

Jej zamężne koleżanki nie miały takich obiekcji i bez większych oporów dołączały do galerii zdobyczy pułkownika. Wiele z nich wymagało jednak wyłączności (oczywiście nie licząc żony), toteż zrywały znajomość, gdy okazywało się, że w jego życiu są jeszcze inne panie.

„Z opowiadań w naszym zarządzie wiem, że prawdopodob-

nie pułkownik Kukliński utrzymywał bliższe osobiste kontakty z kreślarką w Oddziale Szkolenia, ob. Krystyną Ch. – mówiła dalej Hanna W. – Wymieniona, po zniknięciu Kuklińskiego, przyszła do mnie i powiedziała do mnie, że kiedyś kochała się w Kuklińskim, jednak z uwagi na to, że zorientowała się, że Kukliński romansuje z innymi kobietami, zerwała z nim. Wydaje mi się, że Ch. wspomniała o tych sprawach dlatego, że uwa-

żała, iż ja również byłam jedną z kochanek Kuklińskiego”[13].

Niewiele brakowało, by romanś z Krystyną Ch. zakończył się tragedią, dziewczyna miała bowiem wyjątkowo zazdrosnego męża. Mężczyzna zaczął ją śledzić, a był człowiekiem dość porywczym.

Kukliński dzierżawił w tym czasie kawałek ziemi na wschód od Mińska Mazowieckiego. Oficjalnie miał tam remontować

jacht, a w rzeczywistości uznał, że będzie to dobre miejsce na intymne spotkania (rodzina nic nie wiedziała o tej działce). Postawił tam letni domek, do którego regularnie przyjeżdżał z dziewczętami.

„Raz jednak taka randka pod Mińskiem – wspominał po latach – o mało nie skończyła się tragicznie i dla mnie, i dla mojej towarzyszki. [...] Coś tam wypiliśmy, pieczemy kiełbaski na ogniu, upał straszny, toteż oboje byliśmy

dość skąpo odziani. Nagle z lasu wyskakuje facet z bronią. Był po cywilnemu, sądziłem więc, że to tajniak. – Ręce do góry! – krzyczy. Wolno się podniosłem, całe życie przeleciało mi przed oczami. Byłem pewien, że to koniec. Trochę się tylko dziwiłem, że działał sam. To nie są ich metody, zza tych krzaków powinno ich wyskoczyć dziesięciu, piętnastu. Oczekiwałem, że się to za chwilę stanie. I nagle słyszę: Heniek, daj spokój!

Okazało się, że to zazdrosny mąż, który nas śledził. Jakoś z tego wybrnąłem, a raczej dziewczyna załogodziła. Była w sztabie kreślarką, całe noce pracowaliśmy razem”[14].

Przy okazji cała sprawa okazała się doskonałym kamuflażem, a Kukliński utwierdził swoją sławę playboya. Dla otoczenia było to potwierdzenie, że lubi pozamałżeński seks i głównie jemu poświęca swój wolny czas. A taka

opinia była mu rzeczywiście potrzebna.

„[...] Historia błyskawicznie rozniosła się po sztabie, co było mi bardzo na rękę – potwierdzał Kukliński. – Ona opowiedziała to koleżance, ta puściła to dalej. Wszyscy się po cichu podśmiewali, że zazdrosny mąż jednej z kreślarek chciał się z Kuklińskim strzelać”[15].

Kiedy czyta się zeznania jego partnerek, można jednak od-

nieść wrażenie, że pułkownik rzeczywiście lubił przygody męskodamskie i chyba specjalnie nie wzdragał się przed nawiązywaniem nowych znajomości. Problemem było jednak to, że niektóre panie nie zgadzały się na prymitywne warunki intymnych spotkań. Wprawdzie wspólne wyjazdy do lasu można uznać za przejaw romantyzmu, ale nie każdej partnerce odpowiadało zbliżenie erotyczne w samochodzie czy na



ściółce leśnej. Mirosława G., która poznała go w sierpniu 1981 roku, miała ochotę na skonsumowanie znajomości, ale niekoniecznie w takim miejscu.

„Przyjechał wieczorem około godziny 17.00 w pobliże mojego domu – opowiadała. – Następnie pułkownik Kukliński powiedział, że pojedziemy na spacer poza Warszawę. Pamiętam, że pojechaliśmy przez Bemowo i po przejechaniu około 40 kilometrów

zatrzymaliśmy się na skraju Kampinosu. Pułkownik Kukliński wprowadził samochód pomiędzy drzewa tak, aby nie był widoczny z drogi. Pozamykał okna od samochodu, włączył magnetofon, z tym że zasłonił skalę odbiornika tak, aby nie było widać światła. W samochodzie piliśmy wino, słuchaliśmy muzyki i całowaliśmy się. Z jego zachowania wynika, że dążył do zbliżenia intymnego, jednak oświadczyłam mu stanowczo, że

nie odpowiadają mi takie warunki”[16].

Kukliński nie zmieniał obyczajów aż do chwili wyjazdu z Polski. Z Mirosławą G. spotkał się kolejny raz na kilka dni przed ewakuacją, w dniu Święta Zmarłych. Ponownie pojechali za miasto i znów pani Mirosława odmówiła, tłumacząc, że seks w lesie jej nie interesuje. Wobec tego umówili się, że „spotkają się pod koniec tygodnia i pojadą na całą noc do ja-

kiegoś motelu”. A kiedy nie zadzwonił, pani G. uznała, że pułkownikowi brakuje taktu...

## *BASIA*

„Okolo 13 lat temu bylam na wczasach w Międzyzdrojach – zeznawala w lutym 1982 roku Urszula M. – Podczas pobytu na wczasach poznałam i zaprzyjaźni-

łam się z Barbarą J. Wspólnie chodziłyśmy na spacerory. W czasie jednego ze spacerów poznałyśmy pułkownika Kuklińskiego. Wymieniony był ze swoimi kolegami na jachcie. [...] Barbara umówiła się z pułkownikiem Kuklińskim i po powrocie do Warszawy zaczęli się spotykać”[17].

W ten sposób rozpoczęła się zapewne największa miłość pułkownika Kuklińskiego. Młodsza o 16 lat Barbara J. stała się

jego nieodłączną towarzyszką, o wiele bliższą niż małżonka. Nie planowali jednak wspólnej przeszłości, a pułkownik podobno „oświadczył jej wręcz, że nigdy nie rozwiedzie się ze swoją żoną”.

„Kukliński nigdy nie obiecywał J. zawarcia związku małżeńskiego i ona o tym doskonale wiedziała – potwierdzał pułkownik Włodzimierz Bauer. – Barbara nie mogła mieć dzieci. [...] Z opowiadań Kuklińskiej wiem, że oriento-

wała się ona w kontakcie prywatnym jej męża z Barbarą J.”[18].

Nie wiadomo, jak na losy ich związku wpłynęła bezpłodność Barbary. Sądząc po częstych wzmiankach na ten temat w wypowiedziach jej znajomych, bardzo to przeżywała. Tym bardziej że pośrednim sprawcą nieszczęścia był sam Kukliński, który miał ją zmusić do aborcji, gdy zaszła z nim w ciążę. Nie myślała jednak o rozstaniu z pułkownikiem, albo-

wiem wydaje się, że on również był miłością jej życia. Zapewne z tego właśnie powodu obojgu zdarzało się zapominać o otaczającym ich świecie.

„W czasie spaceru Ryszard powiedział mi – opowiadała Urszula M. – że [kiedyś] otrzymał propozycję wyjazdu na placówkę dyplomatyczną. W związku z tym mieli go wezwać gdzieś na rozmowę. W trakcie tej rozmowy, jak wynikało z wypowiedzi Ryszarda,



pokazano mu film, na którym uwidoczniiony był on i Barbara, jak biegają nago po lesie. To właśnie miało zadecydować o tym, że nie wysłano go na placówkę dyplomatyczną”[19].

Kochankowie wykorzystywali każdą wolną chwilę, aby być razem. Barbara towarzyszyła pułkownikowi w wyjazdach służbowych, także tych zagranicznych. Zdarzyło się nawet, że „odwiedziła go w Moskwie, kiedy był on tam

na jakimś kursie”, towarzyszyła mu też w niektórych rejsach. A znajomym mówiła, że chociaż wie, iż on nigdy się nie rozwiedzie, to „sposób, w jaki spotyka się z Ryszardem, w zupełności jej wystarcza”.

Kukliński wspomagał ją finansowo i obsypywał prezentami zakupionymi w Peweksie lub przywiezionymi z zagranicy. Zaangażowanie pułkownika stało się szczególnie widoczne, kiedy jego

partnerka otrzymała mieszkanie.

„J. po otrzymaniu mieszkania własnościowego otrzymała od Kuklińskiego 60 tysięcy złotych na urządzenie – zeznawał pułkownik Bauer. – [...] Wyposażenie mieszkania J., a szczególnie glazura została nabyta w PKO. Projektantem urządzenia mieszkania był pułkownik Kukliński”[\[20\]](#).

Ryszard bywał również częstym gościem w domu rodzinnym kochanki, toteż dobrze znali go za-

równy jej ojciec, jak i brat (matka wówczas już nie żyła). Obaj panowie domyślali się charakteru związku Barbary z Kuklińskim, orientowali się też w jego sytuacji rodzinnej. Ale nie protestowali, być może licząc na to, iż pułkownik wreszcie rozwiedzie się z żoną. Tym bardziej że Kukliński czasami dawał im to do zrozumienia.

„W czasie spotkań – zeznał ojciec Basi – Ryszard Kukliński opowiadał, że nie bardzo ukła-

dają mu się stosunki rodzinne. Wspominał kilka razy, że ma zamiar rozwieść się z żoną. Nie podawał jednak, dlaczego chce to zrobić”[21].

Romans Ryszarda Kuklińskiego i Barbary J. trwał około dziesięciu lat. W tym czasie pułkownikowi zdarzały się wprawdzie liczne przelotne związki, ale zawsze do niej wracał. I nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy ich znajomości, gdyby w kwietniu

1979 roku Barbara nie zmarła na wylew krwi do mózgu. Kukliński bardzo to przeżył, pomagał przy organizacji pogrzebu i to właśnie on zajął się przygotowaniem tablicy nagrobnej.

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że dość szybko pocieszył się w ramionach innej kobiety. Zainteresował się jej przyjaciółką, nie przerwał też pasma swoich przelotnych podbojów.

„W kilka miesięcy po

śmierci Barbary zaprosił mnie na spotkanie – wspominała Urszula M. – [...] Pojechaliśmy jego samochodem poza Warszawę. W tej chwili nie pamiętam do jakiego lokalu [...]. Wypiliśmy po lampce alkoholu, a następnie udaliśmy się do części hotelowej. Tam doszło między nami do zbliżenia intymnego. Całe spotkanie trwało około dwóch godzin. Podobnych spotkań mogło być około pięciu. W czasie wyjazdów poza Warszawę zawsze

wstępowaliśmy do [...] lokalu, a następnie udawaliśmy się do części hotelowej. Sprawy związane z załatwieniem pokoju zawsze załatwiał Ryszard. Nigdy nie doszło między nami do zbliżenia w lesie. [...] Za miasto wyjeżdżaliśmy jedynie wtedy, kiedy nie mieliśmy możliwości spotkania u mnie w domu”[22].

Nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę tkwi w duszy drugiego człowieka. Kukliński zawsze miał



luźny stosunek do kwestii wierności męsko–damskiej, ale do Barbary J. był jednak szczerze przywiązany. Po śmierci partnerki utrzymywał kontakt z jej ojcem, a tuż przed ewakuacją, pomimo narastającego zagrożenia, znalazł czas, aby się z nią pożegnać.

„[...] pamiętam, że będąc na cmentarzu na grobie córki, zauważyłem na jej grobie kwiaty od Ryszarda – mówił ojciec Basi. – Poznałem to dlatego, że Ryszard za-

wsze na grobie mojej córki składał wianek róż”[23].

## *FINANSE RYSZARDA KUKLIŃSKIEGO*

„Statystycznie niemal co dwa miesiące – pisał Sławomir Cenckiewicz – Kukliński dostawał nagrody finansowe (od 2,5 tysiąca do 4 tysięcy złotych) i pisemne po-

chwały od przełożonych. A to za przygotowanie ćwiczeń, za zaangażowanie w prace sztabowe i operacyjne, za wkład pracy czy przygotowanie posiedzenia Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego, a opiniujący go przełożeni – głównie szef Sztabu Generalnego generał Florian Siwicki i jego zastępcy – ścigali się między sobą na pochwały”[24].

Sprawy finansowe pułkow-

nika do dzisiaj rozpalają emocje. Jego przeciwnicy twierdzą, że brał pieniądze od CIA, podczas gdy obrońcy uważają, że przekazywał materiały nieodpłatnie. Sam zainteresowany twierdził, iż od Amerykanów nigdy nie wziął żadnej gotówki, co potwierdzał prowadzący go agent CIA, David Forden:

„Nikt mu za to nie płacił. Bardzo szybko zrozumieliśmy, zarówno ja, jak i moi koledzy, że

mógłby to potraktować jako znie-  
wagę”[25].

Poziom życia rodziny Ku-  
klińskich oceniano bardzo różnie.  
W czasach gdy mieszkali w służ-  
bowym lokalu przy ulicy Ol-  
brachta w Warszawie, ich znajomi  
z kręgów oficerskich określali jego  
wyposażenie jako przeciętne. Na-  
tomiasz gościom niezwiązanym z  
wojskiem mieszkanie Kuklińskich  
wydawało się niemal luksusowe.  
Najwyraźniej ocena zależała od

standardów przyjętych w danym środowisku.

Dziesięć lat po powrocie Kuklińskiego z Wietnamu jego rodzina przeprowadziła się do willi, a właściwie do segmentu na Nowym Mieście. Była to niezwykle ekskluzywna lokalizacja, w samym centrum Warszawy, a jednocześnie przy cichej i spokojnej uliczce.

„Mieszkałem przy ulicy Rajców 11, na Nowym Mieście, w

domu zbudowanym w latach siedemdziesiątych przez Oficerskie Spółdzielcze Zrzeszenie Budowy Domów Jednorodzinnych »Skarpa« – wspominał pułkownik. – Mój dom, jeden z ośmiu, wybudowałem przez sześć lat z pieniędzy za sprzedany jacht, z rekompensaty za rezygnację z kwatery wojskowej, która mi przysługiwała – a to było 30 procent wartości domu, płatne z góry – z pożyczki hipotecznej oraz z pracy mojej,

żony i synów”[26].

Czy jednak Kuklińscy mogli sobie pozwolić na spłatę i wykończenie domu z własnej pracy? Nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Hanna zarabiała powyżej średniej krajowej (pracowała zawodowo do połowy 1978 roku), a Ryszard otrzymywał wysoką pensję i regularne nagrody? Informację o udziale synów trzeba chyba przyjąć z przymrużeniem oka, bo ich finansowy wkład w bu-



dowę willi w latach 70. mógł być co najwyżej symboliczny. Oczywiście spółdzielnia oficerska oferowała preferencyjne ceny, a Kuklińscy mieli dostęp do tańszych materiałów, ale pomimo to koszty inwestycji wydają się przekraczać ich możliwości finansowe.

Nawiasem mówiąc, niedawno ukazało się ogłoszenie o sprzedaży jednego z domów przy ulicy Rajców. Czasy się wprawdzie zmieniły, ale cena 2,8 miliona

złoty robi dość duże wrażenie...

Zbudowanie domu to jednak nie wszystko, bo prawdziwe problemy zaczynają się przy jego urządzaniu. Wprawdzie sąsiadka Kuklińskich, Teresa Hermaszewska, twierdziła, że wyposażenie segmentu Kuklińskich było „na raczej przeciętnym poziomie”, to jednak inne są standardy i wymagania generalicji, a inne oficerów niższych szarż. Tymczasem pani Teresa była żoną generała Władys-

sława Hermaszewskiego, dowódcy I Korpusu Obrony Powietrznej Kraju. Nie ulega natomiast wątpliwości, że na oficerach niższych stopniem willa Kuklińskich robiła ogromne wrażenie.

„[...] ogólnie orientowałem się, że posiada on domek prywatny w okolicach Starego Miasta – zeznawał podwładny Kuklińskiego, pułkownik Marian Janik. – Nigdy jednak nie byłem zaproszony, jak również służbowo Kuklińskiego

nie odwiedzałem. Ogólnie panowała opinia, że Kukliński wkłada dużo pracy w ten domek, sam wspominał, że wiele prac wykonuje osobiście. [...] Na polecenie zarządu zostałem wytypowany do uczestniczenia podczas przeszukiwania dokonywanego przez oficerów WSW. Dopiero wówczas przekonałem się, że Kukliński posiada nie żaden domek, lecz bardzo komfortową willę, wyposażenie willi luksusowe, meble, moim zda-

niem, wykonywane na zamówienie. Takiej willi sposobem gospodarskim się nie wykona”[27].

Wiadomo jednak, że Kukliński zaciągał kredyty na prace wykończeniowe, co potwierdza zeznanie jego kolegi, pułkownika Ryszarda Fornalczyka:

„W 1974 roku lub 1975 roku, daty bliżej nie pamiętam, Kukliński zwrócił się do mnie, abym był jednym z żyrantów pożyczki pobranej z banku czy

KKOP [Koleżeńska Kasa Oszczędnościowo-Pożyczkowa – S.K.],  
Wiem, iż chodziło o kwotę 150 tysięcy złotych. Pożyczka była związana z budową willi. Jestem przekonany, że pożyczka została zwrócona. Słyszałem, że ktoś jeszcze żyrował Kuklińskiemu różne pożyczki, lecz bliżej tego nie znam”[28].

I rzeczywiście pułkownik stworzył coś w rodzaju prywatnej piramidy finansowej i zaciągał

nowe kredyty (często żyrowane przez oficerów Sztabu Generalnego), aby spłacać poprzednie. Do tego notorycznie pożyczał od znajomych duże kwoty, które zwracał zresztą niezwykle punktualnie. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że gdyby faktycznie potrzebował prywatnych pożyczek, to zdarzałyby mu się opóźnienia w ich spłacie. Tymczasem można podejrzewać, że był to rodzaj parawanu mającego zasłonić jego prawdziwą

sytuację finansową...

Pułkownik Mieczysław Janik nie miał wątpliwości, że Kuklińscy nie mogli w legalny sposób osiągnąć swojego statusu materialnego. Warto zwrócić uwagę na tę opinię, albowiem pochodzi ona od podwładnego, który wiedział, ile jego przełożony zarabia:

„[...] każdy, kto tylko był w domu pułkownika Kuklińskiego, powinien odnieść wrażenie, że ten luksus nie pochodzi z legalnego



źródła. Takie jest moje odczucie jako oficera, który orientuje się, ile zarabiał pułkownik Kukliński i jaką kwotą mógł dysponować z tytułu nakładów otrzymywanych od MON”[29].

Nie była to odosobniona opinia, albowiem wyposażenie domu stanowiło dużą niespodziankę dla osób odwiedzających Kuklińskich po raz pierwszy.

„Wystrojem mieszkania byłem bardzo zaskoczony – przyzna-

wał podpułkownik Mieczysław Kacprzyński. – Wnętrze było luksusowo wykończone. Pokazywał mi piękne meble, wykończenie pokoi, kuchni, a nawet garażu. Na moje pytanie, skąd wziął pieniądze na taki luksus, odpowiedział mi jak poprzednio, że dużo zarabia, że otrzymuje nagrody”[30].

Oceniano, że tylko za samą dębową boazerię w przedpokoju i na schodach pułkownik musiał zapłacić około 100 tysięcy złotych

(bez kosztów montażu). Jednak choć w 1978 roku średnia krajowa wynosiła zaledwie 4887 złotych, to Kukliński zarabiał znacznie lepiej i rzeczywiście regularnie otrzymywał wysokie nagrody. Mógł więc starać się przekonywać otoczenie, że wybudował i wyposażył dom za pieniądze pochodzące z legalnych źródeł.

„Zawsze twierdził, że ma do spłacania pożyczki, [i] że pożyczki związane są z kontynuacją

budowy domku – mówił pułkownik Wit Lewandowski. – Uchodził zatem Kukliński [za] oficera zadłużonego i to znajdowało potwierdzenie w jego zaciąganych pożyczkach”**[31]**.

Tak więc jeśli pożyczki te były kamuflażem, to niezwykle skutecznym, bo w resorcie nie zwracano większej uwagi na finanse pułkownika. Dla przełożonych liczyło się tylko to, że ich podwładny regularnie spłaca długi,

a jego sytuacja materialna nie odbija się negatywnie na efektach jego pracy. I jeżeli rozmawiano o prywatnych sprawach Kuklińskiego, to raczej o jego podbojach erotycznych, czego po latach miał żałować Czesław Kiszczak:

„Gdybyśmy dokładniej się zainteresowali jego samochodem, jego poziomem życia, jego niektórymi zwyczajami... Jeździł sfatygowanym fordem taunusem [według innych źródeł oplem rekor-

dem – S.K.], ale po jego ucieczce okazało się, że to marne opakowanie kryło w sobie znakomity nowy silnik z nowym zawieszeniem. Miał luksusową willę przy ulicy Rajców i okazały sad pod Warszawą. To był majątek. Jedna sprawa zdemaskowałaby go bardzo szybko, gdybyśmy tylko na to zwrócili uwagę”[32].

Prawdziwym problemem dla rzeczników finansowej nieskazitelności pułkownika okazał się

jednak nie segment przy ulicy Rajców, ale sad w Stefanówce koło Wiązowny. Posiadłość o powierzchni ponad 10 hektarów oficjalnie kupiono na Bogdana Kuklińskiego za niewyobrażalną kwotę 2 milionów złotych. Do tego doszło jeszcze obciążenie hipoteczne w wysokości 450 tysięcy złotych. Transakcję sfinalizowano na przełomie 1980 i 1981 roku, kiedy Hanna Kuklińska od dwóch lat już nie pracowała.

Średnia krajowa wynosiła wówczas 6040 złotych, co oznacza, że gdyby pułkownik dokonywał zakupu obecnie, musiałby zapłacić blisko 1,2 miliona złotych. A do tego jeszcze hipoteka w wysokości ponad ćwierć miliona...

Bogdan Kukliński (oficjalnie bez zatrudnienia) zapłacił 250 tysięcy zadatku, po czym ojciec zakończył transakcję. Pieniądze przekazał w swojej warszawskiej willi, a dotychczasowy właściciel



sadu zapamiętał, że otrzymał banknoty posegregowane i że każdy plik miał banderolę bankową. Przy okazji Kukliński wyjaśnił mu, że pieniądze na kupno sadu zarobił przed laty w Wietnamie. Natomiast Teresa Hermaszewska usłyszała od pułkownikowej Kuklińskiej, że zakup ten sfinansowała jej matka...

Wiadomo również, że tuż przed ostatecznym rozliczeniem Kuklińskiemu zabrakło nieco go-

tówki. W tej sytuacji poprosił o pomoc ojca nieżyjącej już Basi.

„W kilka dni po tej rozmowie – opowiadał Czesław J. – Ryszard odwiedził mnie ponownie i powiedział mi, że potrzebuje trochę pieniędzy. Pożyczyłem mu wtedy 150 tysięcy złotych. Po kilku dniach Ryszard przyszedł do mnie ponownie i poprosił mnie jeszcze o pożyczenie 50 tysięcy złotych, gdyż, jak twierdził, zabrakło mu na opłacenie rejenta.

Wszystkie pożyczone pieniądze zostały zwrócone przez Ryszarda w przeciągu jednego miesiąca od czasu udzielenia mu pożyczki”[33].

Sadem rzeczywiście zajmował się Bogdan, który w międzyczasie zdobył uprawnienia rolnicze (był to warunek przeprowadzenia transakcji na jego nazwisko). Wiadomo, że „usprzętował” nieco gospodarstwo – zakupił nowy traktor, dysponował również dwoma samo-

chodami (warszawa kombi i tarpan). To były kolejne koszty i to wcale niemałe. Gdy bowiem kilka miesięcy później rodzina szykowała się do ewakuacji, Bogdan pośpiesznie sprzedał ciągnik. Użył za niego 120 tysięcy złotych, a nabywca był bardzo zadowolony z tak okazjijnej ceny...

Franciszek Puchała, emerytowany generał LWP, w swojej bardzo krytycznej (delikatnie mówiąc) biografii Kuklińskiego przy-

tacza opinię anonimowego oficera kontrwywiadu:

„[...] Proszę nie wierzyć, że nie brał pieniędzy. Musiał brać, bo skąd miałby na wille, jacht, samochód i hektary sadów. Poza tym wiedział, że w Waszyngtonie ma swoje konto, na które wpływają dolary. I że jak wyjedzie, to w USA czekać będzie na niego obywatelstwo i pełne konto w banku. I będzie urządzony do końca życia”[\[34\]](#).

Dziwnym jednak trafem ludzie wyrażający podobne opinie niemal zawsze pozostają anonimowi. Przypadek? Bardzo wątpliwe. Przy okazji warto też przypomnieć, że dla Kuklińskiego droga do „urządzenia się do końca życia” była wówczas bardzo daleka, a o wiele bliższy i bardziej realny wydawał się pluton egzekucyjny...

Nie rozstrzygając ostatecznie kwestii, czy pułkownik był fi-

nansowany przez Amerykanów, czy też nie, warto zauważyć, że jego ewentualne przyznanie się do brania pieniędzy przyniosłoby mu fatalne skutki wizerunkowe. Inaczej bowiem traktuje się złamanie przysięgi wojskowej z powodów ideowych, a inaczej, gdy w tle pojawiają się pieniądze. A każdy, kto trochę zna komunistyczną frazeologię, bez trudu może sobie wyobrazić pełne oburzenia wypowiedzi o „judaszowych srebrnikach,

za które pułkownik sprzedał swoją Ojczyznę”.

Tak czy inaczej, trudno racjonalnie wyjaśnić, w jaki sposób Kuklińscy weszli w posiadanie swojego majątku. Równie trudno oprzeć się wrażeniu, że wydawanie ocen w tej sprawie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby rzecz dotyczyła jakiegoś innego kraju. Nad Wisłą bowiem ideowość i patriotyzm nader rzadko idą w parze z finansową pomyślnością...



# *KAMUFLAŻ I SAMOTNOŚĆ*

Współpraca z CIA narzucała Kuklińskiemu wiele ograniczeń i wyzwań. Jednym z nich było wypracowanie rytmu pracy, który umożliwiałby bezpieczne przygotowywanie materiałów dla Amerykanów. Oznaczało to pracę po godzinach urzędowania i w dni wolne. Z czasem te nietypowe obyczaje pułkownika przestały kogokolwiek dziwić i wszyscy w

Sztabie Generalnym wiedzieli, że można go spotkać w biurze późnym wieczorem, a nawet w święta.

„Były przypadki i to dość częste, że pułkownik Kukliński wzywał mnie do pracy w soboty wolne i w niedziele i prosił o dostarczenie mu różnych dokumentów – mówiła starsza referentka w Zarządzie I Sztabu Generalnego, Hanna Więch. – Przeważnie dotyczyło to dokumentów, które były przygotowywane na posiedzenia

Układu Warszawskiego”[35].

Wydaje się, że przy okazji opracował również taktykę, która usprawiedliwiała przetrzymywanie ważnych dokumentów. Ten obdarzony znakomitą pamięcią analityk zachowywał się wobec podwładnych jak człowiek kompletnie rozkojarzony.

„Pułkownik Kukliński – kontynuowała Więch – nie przywiązywał większej wagi do obiegu dokumentów tajnych i tajnych spe-

cialnego znaczenia, przekazując te dokumenty wbrew przepisom o prowadzeniu biurowości w wojsku. [...] Były przypadki, że poszukiwałam danego dokumentu, i pytając się pułkownika Kuklińskiego o dany dokument, ten twierdził, że dokumentu nie posiada, a kiedy nalegałam, okazywało się, że dokument posiadał w szafie pancernej”[36].

Kamuflaż nie ograniczał się tylko do relacji z referentką, toteż

praktycznie wszyscy w biurze Kuklińskiego wiedzieli, że szef nigdy nie przestrzega zasad obiegu dokumentów, chociaż nigdy ich nie gubi. I chyba z czasem zaczęto uważać to za coś zupełnie normalnego.

„W pracy nad dokumentami – zeznawał starszy sierżant Stanisław Ziemka – pułkownik Kukliński okazywał duże roztargnienie. Po prostu jeżeli potrzebny był jakiś dokument innemu oficerowi, a

miał go u siebie pułkownik Kukliński, to jeżeli poszedłem po ten dokument, to kilka razy pułkownik Kukliński potwierdził, że ma go u siebie, jednak musiał długo go szukać w swoim sejfie. Zdarzało się, że pożyczzał dokumenty innym oficerom, nie odnotowując tego”[37].

Przełożeni byli jednak zadowoleni z efektów jego pracy, a dowództwo interesowały wyłącznie wyniki. Dzięki temu miał do-

stęp do dokumentacji, która pozostawała w gestii innych wydziałów. A na tym Kuklińskiemu najbardziej zależało.

„[Był] wysoko ceniony przez przełożonych i lubiany – przyznawał podpułkownik Wit Lewandowski – i odnosiło się wrażenie, że bez Kuklińskiego nie mogą się obyć. Były mu zlecane zadania, które nie należały do kompetencji kierowanego przez niego oddziału. Niektóre zadania były mu przeka-

zywane do osobistego załatwienia i nikt z podwładnych nie był zorientowany, co on wykonuje”[38].

Przy okazji cieszył się autentyczną popularnością wśród podwładnych. Uważano, że „posiadał dar zjednywania ludzi”, był sprawiedliwy i wykazywał troskę o podkomendnych. O sobie mówił niewiele, nigdy też nie narzekał na warunki pracy.

Tryb życia Kuklińskiego musiał się odbić na życiu towarzy-



skim jego rodziny. Pułkownik miał mało wolnego czasu (część zabierały mu zresztą kochanki), w efekcie praktycznie nie posiadał bliższych znajomych. Po wprowadzeniu się do domu przy ulicy Rajców Kuklińscy utrzymywali jednak w miarę bliskie kontakty z Herma-szewskimi. Zbliżeniu rodzin sprzyjał fakt, że Bogdan spotykał się wówczas z Grażyną Herma-szewską.

„Z rodziną Kuklińskich

utrzymywaliśmy dobre sąsiedzkie kontakty towarzyskie – potwierdzała matka dziewczyny. – Spotykaliśmy się przy okazji uroczystości rodzinnych, imienin, raz nawet wspólnie zorganizowaliśmy sobie zabawę sylwestrową. [...] W czasie naszych spotkań towarzyskich pułkownik Kukliński nigdy nie nadużywał alkoholu, a raczej był wstrzemięźliwy w picciu. Potrafił bardzo ciekawie prowadzić rozmowy towarzyskie”[39].

Większe grono znajomych miała Hanna, mąż z reguły przywoził ją na spotkania towarzyskie, a po pewnym czasie odbierał. Zawsze jednak gdzieś się spieszył, czasami tylko wypijał kieliszek wódki czy koniaku. Nie zwracał przy tym uwagi na fakt, że według ówczesnych przepisów jazda nawet po najmniejszej dawce alkoholu była zakazana.

Coś jednak zmieniło się w życiu Ryszarda w 1981 roku, bo

żona zaczęła się skarżyć swoim znajomym, że mąż często wraca z pracy pijany. Odgrażała się nawet, że „wie, gdzie zadzwonić”, aby „uspokoili całe to towarzystwo”. Nie orientowała się, że pułkownik nie wytrzymywał psychicznie napięcia. W kraju zanosilo się na konfrontację, Kukliński opracowywał plany wprowadzenia stanu wojennego. Od lat współpracował z Amerykanami, z czego nie mógł nikomu się zwierzyć. Za najbliż-

szego przyjaciela uważał prowadzącego go z ramienia CIA Davida Fordena, z którym w ciągu kilku lat rozmawiał łącznie przez 20 minut...

## *DYSKUSJE I SPORY*

Amerykanie twierdzą, że od Kuklińskiego otrzymali łącznie około 40 tysięcy stron dokumen-

tów. I właściwie do dzisiaj nie wiadomo, co pułkownik im przekazał, a zdania w tej kwestii są bardzo podzielone. Ciekawą teorię miał na ten temat nieżyjący już profesor Paweł Wieczorkiewicz i warto ją przytoczyć w dłuższym fragmencie:

„W swoim czasie zespół badawczy profesora Jerzego Poksińskiego [w którym brałem udział] odbył kilkadziesiąt godzin rozmów z czołową generalicją pol-

ską lat 60., 70. i 80. Właśnie na temat paktu [Układu Warszawskiego – S.K.] i udziału w nim Polaków. Na ich podstawie można sformułować jeden pewnik: nawet najwyżsi rangą generałowie, przewidywani na dowódców liniowych w przyszłej wojnie, o jej planach sporządzanych w Moskwie nie mieli pojęcia, ponieważ nie widzieli ich na oczy. O skali zaufania (czy też raczej nieufności) do Polaków w dowództwie Armii Sowieckiej świad-

czy fakt, że pierwszy przedstawiciel LWP przy dowództwie Układu Warszawskiego, generał Pióro w ramach swojej pracy wchodził do biura, dostawał zeszyt w kratkę (który po zakończeniu urzędowania musiał zdać do depozytu), ołówek i najnowsze wydanie »Prawdy«. Owe dokumenty, o których piszą akolici, pułkownik musiałby zatem dostać od wysokich rangą oficerów sowieckich, inaczej zdobyć ich nie miał sposobu”[\[40\]](#).



Dlatego można podejrzewać, że Kukliński dostarczał dokumenty dotyczące polskiego udziału w planowanej przez Sowietów wojnie, a sztabowcy amerykańscy na ich podstawie mogli sobie wyrobić sąd o zakresie i charakterze przyszłego konfliktu. Ten właśnie fakt spowodował już w wolnej Polsce kolejną falę dyskusji na temat osoby pułkownika. Zarzucono mu bowiem, że jego agenturalna działalność przyczyniłaby się w przy-

padku konfliktu zbrojnego do rzezi polskich oddziałów.

„[...] nie miał, bo nie mógł mieć dostępu do generalnych planów operacyjnych całego Układu Warszawskiego, a jedynie dojście do pewnej ich części, która dotyczyła zaangażowania naszych Sił Zbrojnych – mówił Janusz Onyszkiewicz. – W związku z tym wydał niejako plany operacyjne Wojska Polskiego. Jaki byłby tego efekt, można się łatwo domyślić. To na-

sze siły stałyby się głównym przedmiotem ataku, i to one mogłyby wówczas ponieść największe straty”[41].

Zapewne najważniejszym dokumentem, jaki Kukliński dostarczył CIA, były plany wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Z perspektywy czasu możemy ten fakt uznać za najważniejszą zasługę pułkownika, albowiem właśnie dzięki tej informacji Amerykanie zorientowali się, że Sowieci

nie planują interwencji w Polsce, co oznaczało rezygnację z gwałtownych działań mogących zakończyć się wybuchem III wojny światowej. I paradoksalnie, wydaje się, że ten przeciek przyniósł korzyści wszystkim zaangażowanym stronom.

„[...] wszyscy byli ogromnie zadowoleni – pisał Paweł Wieczorkiewicz. – Sami Amerykanie, ponieważ mogli przestać bać się interwencji sowieckiej w Polsce i

groźby, że rozpędzające się nad Bugiem czołgi z czerwoną gwiazdą ochłodzą silniki dopiero w wodach kanału La Manche. Szczęśliwi byli Kubańczycy, bo dzięki temu prezydent Reagan zrezygnował z retorsyjnej inwazji ich wyspy. Powody do satysfakcji mieli także Sowieci, wiedząc, że świadomi tego, co się zdarzy, ich rywale zachowają się w sposób przewidywalny”[42].

Nie zmienia to jednak

faktu, że w przypadku dekonspiracji Kukliński zostałby osądzony i stracony jako zdrajca. W polityce bowiem los jednostek nie jest nadmiernie ważny...

## *UCIECZKA*

2 listopada 1981 roku Kukliński dowiedział się, że polskie władze otrzymały informację o

szpiegu działającym w Sztabie Generalnym. Na odprawie w wąskim gronie osób generał Józef Skalski ogłosił, że Amerykanie weszli w posiadanie planów wprowadzenia stanu wojennego. Dla Kuklińskiego oznaczało to, że musi natychmiast uciekać, był bowiem jedną z dwóch osób mających dostęp do pełnej wersji dokumentów.

Skontaktował się z CIA, prosząc o ewakuację wraz z rodziną, po czym odbył z żoną długą

rozmowę, podczas której przyznał się do współpracy z Amerykanami. Następnie to samo powtórzył synom i chyba musiał poczuć ulgę, mogąc po latach ukazać rodzinie swoje prawdziwe oblicze.

Wydarzenia potoczyły się szybko i do dzisiaj właściwie nie wiadomo, w jaki sposób CIA wywiozło Kuklińskich z kraju. Niewykluczone nawet, że wyjechali osobno – oddzielnie pułkownik, oddzielnie jego rodzina. Prawdo-



podobnie miało to miejsce w nocy z 7 na 8 listopada 1981 roku.

Tuż przed ewakuacją Kukliński odwiedził jeszcze ojca Basi. Tym razem miał do niego prywatną prośbę, a chodziło o ulubienicę całej rodziny, czyli suczkę Zulę. Niedoszłemu teściowi powiedział, że wyjeżdża na kilka lat na placówkę do RFN i nie może publiczki zabrać ze sobą.

„[...] powiedział mi – zeznawał Czesław J. – że chciałby,

abym ja się nią opiekował w czasie jego nieobecności w kraju, dlatego że pies ten był ulubieńcem mojej córki i razem z córką moją Ryszard go kupował”[43].

Przy pożegnaniu Kukliński nieoczekiwanie rozplakał się, czym wprowadził swojego rozmówcę w niemałą konsternację. Pan Czesław nie wiedział, że pułkownik zegnał się wtedy z całym swoim dotychczasowym życiem, a symbolem tego był pies, który spędził

u niego 13 lat i którego kupował, będąc z ukochaną kobietą...

Zula nie zagrzała jednak miejsca u swojego nowego opiekuna. Bardzo tęskniła za właścicielami, nocami wyła, pogryzła też wykładzinę. Pan Czesław oddał ją więc do schroniska na Paluchu, gdzie po kilku dniach ulubienicę Kuklińskich uśpiono.

*USA*

Amerykanie dotrzykali słowa i rodzina Kuklińskich na stałe osiadła w USA. Zadbali nawet o sprawy uczuciowe Bogdana. Nawiązano dyskretny kontakt z jego pozostającą w kraju narzeczoną i przygotowano jej wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Akcję przeprowadzono perfekcyjnie – dziewczyna niezauważalnie pozatwiała swoje sprawy, po czym we wrześniu 1983 roku wyjechała na oficjalną wycieczkę do Rumu-

nii i tam zniknęła.

Kilka miesięcy później Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał Kuklińskiego na karę śmierci, degradację, utratę praw publicznych oraz konfiskatę mienia. Willę przy ulicy Rajców otrzymał ówczesny premier Zbigniew Messner, co było jawnym pogwałceniem prawa. Połowa domu należała przecież do Hanny Kuklińskiej, ale władze PRL nie przejmowały się takimi drobia-

zgami.

Iza i Bogdan pobrali się, niestety ich małżeństwo po kilku latach się rozpadło. Niebawem też doszło do tragedii, które ciężko doświadczyły pułkownika. W styczniu 1994 roku Bogdan Kulkliński zaginął podczas rejsu morskigo u wybrzeży Florydy, natomiast kilka miesięcy później Waldemar zginął w tajemniczym wypadku samochodowym (sprawcy nigdy nie odnaleziono). Od razu

pojawiły się podejrzenia, że za ich śmiercią stały dawne służby Układu Warszawskiego.

Nie brakowało jednak sceptyków, którzy uważali, że śmierć młodych Kuklińskich sfingowano, a synowie pułkownika spokojnie żyją z nową tożsamością. Pojawiła się również hipoteza, że po tragicznym zgonie Bogdana na wszelki wypadek zabezpieczono życie Waldemara. Jak było naprawdę, zapewne nigdy się nie do-

wiemy.

Z powodu krajowych rozgrywek politycznych bardzo opornie szła również rehabilitacja pułkownika. Już w wolnej Polsce, w 1990 roku, zdecydowano się jedynie na złagodzenie kary, zamieniając karę śmierci na 25 lat więzienia! Dopiero pięć lat później wyrok uchylono, przywracając Kuklińskiemu stopień wojskowy, a następnie całkowicie go zrehabilitowano. Uzasadnienie decyzji po-



zostało jednak tajne.

Postać Ryszarda Kuklińskiego do dzisiaj budzi skrajne emocje. Jedni uważają go za zdrajcę, inni za bohatera narodowego. Dla jego przeciwników najważniejszy pozostaje fakt złamania przysięgi wojskowej, co uważane jest za najcięższą zbrodnię. Nie wdając się w dyskusję na ten temat, warto zauważyć, że obowiązującą przysięgę złamali Romuald Traugutt, Józef Bem, Piotr Wy-

socki, Ignacy Prądzyński, Józef Sowiński i wielu, wielu innych. I gdyby z naszego panteonu narodowego usunąć wszystkich, którzy na przestrzeni ostatnich 200 lat postąpili podobnie, musielibyśmy na nowo pisać podręczniki do nauki historii. I byłyby one o wiele uboższe...



# Zakończenie



**G**dy będą Państwo kończyć lekturę tej książki, ja zapewne będę już pisał następną pozycję z cyklu o elitach

PRL. Tym razem planuję powrócić do wątku, który jest mi najbardziej bliski, czyli do środowiska artystycznego Polski Ludowej. Zamierzam się zająć karierami ludzi, którzy nigdy nie osiągnęli sukcesu, do którego byli predysponowani. Zdecydowały o tym bardzo różne powody: alkohol, zawiść otoczenia, słaba odporność psychiczna, a czasami zwykły przypadek. Wydaje mi się, że dobór bohaterów będzie dla Czytelników atrak-

cyjny, ponieważ mam zamiar opowiedzieć o Zbigniewie Cybulskim, Edwardzie Stachurze, Wiesławie Dymnym, Andrzej Brychcie, Stanisławie Grochowiaku, Teresie Tuszyńskiej i Barbarze Kwiatkowskiej-Lass. Większość z nich zmarła stosunkowo młodo, a ci, którzy żyli dłużej, zostali niemal zupełnie zapomniani. I stało się tak ze szkodą dla nas wszystkich, albowiem na stałe powinni mieć oni miejsce w dziejach polskiej

kultury.

Wprawdzie o niektórych z moich bohaterów pisano już wcześniej i to wcale niemało, z reguły jednak działało się to już wiele lat temu, gdy nie były jeszcze dostępne archiwa IPN. Ponadto z każdym rokiem pojawiają się nowe źródła: dzienniki, pamiętniki i zbiory listów, które rzucają całkiem nowe światło na sprawy rzekomo już wcześniej znane.

Początkowo planowałem



cykl książek o elitach PRL na pięć pozycji, tymczasem właśnie ukończyłem siódmą, a „Stracone pokolenie PRL” będzie już ósmą. I dzisiaj widzę, że pomysłów wystarczy mi jeszcze na kolejne siedem książek. Pozostaje tylko wytrwale zbierać materiały i spokojnie pisać...



# **Ważniejsza bibliografia**



Atlas J., *Atlas kryminalny*, Warszawa 1992.

*Bank pana Janosza*, <http://katowice.naszemiasto.pl/archiwum/bank-pana-janosza,790126,art,t,id,tm.html>

Bereś W., Skoczyła J., *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991.

*Bilet do III RP... za 20 mld dolarów. Rachunek sumienia generała Gromosława Czempińskiego, „Angora” 31/2011, 32/2011.*

*Bosak H., Wnuk generała. Z tajemnic polskiego wywiadu 1977–1979, Warszawa 2000.*

*Cenckiewicz S., Długie ramię Moskwy, Warszawa 2011.*

*Cenckiewicz S., Kobiety jako ka-*

*muflaż, „Do Rzeczy”*  
21/2014.

Ciszak P., *Kontenery srebra, kilogramy złota do opłacenia akcji MSW i zlecenie na Michnika. Oto największa afera z udziałem służb,*  
[1110](http://menstream.pl/wiadomosci-reportaze-i-wywiady/kontenery-srebra-kilogramy-zlota-do-oplacenia-akcji-msw-i-zlecenie-na-michnika-oto-najwiek-</a></p></div><div data-bbox=)

sza-afery-z-udzialem-  
sluzb,0,1480275.html

Connolly K., *Podstawiony za  
młodu*, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/swiat/1538215,1,podstawiony-za-mلودu.read>

Czechowicz A., *Siedem trudnych  
lat*, Warszawa 1972.

Dubiński K., *Ryszard Kukliński.  
Bohater czy zdrajca*, Warszawa 2014.

Dubiński K., Jurczenko I., *Oko Pentagonu: rzecz o pułkowniku Ryszardzie Kukulskim*, Warszawa 1995.

Dygat S., *Jezioro Bodeńskie*, Warszawa 1980.

Gmyz C., Gociek R., *Zawód: dziennikarz śledczy*, Warszawa 2013.

Gontarczyk R., *Ludzie z „Żelaza”*, „Wprost” 16/2006.



Grajewski A., Machcewicz R., Żaryn J., *Raport: Sprawa ojca Konrada Hejmo. Działania Służby Bezpieczeństwa przeciwko Kościołowi Katolickiemu w latach 1975–1988*, <http://ipn.gov.pl/pl/aktualnosci/634,Raport-Sprawa-ojca-Konrada-Hejmo-Dzialania-Sluzby-Bezpieczenstwa-przeciwko-Kosci.html>

<http://opole.tvp.pl/15275485/odc-69-rosalia-romaniec>

IPN 0648/14,1.14.

IPN 0649/14, t.1,2, 6,7,14.

IPN 2320/188,1.1,2.

IPN BU 0449/31/7.

IPN BU 0449/53/18.

IPN BU 0449/81.

IPN BU 483/59.

IPN BU 00756/93.

IPN BU 01220/144.

IPN BU 02108/11.

IPN BU 2366/2.

IPN BU 2386/15733.

IPN BU 003175/443.

Jałowiczor J., *Operacja propagandowa Tomasza Turowskiego, rozmowa z Piotrem Jeglińskim,*

<http://www.fronda.pl/a/operacja-propagandowa-tomasa-turowskiego,31198.html>.

Jarosz D., Pasztor M., *Robineau, Bassaler i inni. Z dziejów stosunków polsko-francuskich w latach 1948–1953*, Toruń 2001.

*Jerzy Kowalski, der Mann, den es zweimal gab*,  
<https://www.welt.de/vermi->

sches/article114328416/Jerzy-Kowalski-der-Mann-den-es-zweimal-gab.html.

Jurczenko I., Kilijanek K., *Ludzie z „Żelaza”*. *Największa afera w polskim wywiadzie*, Warszawa 1991.

Kaczyńska M., *Poznań – miasto wciąż ma szansę przejąć MTP*, <http://poznan.nasze-miasto.pl/arttykul/poznan-miasto-wciaz-ma-szanse->

przejac-mtp-wi-  
deo,935611,t,id.html

*Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, Warszawa 1971.

Koehler J.O., *Chodzi o papieża. Szpieczy w Watykanie*, Kraków 2008.

Komar W., *Alfabet Władysława Komara. Sportowcy, artyści, prominenci*, Warszawa 1991.

Kotowski E., *Wspomnienia (1971–1990)*, Warszawa 2007.

Krajewski A., *Szpieg PRL w Radio Wolna Europa*, <http://polska.new-sweek.pl/szpieg-prl-w-radio-wolna-europa,74085,1,1.html>

Krajewski A., *Zasługa dla Polski. Pułkownik Ryszard Kukliński opowiada swoją*

*historię, b.m.w. 2014.*

Kublik A., Czuchnowski W., *Kret w Watykanie. Prawda Turrowskiego*, Warszawa 2013.

„Kurier Szczeciński”, 23.11.1949.

Latkowski S., Majewski M., *Zacharski nie był dobrze przygotowany do szpiegowania w Ameryce*, rozmowa z Vincentem Severskim,





MacEachin, D.J., *Amerykański wywiad i konfrontacja w Polsce 1980–1981*, Warszawa 2011.

Machcewicz P., *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, „Rzeczpospolita” 4–5.01.2006.

Maciorowski M., *Szpiedzy tacy jak my*, <http://wyborcza.pl/magazyn/1,133156,14188326,Szp>

dzy\_tacy\_jak\_my.html

*Mieczysław Janosz zaatakował reportera „Dz”. Posłuchajcie, co miał do powiedzenia, <http://katowice.naszemiasto.pl/archiwum/mieczyslaw-janosz-zaatakowal-reportera-dz-posluchajcie-co,476804,t,id.html>*

Morawski J., *Afera Żelazo*, TVP 2006.

Morawski J., *Złota afera*, Warszawa 2007.

Natorski R., *Kim był Marian Zacharski. Niezwykła historia polskiego Bonda*, <http://facet.wp.pl/kat,69514,wid,157domość.html?ti-caid=11341c>

*Nowak-Jeziorański o agentach w RWE*, <http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,No->

wak-Jezioranski-o-agen-  
tach-w-  
RWE,wid,261236,wiadomo-  
sc.html?ticaid=112f82

Nowak-Jeziorański J., *Polska z bliska*, Kraków 2003.

Nowak-Jeziorański J., *Wojna w eterze*, Kraków 1991.

Odolska W., *Francuski wywiad infiltruje Polskę?! Sensacyjne odkrycie...*,  
<http://www.polskiera->

dio.pl/39/156/Arty-  
kul/748899,Francuski-wy-  
wiad-infiltruje-Polske-Sen-  
sacyjne-odkrycie

Paczkowski A., *Aparat bezpie-  
czeństwa w latach 1944–  
1956*, 1.1, Warszawa 1994.

Pawlik I., *Jerzy Pawłowski.  
Szpieg w masce*, War-  
szawa, b.d.w.

Pawlikowicz L., *Kontrwywiad Mi-  
nisterstwa Bezpieczeństwa*

*Publicznego w latach 1948–1954 według relacji płk. Stefana Antosiewicza, „Rzeszowskie Zeszyty Naukowe”, 17/1995.*

*Pawlikowicz L., Tajny front zimnej wojny. Uciekinierzy z polskich służb specjalnych 1956–1964, Warszawa 2004.*

*Pawłowski J., Najdłuższy pojedynek. Spowiedź szablisty*

*wszech czasów – agenta  
CIA, Warszawa 1994.*

*Pawłowski J., Trud olimpijskiego  
złota, Warszawa 1973.*

*Piecuch H., Imperium służb spe-  
cjalnych. Od Gomułki do  
Kani, Warszawa 1997.*

*Piecuch H., Pożoga W., Wojciech  
Jaruzelski tego nigdy nie  
powie, Warszawa 1992.*

*Polski wywiad. Wielcy agenci i*



*zawistne miernoty, „Focus Śledczy” 5/2011. Pożoga W., Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogę, I zastępcę ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu, Warszawa 1987.*

*Pranie „Żelaza”, „Tygodnik Spotkania” 21/1992.*

*„Przegląd Sportowy” 05.08.1992.*

Puchała F., *Szpieg CIA w polskim Sztabie Generalnym. O Ryszardzie Kuklińskim bliżej prawdy*, Warszawa 2014.

*Pułkownik Kukliński. Wywiady – opinie – dokumenty*, Lublin 1998.

Putrament J., *Półwieku. Zagranica*, Warszawa 1969.

Pytlakowski P., *Mistrz, który przegrał życie*, „Polityka”

3/2005. Rakowski M.,  
*Dzienniki polityczne*  
1969–1971, Warszawa  
2001.

Rakowski M., *Dzienniki poli-  
tyczne 1984–1986*, War-  
szawa 2005. Romaniec R.  
(reż.), *Meine Familie und  
der Spion*, 2013.

Rusin K., *Wywiad z Davidem  
Fordenem*,  
<http://player.pl/programy->

online/tylko-w-player-pl-  
odcinki,522/odcinek-9,wy-  
wiad-z-davidem-forde-  
nem,S00E09,19995.html

„Rzeczpospolita” 233/1992.

Sasiński M., Ryniak S., Sprawa  
szpiegowska kryptonim  
„Paweł”.

*Niektóre uwagi dotyczące form i  
metod działalności wy-  
wiadu USA na przykładzie  
sprawy Pawłowskiego, cz.*

2, IPN BU 483/59.

Słowiński P., *Bohaterowie i zdrajcy: Polacy w służbach różnych wywiadów*, Chorzów 2012.

Stenogram posiedzenia Zgromadzenia Narodowego z dnia 13 grudnia 1949 roku w: Journal Officiel de la République Française. Débats Parlementaires. Assemblée Nationale. Année 1949. N°

110 A.N. 14 décembre  
1949. s. 6775.

Stokłosa P., *Prawda o Jerzym Pawłowskim*, <http://ksiazkisportowe.blogspot.com/2012/09/prawda-o-jerzym-pawowskim.html>

Suworow W., *Akwarium*, Warszawa 2010.

Szaniawski J., *Samotna misja – pułkownik Kukliński i zimna wojna*, Warszawa–

Chicago 2003.

Szlachcic F., *Gorzki smak władzy. Wspomnienia*, Warszawa 1990.

*Szpieg w Wolnej Europie*,  
<http://rwe.salon24.pl/289934,szpieg-w-wolnej-europie>

*The Case of William Bell and Marian Zacharski, Security Awareness in the 1980's. Featured Articles-*

*from the Security Awareness Bulletin, 1981–1989.*

„Trybuna Ludu” 13.02.1950 i  
29.03.1971.

Weiser B., *Ryszard Kukliński. Życie ściśle tajne*, Warszawa 2009.

Wieczorkiewicz P., Błażejowska J., *Przez Polskę Ludową na przełaj i na przekór*, Poznań 2011.



„Więź” 11/1994.

*Wszystkie twarze Tomasza Turowskiego, czyli od agenta wywiadu PRL do godności dyplomaty w III RP. Jan Pospieszalski i jego goście ujawniają nowe fakty,*  
[http://wpolityce.pl/polityka/157651-wszystkie-twarze-tomasza-turowskiego-czyli-od-agenta-wywiadu-prl-do-godnosci-dyplomaty-w-iii-rp-jan-po-](http://wpolityce.pl/polityka/157651-wszystkie-twarze-tomasza-turowskiego-czyli-od-agenta-wywiadu-prl-do-godnosci-dyplomaty-w-iii-rp-jan-po)

spieszalski-i-jego-goscie-  
ujawniaja-nowe-fakty

Zacharski M., *Nazywam się Zacharski, Marian Zacharski. Wbrew regułom*, Poznań 2009.

Zadworny A., *Sprawa Robineau*, „Ale Historia”, [http://wyborcza.pl/alehistoria/1,135757,15252043,Sprawa\\_Robineau.html](http://wyborcza.pl/alehistoria/1,135757,15252043,Sprawa_Robineau.html)

Zychowicz P., *Jak służby PRL za-*

*biły podwójnego agenta,*  
[http://www.rp.pl/art-  
kul/569094.html?  
print=tak&p=0.](http://www.rp.pl/art-<br/>kul/569094.html?print=tak&p=0)

„Żołnierz Wolności”, 09.04.1976.

Sławomir KOPER

Historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (1991), autor wielu publikacji dotyczących dziejów obyczajowości. Uznanie przyniosły mu seria o elitach II Rzeczypospolitej oraz niekonwencjonalne przewodniki historyczne. Niezwykłym sukcesem czytelnictwem jest jego bestsellerowy cykl o inteligencji w PRL. W swoich książkach ukazuje przeszłość widzianą od strony codziennego życia, co dotychczas w polskiej literaturze fachowej skrzętnie pomijano (np. *Miłość w Powstaniu Warszawskim*). Warszawiak z urodzenia, legjonowianin z wyboru, miłośnik Krakowa, wielbiciel muzyki. W 2012 roku za książkę *Kobiety władzy PRL* nominowany do nagrody Bestseller Empiku. W 2013 roku z rąk prezydenta RP otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi za popularyzację historii w społeczeństwie.



Ryszard KUKLIŃSKI  
Marian ZACHARSKI  
o. Konrad HEJMO  
Jerzy PAWŁOWSKI  
Tomasz TUROWSKI  
Jerzy KACZMAREK  
André ROBINEAU  
Andrzej CZECHOWICZ

W naszej serii o elitach PRL kolejna  
– po *Kobietach władzy*, *Życiu artystek*, *Sławnych parach*,  
*Skandalistach*, *Gwiazdach kina* i *Życiu towarzyskim elit*  
– książka autora bestsellerów Sławomira Kopra.  
Tym razem autor odsłania przed czytelnikami świat  
wywiadu i kontrwywiadu. Bo PRL to także tajni agenci,  
piękne kobiety, szpiegostwo militarne i przemysłowe,  
niespodziewane zwroty akcji, podwójne życiorysy  
i nieprawdopodobne historie.



wydawnictwo czerwone i czarne  
[www.czerwoneiczarne.pl](http://www.czerwoneiczarne.pl)

# Przypisy



## *PRZYPISY DO ROZDZ. 1*

- [1] – W. Suworow, *Akwarium*, Warszawa 2010, s. 10.
- [2] – *Ibidem*, s. 11.
- [3] – *Ibidem*, s. 12.
- [4] – C. Gmyz, P. Gociek, *Zawód: dziennikarz śledczy*, War-



szawa 2013, s. 213–214.

[5] – W. Suworow, *op. cit.*, s. 31.

[6] – W. Bereś, J. Skoczyła, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 28.

[7] – *Ibidem*, s. 29.

[8] – Za: A. Kublik, W. Czuchnowski, *Kret w Watykanie. Prawda Turowskiego*, Warszawa 2013, s. 31.

**[9]** – Za: *ibidem*, s. 31.

**[10]** – M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski, Marian Zacharski. Wbrew regułom*, Poznań 2009, s. 44.

**[11]** – W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 51.

**[12]** – Za: A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 28.

**[13]** – M. Zacharski, *op. cit.*, s. 71.

**[14]** – Za: A. Kublik, W. Czuch-

nowski, *op. cit.*

**[15]** – Za: *ibidem*, s. 37.

**[16]** – W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 27.

**[17]** – Za: P. Zychowicz, *Jak służby PRL zabiły podwójnego agenta*,  
<http://www.rp.pl/artykul/569094.html?print=tak&p=0>.

**[18]** – Za: L. Pawlikowicz, *Tajny*

*front zimnej wojny. Uciekinierzy z polskich służb specjalnych 1956–1964*, Warszawa 2004, s. 173.

**[19]** – Za: *ibidem*, s. 225.

**[20]** – J. Nowak-Jeziorański, *Wojna w eterze*, Kraków 1991, s. 90.

**[21]** – *Ibidem*, s. 90.

**[22]** – Za: L. Pawlikowicz, *op. cit.*, s. 239.

**[23]** – Za: *ibidem*, s. 239–240.

**[24]** – Za: *ibidem*, s. 240–241.

**[25]** – Za: *ibidem*, s. 251.

**[26]** – Za: *ibidem*, s. 288.

**[27]** – Za: F. Szlachcic, *Gorzki smak władzy. Wspomnienia*, Warszawa 1990, s. 116.

**[28]** – Za: H. Piecuch, *Imperium służb specjalnych. Od Gomułki do Kani*, Warszawa

1997, s. 247.

**[29]** – F. Szlachcic, *op. cit.*, s. 116–117.

**[30]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 235.

**[31]** – W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 178–179.

**[32]** – *Ibidem*, s. 179.

**[33]** – *Ibidem*, s. 182.

**[34]** – *Ibidem*, s. 180.

## PRZYPISY DO ROZDZ. 2

- [1] – Za: S. Cenckiewicz, *Długie ramię Moskwy*, Warszawa 2011, s. 150.
- [2] – Za: *Meine Familie und der Spion*, reż. R. Romaniec, 2013.
- [3] – Za: *ibidem*.

**[4]** – IPN BU 02108/11.

**[5]** – Za: *Meine Familie und...*

**[6]** – Za: *ibidem*.

**[7]** – Za: *ibidem*.

**[8]** – Za: *ibidem*.

**[9]** – H. Bosak, *Wnuk generała. Z tajemnic polskiego wywiadu 1977–1979*, Warszawa 2000, s. 22.

**[10]** – IPN BU 003175/443.



[11] – Za: S. Cenckiewicz, *op. cit.*, s. 152.

[12] – Za: Meine *Familie* und...

[13] – IPN BU 003175/443.

[14] – Za. K. Connolly, Podstawiony za młodu, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/swiat/1538215,1,Podstawiony-za-młodu.read>

[15] – IPN BU 003175/443.

**[16]** – Za: Jerzy Kowalski, *der Mann, den es zweimal gab,*

<https://www.welt.de/vermischtes/article114328416/Jerzy-Kowalski-der-Mann-den-es-zweimal-gab.html>

**[17]** – Za: *Meine Familie und...*

**[18]** – Za: rozmowa telefoniczna z autorem z dnia 23 lipca 2014 roku.

**[19]** – Za: *Meine Familie und...*

**[20]** – Za: *ibidem*.

**[21]** – Za: *ibidem*.

**[22]** – Za: *ibidem*.

**[23]** – Za: *ibidem*.

**[24]** – Za: *ibidem*.

**[25]** – >Za: *ibidem*.

**[26]** – Za: *ibidem*.

**[27]** – Za:  
<http://opole.tvp.pl/1527548569-rosalia-romaniec>

**[28]** – Za: *Meine Familie und...*

**[29]** – Za: *ibidem.*

**[30]** – Za: *ibidem.*

**[32]** – IPN BU 02108/11.

**[32]** – *Ibidem.*

**[33]** – *Ibidem.*

**[34]** – IPN BU 003175/443.

**[35]** – Rozmowa z...

**[36]** – M. Kaczyńska, *Poznań* –

*miasto wciąż ma szansę  
przejść MTP, [http://po-  
znan.naszemiasto.pl/art-  
kul/poznan-miasto-wciaz-  
ma-szansę-przejac-mtp-wi-  
deo,935611,t,id.html](http://pozn.naszemiasto.pl/art-<br/>kul/poznan-miasto-wciaz-<br/>ma-szansę-przejac-mtp-wi-<br/>deo,935611,t,id.html)*

**[37]** – Za: *Meine Familie und...*

**[38]** – Za: *ibidem.*

**[39]** – Za: *ibidem.*

**[40]** – Za: *ibidem.*

## PRZYPISY DO ROZDZ. 3

- [1] – D. Jarosz, M. Pasztor, *Robineau, Bassaler i inni. Z dziejów stosunków polsko-francuskich w latach 1948–1953*, Toruń 2001, s. 137.
- [2] – Za: *Aparat bezpieczeństwa w latach 1944–1956*, [red.

A. Paczkowski], t. 1, Warszawa 1994, s. 154.

**[3]** – Za: L. Pawlikowicz, *Kontrwywiad Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1948–1954 według relacji płk. Stefana Antosiewicza*, „Rzeszowskie Zeszyty Naukowe”, 17/1995, s. 136.

**[4]** – W. Pożoga, *Siedem rozmów z generałem dywizji Wła-*

*dysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu.* Warszawa 1987, s. 286–287.

- [5] – Za: W. Odolska, *Francuski wywiad infiltruje Polskę?! Sensacyjne odkrycie...*, [http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/748899,Francuski-wywiad-infiltruje-Polske-Sen-](http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/748899,Francuski-wywiad-infiltruje-Polske-Sen)



## sacyjne-odkrycie

[6] – >Za: *ibidem*.

[7] – S. Dygat, *Jezioro Bodeńskie*,  
Warszawa 1980, s. 21.

[8] – *Ibidem*, s. 17.

[9] – *Ibidem*, s. 18–19.

[10] – Za: W. Odolska, *op. cit.*

[11] – Za: A. Zadworny, *Sprawa Robineau*, „*Ale Historia*”,  
<http://wyborcza.pl/alehisto->

ria/1,121681,15252043,Spra  
wa\_Robineau.html

[12] – Za: W. Odolska, *op. cit.*

[13] – IPN BU 01220/144.

[14] – Za: D. Jarosz, M. Pasztor,  
*op. cit.*, s. 155–156.

[15] – Stenogram posiedzenia  
Zgromadzenia Narodowego  
z dnia 13 grudnia 1949 roku  
w: Journal Officiel de la  
République Française.

Débats Parlementaires. Assemblée Nationale. Année 1949. N° 110 A.N. 14 décembre 1949. s. 6775.

**[16]** – Za: A. Zadworny, *op. cit.*

**[17]** – „Kurier Szczeciński”, 23.11.1949.

**[18]** – Za: W. Odolska, *op. cit.*

**[19]** – >Za: A. Zadworny, *op. cit.*

**[20]** – Za: D. Jarosz, M. Pasztor, *op. cit.*, s. 160.

**[21]** – Za: W. Odolska, *op. cit.*

**[22]** – J. Putrament, *Półwieku. Zagranica*, Warszawa 1969, s. 405.

**[23]** – W. Odolska, *op. cit.*

**[24]** – „Trybuna Ludu”, 13.02.1950.

**[25]** – Za: D. Jarosz, M. Pasztor, *op. cit.*, s. 161.

## PRZYPISY DO ROZDZ. 4

- [1] – *Afera Żelazo*, reż. J. Morawski, TVP 2006.
- [2] – Za: *Pranie „Żelaza”*, „Tygodnik Spotkania” 21/1992.
- [3] – *Ibidem*.
- [4] – Za: J. Morawski, *Złota afera*, Warszawa 2007, s.

90.

[5] – Za: *ibidem*, s. 95.

[6] – Za: *ibidem*, s. 96.

[7] – Za: Afera Żelazo...

[8] – Za: J. Morawski, *op. cit.*, s.  
11.

[9] – Za: Afera Żelazo...

[10] – Za: *ibidem*.

[11] – *Ibidem*.

[12] – IPN 0649/14, t. 2.

[13] – Za: J. Morawski, *op. cit.*

[14] – Za: *Afera Źelazo...*

[15] – Za: J. Morawski, *op. cit.*, s.  
107.

[16] – Za: *Afera Źelazo...*

[17] – IPN 0649/14, t.1.

[18] – *Ibidem.*

[19] – Za: *Afera Źelazo...*

**[20]** – Za: *ibidem*.

**[21]** – Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 8.

**[22]** – Za: *ibidem*, s. 13.

**[23]** – Za: *ibidem*.

**[24]** – IPN 0649/14, t. 1.

**[25]** – Za: *Afera Żelazo...*

**[26]** – IPN 0649/14, t. 1.

**[27]** – *Ibidem*.



**[28]** – Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 31.

**[29]** – Za: *Afera Żelazo...*

**[30]** – Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 37.

**[31]** – IPN 0649/14, t. 7.

**[32]** – IPN 0649/14, t. 6.

**[33]** – Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 35.

**[34]** – IPN 0648/14, t. 14.

**[35]** – Za: *Afera Żelazo...*

**[36]** – Za: *ibidem*.

**[37]** – Za: *ibidem*.

**[38]** – Za: *ibidem*.

**[39]** – IPN 0649/14, t. 14.

**[40]** – Za: P. Ciszak, *Kontenery srebra, kilogramy złota do opłacenia akcji MSW i zlecenie na Michnika. Oto największa afera z udziałem służb*, ><http://men->

stream.pl/wiadomosci-reportaze-i-wywiady/kontenery-srebra-kilogramy-zlota-do-oplaceniamsw-i-zlecenie-na-michnika-oto-najwieksza-aferez-udzialem-sluzb,0,1480275.html

**[41]** – IPN 0649/14, t. 14.

**[42]** – J. Morawski, *op. cit.*, s. 47.

**[43]** – IPN 0649/14, t. 14.

**[44]** – Za: I. Jurczenko, K. Kilijanek, *Ludzie z „Żelaza”*. *Największa afera w polskim wywiadzie*. Warszawa 1991, s. 46.

**[45]** – Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 123.

**[46]** – P. Gontarczyk, *Ludzie z „Żelaza”*, „Wprost” 16/2006.

**[47]** – M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1984–1986*,

Warszawa 2005, s. 171.

**[48]** – Za: *ibidem*, s. 172.

**[49]** – Za: *Mieczysław Janosz zaatakował reportera „Dz”*. *Posłuchajcie, co miał do powiedzenia*, <http://katowice.naszemiasto.pl/archiwum/mieczyslaw-janosz-zaatakowal-reportera-dz-posluchajcie-co,476804,t,id.html>

**[50]** – *Bank pana Janosza*,

<http://katowice.naszemiasto.pl/archiwum/>bank-pana-janosa,790126,t,id.html>

## PRZYPISY DO ROZDZ. 5

- [1] – „Żołnierz Wolności”,  
09.04.1976.
- [2] – J. Atlas, *Atlas kryminalny*,  
Warszawa 1992, s. 56.
- [3] – J. Pawłowski, *Trud olimpij-  
skiego złota*, Warszawa  
1973, s. 10.

**[4]** – *Ibidem*, s. 38.

**[5]** – Za: I. Pawlik, *Jerzy Pawłowski. Szpieg w masce*, Warszawa, b.d.w., s. 14.

**[6]** – Za: *ibidem*, s. 19.

**[7]** – Za: *ibidem*, s. 65.

**[8]** – Za: *ibidem*, s. 85.

**[9]** – J. Pawłowski, *op. cit.*, s. 193.

**[10]** – J. Atlas, *op. cit.*, s. 56–57.

**[11]** – Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 20.



[12] – Za: *ibidem*, s. 84–85.

[13] – W. Komar, *Alfabet Władysława Komara. Sportowcy, artyści, prominenci*, Warszawa 1991, s. 79–80.

[14] – Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 23.

[15] – Za: P. Pytlakowski, *Mistrz, który przegrał życie*, „Polityka” 3/2005.

[16] – Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 48–49.

**[17]** – Za: *ibidem*, s. 50–51.

**[18]** – J. Pawłowski, *Najdłuższy pojedynek. Spowiedź szablisy wszech czasów – agenta CIA*, Warszawa 1994, s. 81.

**[19]** – *Ibidem*, s. 85–86.

**[20]** – IPN BU 00756/93.

**[21]** – *Ibidem*.

**[22]** – *Ibidem*.

[23] – IPN BU 2386/15733.

[24] – J. Pawłowski, *Najdłuższy...*, s. 137.

[25] – *Ibidem*, s. 137.

[26] – *Ibidem*, s. 144.

[27] – Za: M. Sasiński, S. Ryniak, *Sprawa szpiegowska kryptonim „Paweł”*. *Niektóre uwagi dotyczące form i metod działalności wywiadu USA na przykładzie*

*sprawy Pawłowskiego*, cz.  
2, IPN BU 483/59.

**[28]** – J. Pawłowski, *Najdłuższy...*,  
s. 147.

**[29]** – Za: P. Stokłosa, *Prawda o  
Jerzym Pawłowskim*,  
[http://ksiazkispor-  
towe.blog-  
spot.com/2012/09/prawda-  
o-jerzym-pawowskim.html](http://ksiazkisportowe.blogspot.com/2012/09/prawda-o-jerzym-pawowskim.html)

**[30]** – *Ibidem*.

- [31]** – Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 68.
- [32]** – J. Pawłowski, *Najdłuższy...*, s. 202.
- [33]** – *Ibidem*, s. 242.
- [34]** – *Ibidem*, s. 256–257.
- [35]** – Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 50.
- [36]** – J. Atlas, *op. cit.*, s. 60.
- [37]** – W. Bereś, J. Skoczyła, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, War-

szawa 1991, s. 185.

**[38]** – Za: A. Łozowski, *Zgłosilem się sam*,  
<http://www.rp.pl/arttykul/945084.html?p=1>

**[39]** – „Przegląd Sportowy”  
05.08.1992.

**[40]** – J. Atlas, *op. cit.*, s. 61.

## PRZYPISY DO ROZDZ. 6

- [1] – Za: *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, Warszawa 1971, s. 21.
- [2] – A. Czechowicz, *Siedem trudnych lat*, Warszawa 1972, s. 15.
- [3] – *Ibidem*, s. 16.

[4] – *Ibidem*, s. 19.

[5] – P. Machcewicz, *Kapitan Czechowicz wykonał zadanie*, „Rzeczpospolita” 4–5.01.2006.

[6] – Za: A. Krajewski, Szpieg PRL w Radio Wolna Europa, <http://www.newswweek.pl/polska/szpieg-prl-w-radio-wolna-europa,74085,1,1.html>

[7] – *Kapitan...*, s. 22–23.



**[8]** – Za: A. Krajewski, *op. cit.*

**[9]** – *Kapitan...*, s. 38.

**[10]** – J. Nowak-Jeziorański, *Polska z bliska*, Kraków 2003, s. 198.

**[11]** – P. Machcewicz, *op. cit.*

**[12]** – Za: Szpieg w Wolnej Europie, <http://rwe.salon24.pl/289934,szpieg-w-wolnej-europie>

**[13]** – Za: *ibidem.*

[14] – Za: „Trybuna Ludu”  
29.03.1971.

[15] – Za: *Szpieg w...*

[16] – Za: Nowak-Jeziorański o  
agentach w RWE,  
<http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Nowak-Jezioranski-o-agentach-w-RWE,wid,261236,wiadomosc.html?ticaid=U2f82>

[17] – *Kapitan...*, s. 57.

**[18]** – *Ibidem*, s. 56.

**[19]** – A. Czechowicz, *op. cit.*, s. 321.

**[20]** – *Ibidem*, s. 323.

**[21]** – *Ibidem*, s. 324–325.

**[22]** – *Ibidem*, s. 325.

**[23]** – *Ibidem*, s. 325.

**[24]** – *Za: ibidem*, s. 327.

**[25]** – M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1969–1971*,

Warszawa 2001, s. 385.

[26] – Za: *ibidem*, s. 420.

[27] – Za: *ibidem*, s. 421.

[28] – „Trybuna Ludu”  
29.03.1971.

[29] – M. Rakowski, *op. cit.*, s.  
401.

[30] – Za: *Szpieg w...*

## PRZYPISY DO ROZDZ. 7

- [1] – Za: A. Grajewski, P. Machcewicz, J. Żaryn, Raport: *Sprawa ojca Konrada Hejmo. Działania Służby Bezpieczeństwa przeciwko Kościołowi katolickiemu w latach 1975–1988*, <http://ipn.gov.pl/pl/aktual->

nosci/634,Raport-Sprawa-  
ojca-Konrada-Hejmo-Dzia-  
lania-Sluzby-Bezpieczen-  
stwa-przeciwko-Kosci.html

[2] – Za: *Ibidem*.

[3] – Za: J.O. Koehler, *Chodzi o papieża. Szpieczy w Watykanie*, Kraków 2008, s. 22.

[4] – C. Gmyz, P. Gociek, *Zawód: dziennikarz śledczy*, Warszawa 2013, s. 153.

- [5] – Za: IPN 2320/188, t.1.
- [6] – Za: A. Grajewski, P. Machce-  
wicz, J. Żaryn, *op. cit.*
- [7] – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*,  
s. 191.
- [8] – Za: IPN 2320/188, t. 2.
- [9] – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*
- [10] – *Ibidem*, s. 197.
- [11] – *Ibidem*, s. 208.
- [12] – E. Kotowski, *Wspomnienia*

(1971–1990), Warszawa  
2007.

**[13]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 209.

**[14]** – *Ibidem*, s. 213.

**[15]** – E. Kotowski, *op. cit.*

**[16]** – *Ibidem*.

**[17]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 216.

**[18]** – E. Kotowski, *op. cit.*



- [19]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 223.
- [20]** – *Ibidem*, s. 226.
- [21]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *Kret w Watykanie*, Warszawa 2013, s. 4.
- [22]** – „Więź” 11/1994.
- [23]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 26.
- [24]** – *Ibidem*, s. 23.

**[25]** – *Ibidem*, s. 11.

**[26]** – Za: J. Jałowiczor, *Operacja propagandowa Tomasza Turowskiego, rozmowa z Piotrem Jeglińskim*, <http://www.frona.pl/a/operacja-propagandowa-tomasza-turowskiego,31198.html>

**[27]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.* s. 233.

**[28]** – *Ibidem*, s. 237.

- [29]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.* s. 41.
- [30]** – *Ibidem*, s. 57–58.
- [31]** – *Ibidem*, s. 51.
- [32]** – *Ibidem*, s. 59.
- [33]** – *Ibidem*, s. 68.
- [34]** – *Ibidem*, s. 74–75.
- [35]** – Za: Wszystkie twarze Tomasza Turowskiego, czyli od agenta wywiadu PRL do

godności dyplomaty w III RP. Jan Pospieszalski i jego goście ujawniają nowe fakty, <http://wpolityce.pl/polityka/157651-wszystkie-twarze-tomasza-turowskiego-czyli-od-agenta-wywiadu-prl-do-godnosci-dyplomaty-w-iii-rp-jan-pospieszalski-i-jego-goscie-ujawniaja-nowe-fakty>

**[36]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op.*

*cit.*, s. 240.

**[37]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 117–119.

**[38]** – Za: *ibidem*, s. 136–137.

**[39]** – Za: *ibidem*, s. 137.

**[40]** – *Ibidem*, s. 120.

**[41]** – *Ibidem*, s. 122.

**[42]** – IPN BU 0449/81.

**[43]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 44.

**[44]** – *Ibidem*, s. 45.

**[45]** – Za: *Wszystkie twarze Tomasza Turowskiego...*

**[46]** – *Ibidem*.

**[47]** – Za: IPN BU 0449/31/7.

**[48]** – Za: IPN BU 0449/53/18.

**[49]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.* s. 182.

**[50]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 242.

- [51]** – Za: J. Jałowiczor, *op. cit.*
- [52]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 186.
- [53]** – *Ibidem*, s. 194.
- [54]** – Za: J. Jałowiczor, *op. cit.*
- [55]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 219.
- [56]** – *Ibidem*, s. 156.
- [57]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 243.

- [58]** – A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 186.
- [59]** – C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 245.
- [60]** – *Ibidem*, s. 248.



## PRZYPISY DO ROZDZ. 8

- [1] – M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski. Marian Zacharski. Wbrew regułom*, Poznań 2009, s. 32–33.
- [2] – *Ibidem*, s. 35.
- [3] – *Ibidem*, s. 36–37.
- [4] – *Ibidem*, s. 38.

- [5] – Za: R. Natorski, *Kim był Marian Zacharski. Niezwykła historia polskiego Bonda*, <http://facet.wp.pl/kat,69514,wid,157domosc.html?ticaid=U341c>
- [6] – W. Bereś, J. Skoczyła, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 22.
- [7] – Za: M. Maciorowski, *Szpieczy tacy jak my*, <http://wy->

borcza.pl/magazyn/1,133156,14188326,  
Szpieczy\_tacyjak\_my.html

**[8]** – M. Zacharski, *op. cit.*, s. 45.

**[9]** – *Ibidem*, s. 44.

**[10]** –

*Ibidem*, s. 47.

**[11]** – *Ibidem*, s. 51.

**[12]** – *Ibidem*, s. 57.

**[13]** – *Ibidem*, s. 55.

**[14]** – Za: H. Piecuch, W. Pożoga, *Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie*, Warszawa 1992, s. 133.

**[15]** – Za: P. Słowiński, *Bohaterowie i zdrajcy: Polacy w służbach różnych wywiadów*, Chorzów 2012, s. 292.

**[16]** – Za: M. Maciorowski, *op. cit.*

- [17]** – M. Zacharski, *op. cit.*, s. 59.
- [18]** – *Ibidem*, s. 59.
- [19]** – *Ibidem*, s. 60.
- [20]** – Za: *The Case of William Bell and Marian Zacharski, Security Awareness in the 1980's. Featured Articles from the Security Awareness Bulletin, 1981–1989*, s. 44.
- [21]** – *Ibidem*, s. 44.

- [22] – M. Zacharski, *op. cit.*, s. 64.
- [23] – Za: *Polski wywiad. Wielcy agenci i zawistne miernoty*, „Focus Śledczy” 5/2011.
- [24] – Za: P. Słowiński, *op. cit.*, s. 287.
- [25] – Za: H. Piecuch, *op. cit.*, s. 133.
- [26] – Za: *Zacharski nie był dobrze przygotowany do*

*szpiegowania w Ameryce,  
rozmowa Sylwestra Lat-  
kowskiego i Michała Ma-  
jewskiego z Vincentem Se-  
verskim* ,

<http://www.wprost.pl/ar/421charski-nie-byl-dobrze-przygotowany-do-szpiegowania-w-Ameryce/?pg=2>

**[27]** – Za: *The Case of William Bell...* s. 43.

**[28]** – W. Bereś, J. Skoczyła, *op.*

*cit.*, s. 31.

**[29]** – Za: *Bilet do III RP... za 20 mld dolarów. Rachunek sumienia generała Gromosława Czempińskiego, „Angora” 31/2011.*

**[30]** – Za: *Zacharski nie był dobrze przygotowany...*

**[31]** – M. Zacharski, *op. cit.*, s. 334.

**[32]** – Za: *Polski wywiad...*



**[33]** – W. Bereś, J. Skoczylas, *op. cit.*, s. 190.

**[34]** – M. Zacharski, *op. cit.*, s. 380.

## PRZYPISY DO ROZDZ. 9

- [1] – IPN BU 2366/2.
- [2] – W. Bereś, J. Skoczyła, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991; s. 172.
- [3] – Za: K. Dubiński, *Ryszard Kukliński. Bohater czy*

*zdrajca*, Warszawa 2014, s. 76–77.

[4] – Za: H. Piecuch, W. Pożoga, *Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie*, Warszawa 1992, s. 135.

[5] – IPN BU 2366/2.

[6] – W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 173.

[7] – IPN BU 2366/2.

[8] – Za: K. Dubiński, *op. cit.*, s.

26.

**[9]** – IPN BU 2366/2.

**[10]** – W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 175.

**[11]** – *Ibidem*.

**[12]** – IPN BU 2366/2.

**[13]** – *Ibidem*.

**[14]** – Za: S. Cenckiewicz, *Kobiety jako kamuflaż*, „Do Rzeczy” 21/2014.

**[15]** – *Ibidem.*

**[16]** – IPN BU 2366/2.

**[17]** – *Ibidem.*

**[18]** – *Ibidem.*

**[19]** – *Ibidem.*

**[20]** – *Ibidem.*

**[21]** – *Ibidem.*

**[22]** – *Ibidem.*

**[23]** – *Ibidem.*

**[24]** – S. Cenckiewicz, *op. cit.*

**[25]** – Za: K. Rusin, *Wywiad z Davidem Fordenem*, <http://player.pl/programy-online/tylko-w-player-pl-odcinki,522/odcinek-9,wywiad-z-davidem-fordenem,S00E09,19995.html>

**[26]** – Za: A. Krajewski, *Zasługa dla Polski. Pułkownik Ryszard Kukliński opowiada swoją historię*, b.m.w.

2014, s. 57.

**[27]** – IPN BU 2366/2.

**[28]** – *Ibidem*.

**[29]** – *Ibidem*.

**[30]** – *Ibidem*.

**[31]** – *Ibidem*.

**[32]** – W. Bereś, J. Skoczyła, *op. cit.*, s. 174–175.

**[33]** – IPN BU 2366/2.

**[34]** – Za: F. Puchała, *Szpieg CIA w polskim Sztabie Generalnym. O Ryszardzie Kuklińskim bliżej prawdy*, Warszawa 2014, s. 252.

**[35]** – IPN BU 2366/2.

**[36]** – *Ibidem*.

**[37]** – *Ibidem*.

**[38]** – *Ibidem*.

**[39]** – *Ibidem*.



**[40]** – P. Wieczorkiewicz, J. Błażejowska, *Przez Polskę Ludową na przełaj i na przekór*, Poznań 2011, s. 32.

**[41]** – Za: „Rzeczpospolita” 233/1992.

**[42]** – P. Wieczorkiewicz, J. Błażejowska, *op. cit.*, s. 33.

**[43]** – IPN BU 2366/2.

# Spis treści

Od autora	20
Rozdział 1 Zamiast wstępu	40
Niebezpieczna profesja	42
Prawda i legenda o szpiegowskiej robocie	49
Ze szpiegowskiej kuchni	62
Ofiara małżeńskiej miłości	79

Problemy rodzinne podpułkownika Goleniewskiego	93
„Carewicz Aleksy”	110
Uciekinierzy	124
Rozdział 2 Wtórnik z Poznania	138
Szpiegowskie wtórniki	142
Heinz Peter Arnold	153
Porucznik Jerzy Kaczmarek	162
Spotkanie po latach	175

Brema	184
Śmierć Heinza Arnolda	195
Ostatnia wymiana szpiegów	207
Międzynarodowe Targi Poznańskie	216
Rozdział 3 Sprawa André Robineau	232
Powojenna szpiegomania	236
Yvonne Bassaler	236
Skomplikowana młodość agenta	236

Warszawa	236
Szczecin	236
André i kobiety	236
Okęcie	236
Proces	236
Wyrok	236
<b>Rozdział 4 Operacja</b>	
<b>„Żelazo”</b>	<b>334</b>
Bracia Janoszowie	340
Początek afery	340
Złoty interes	340
Podział łupu	340

Kramik na Rakowieckiej	340
„Żelazo II”	340
Nietykalni	340
Zabić Adama Michnika	340
Gangsterzy i politycy	340
Rozdział 5 Mistrz szabli	469
Major Pawłowski	474
aresztowany	
Szablista wszech czasów	474
Finanse mistrza	474
Współpraca z UB	474
W służbie wywiadu	474

Archiwalne niedyskrecje	474
Agent „Paweł”	474
Problemy	474
Zakład Karny w Barczewie	474
Ostatnia walka	474
Rozdział 6 Opowieści kapitana Czechowicza	594
Powrót „Asa wywiadu”	599
Student historii	599
W poszukiwaniu azylu	599
Rozgłośnia z Monachium	599

Na szpiegowskiej drodze	599
Trucizny agenta	599
Prywatne życie szpiega	599
Medialny show	599
Człowiek, który uwierzył w swoją wielkość	599
<b>Rozdział 7 Szpieg za Spizową Bramą</b>	<b>695</b>
„Ignacy” i inni	700
Ojciec Konrad Hejmo	700
Edward Kotowski	700
Student z Krakowa	700



Dylematy	700
Wśród Jezuitów	700
W Watykanie	700
W pobliżu Jana Pawła II	700
Raporty	700
Paryż	700
Kontrowersje	700
Pytania bez odpowiedzi	700
Rozdział 8 Prawda i legenda o Marianie Zacharskim	862
Młodość agenta	866

Kontrowersji część pierwsza	866
Na szerokie wody	866
Zamrożenie	866
Szpiedzy i technologie	866
Tenis i drinki	866
William Bell	866
Szpiegostwo i finanse	866
Kontrowersji ciąg dalszy	866
Dożywocie	866
Wymiana	866
Emerytura agenta	866

Rozdział 9 Życie prywatne pułkownika Kuklińskiego	967
W rodzinie Kuklińskich	973
Wietnam	973
Pod żaglami	973
Kobiety w życiu pułkownika	973
Basia	973
Finanse Ryszarda Kuklińskiego	973
Kamuflaż i samotność	973

Dyskusje i spory	973
Ucieczka	973
USA	973
Zakończenie	1099
Ważniejsza bibliografia	1106
Przypisy	1142